

SIECI

**WŁADZA WYCINA
BOHATERÓW!**

„GDZIE BYŁ PILECKI,
ZOSTAŁ HYDRANT”

BYŁA POLSKA SZKOŁA,
BĘDZIE
FABRYKA ANALFABETÓW

OCENIAMY NASZYCH
NA EURO:
BOLESNA KLĘSKA,
TROCHĘ NADZIEI

ROSJA KONTRA NATO.

KULISY
CICHEJ BITWY
O BAŁTYK

ROZMAWIAMY

Z DR. KAROLEM

NAWROCKIM

SIECI

**NAJWIĘKSZY
KONSERWATYWNY
TYGODNIK OPINII
W POLSCE**

27 (605) 2024
1-7 lipca 2024

CENA: 11,90 zł
(w tym 8% VAT)

TAK WŁADZA

TORTURUJE KS. OLSZEWSKIEGO

UJAWNIAMY WSTRZĄSAJĄCY LIST Z ARESZTU





Drodzy Czytelnicy,

dziękujemy, że jesteście z nami. To z myślą o Was co tydzień przygotowujemy nowe wydanie „Sieci”, abyście mogli:

- wygodnie śledzić najważniejsze informacje z Polski i ze świata,
- czytać ekskluzywne wywiady z najważniejszymi postaciami polskiej polityki, biznesu, nauki i sztuki,
- poznawać mocne i wyraziste opinie redakcji, analizy ekspertów i komentarze naszych publicystów.

Zachęcamy do wykupienia prenumeraty dla siebie albo bliskiej osoby. Dzięki wsparciu naszych Prenumeratorów będziemy mogli nadal publikować wysokiej jakości materiały oraz dbać o rzetelność i patriotyzm w polskiej publicystyce.

Życzymy dobrej lektury każdego numeru tygodnika „Sieci”!

Serdecznie pozdrawiamy,
Zespół tygodnika „Sieci”

Jak zamówić papierową prenumeratę tygodnika **SIECI** ?

1 Wybierz swoją prenumeratę

3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
109 zł	189 zł	349 zł

Informacje o prenumeracie: tel. 22 616 36 00
(poniedziałek-piątek w godz. 14-16)

2 Zamów i opłać

- Zamów prenumeratę przez stronę **www.sieciprawdy.pl/prenumerata** i opłać przelewem ze swojego konta
- **Jeśli nie korzystasz z internetu,** opłać prenumeratę na pocztę, podając dane do wpłaty w okienku



Wytnij karteczkę-niezbędnik na pocztę

Dane do opłacenia prenumeraty Sieci na pocztę:

Nazwa odbiorcy: Fratria sp. z o.o.

Nr konta: 91 1240 5354 1111 0010 7713 6290

Tytuł wpłaty:

.....
(tu wpisz adres dostawy prenumeraty – to warunek otrzymania prenumeraty)

Kwota:

(tu wpisz cenę wybranej prenumeraty, np. 349 zł)





Powrót dyktatury ciemniaków

Skandaliczna dyktatura ciemniaków” – to słowa wypowiedziane przez Stefana Kisielewskiego 29 lutego 1968 r. na nadzwyczajnym zebraniu Oddziału Warszawskiego Związku Literatów Polskich (ZLP) w sprawie zdjęcia z repertuaru Teatru Narodowego „Dziadów” w reżyserii Kazimierza Dejmka. Teraz zdejmują „tylko” Mickiewicza, Sienkiewicza, Żeromskiego, Reymonta, Herlinga-Grudzińskiego, a także Rymkiewicza i Dukaja.

Trzeba więc powtórzyć słowa „Kisiela”, ale już w nieco zmodyfikowanej formie, pod adresem następców Gomułki, których reprezentuje m.in. ministra edukacji Barbara Nowacka. Zgodnie z nowymi normami poprawności konieczny jest feminatyw oraz wyjście poza „binarną strukturę genderową”, stąd moja propozycja ogólnego zwrotu w stronę „osób wykształconych inaczej”.

Pani ministra zapowiedziała ogłoszenie nowej listy lektur, oczyszczonej ze zlogów słusznie minionej przeszłości. Z „Pana Tadeusza” Mickiewicza, „Potopu” Sienkiewicza, „Chłopów” Reymonta, „Syzyfowych prac” Żeromskiego tudzież „Innego świata” Gustawa Herlinga-Grudzińskiego pozostawiono – łaskawie – tylko fragmenty. W całości tych niepotrzebnych dzieł polscy maturzyści nie będą musieli znać. Pani ministra ogień krytyki skierowała jednak nie na te tytuły, ale jak się wyraziła, na „poezję niejakiego Rymkiewicza” oraz na „pana Dukaja”. Tych najwidoczniej trzeba nie tylko usunąć, lecz także pogardliwie wykląć.

Zwyczajne, staroświeckie chamstwo zwrotu „niejaki Rymkiewicz”, pasujące jak ułaj do wzoru towarzysza „Wiesława”, domaga się wręcz rozwinięcia, którego dokonał mistrz Gomułka właśnie, komentując oficjalnie słowa „Kisiela” jako pozycję „jaśnie oświeconego wroga Polski Ludowej”. Nie wiem, czy jeszcze ma za tym iść bojówka, tak jak w 1968 r. „bijące serce partii”, która 11 dni po nieostrożnych słowach „Kisiela” pobili ich autora do nieprzytomności?

Jarosława Marka Rymkiewicza, wielkiego polskiego poety, ani chamstwo pani ministry, ani żadna bojówka już nie dotknie, bo autor „Pastuszka Chelmońskiego” nie żyje już od ponad dwóch lat. To zacięte chamstwo i groźba lewackich bojówek (które już zresztą widzimy na naszych uniwersytetach) dotyczą jednak tych, którzy jeszcze żyją i – co gorsza – czytają książki, w tym poezję. Mają ich, czyli nas, sterroryzować.

Hasło oczyszczenia spisu lektur ze „staroci” było bojowym wezwaniem, tysiąc razy już powtarzanym przez tam-tamy

postępu. Celebryci, aktorzy i nauczyciele przyszłości wbijają nam do głowy, że „dość już tych Mickiewiczów i Sienkiewiczów”. Dość, bo to starocie właśnie, niezrozumiałe dla młodych, otwartych umysłów. Co zostaje w otwartych umysłach, jeśli wymiemy z nich Mickiewiczów i Sienkiewiczów, Homerów i Szekspirów, Molierów i Schillerów? – o tym nie będę się tutaj rozwodził. Pragnę natomiast zauważyć, że Rymkiewicz swoje najsłynniejsze zbiory poezji oraz budzące najbardziej namiętne debaty eseje historyczne publikował już w XXI w. A więc to nie „starość” jest tu obiektem do wymiencenia. Pani ministra wytłumaczyła swoją decyzję inaczej: Rymkiewicz to był „pewien pomysł indoktrynacyjny”. Z taką formułą już nie ma dyskusji. To jest formuła pałka.

Pozostaje zapytać jeszcze: a co z Dukajem? Za co ten akurat został tak wyróżniony przez dzisiejsze osoby wykształcone inaczej? Pytam, żebyśmy wiedzieli, jaka jest linia partii. Przypomnę, że Jacek Dukaj jest rówieśnikiem pani ministry, czyli chyba nie jest jeszcze stary, do wyrzucenia na śmietnik historii z powodu samego wieku. Autor, wrzucany na ogół (nie całkiem słusznie) do szufladki z napisem „fantasy” lub „science fiction”, twórca najwybitniejszej powieści polskiej XXI w. – „Lodu”, był dotąd reprezentowany na liście lektur szkolnych opowiadaniem „Katedra”. Może już sam tytuł wzbudził czujność dzisiejszych ciemniaków i ciemniaczek? Przeczytali zapewne w bryku dostępnym w internecie, że najważniejszym wątkiem tego opowiadania science fiction jest „tęsknota za metafizyką, towarzyszące człowiekowi przekonanie, że nauka nie przynosi odpowiedzi na wszystkie pytania”. No tak, to już chyba wystarczy. Metafizyczne tęsknoty? To już prawdziwe „mrakobiesje”. Wyrzucić! Skreślić! Uciąć głowę! Napluć i zatrzeć!

Wypowiadałem się już nieco wcześniej na temat obrazu radykalnie wykastrowanej z polskości nowej podstawy programowej nauczania historii, jaką przygotował resort Nowej Europejskiej Przestrzeni Edukacyjnej (bo to chyba jest już właściwa nazwa?). Zmiany zapowiedziane przez panią ministram na liście lektur z języka polskiego odważnie idą w tym samym kierunku. W stronę „Potopu” (kulturowego), w stronę ostatecznej zagłady polskiego „Zaścianka” (to, przypomnę, tytuł VI księgi „Pana Tadeusza”), w kierunku nowego, wspaniałego, odchudzonego „Innego świata”. Ale może to raz jeszcze będą „Syzyfowe prace”?

Andrzej Nowak



22

Podbita Polska
Konrad Kołodziejski



36

Aktywistów lans na granicy
Jakub Augustyn Maciejewski



38

Tusk straszy wojną
Piotr Gursztyn

NA POCZĄTEK

- 5 **UCZENI TWIERDZĄ**
Bronisław Wildstein
- 6 **SYGNALISTA NADAJE**
Nieoficjalny przegląd tygodnia
- 8 **ANDRONY BEZŻĄŁOWE**
Krzysztof Feusette
- 9 **NIE WARTO ROZMAWIAĆ!**
Dorota Łosiewicz
- 10 **ŚWIATOWE ŻYCIE**
redaguje Konrad Kołodziejski
- 12 **KOŃCZY SIĘ UNIA, ZACZYNA SIĘ RZESZA**
Jan Pietrzak
- 12 **PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU**
Dominik Zdort
- 13 **DRILL BABY, DRILL DLA POKOJU**
Marta Kaczyńska-Zielińska
- 14 **WALIZKA EMILII PIŁASZEWICZ**
Michał Korsun
- 16 **ŹRÓDŁO MIKROMANII**
Samuel Pereira
- 17 **SCIENCE FICTION?**
Lech Makowiecki

TEMAT TYGODNIA

- 18 **60 GODZIN PIEKŁA, CZYLI LIST KS. OLSZEWSKIEGO Z ARESZTU**
Wojciech Biedroń

KRAJ

- 22 **PODBITA POLSKA**
Konrad Kołodziejski
- 25 **KOALICJA WOJEN DOMOWYCH**
Stanisław Janecki
- 28 **Z DR. KAROLEM NAWROCKIM**
rozmawia Marcin Wikło
- 32 **KTO PODMIENIŁ RYSZARDA PETRU?**
Dorota Łosiewicz
- 34 **FABRYKI ANALFABETÓW**
Maciej Walaszczyk
- 36 **AKTYWISTÓW LANS NA GRANICY**
Jakub Augustyn Maciejewski

OPINIE

- 38 **TUSK STRASZY WOJNĄ**
Piotr Gursztyn

ŚWIAT

- 41 **GROŹNIE NA BAŁTYKU**
Marek Budzisz

44 GRA O EUROPEJSKIE POSADY

Dariusz Matuszak

47 SPODZIEWANA KATASTROFA TORYSÓW

Jan Rokita

50 ZGADNIJ, KTO WRÓCIŁ

Aleksandra Rybińska

52 PÉTER MAGYAR, CZYLI PIOTRUŚ PAN

Grzegorz Górny

54 GROTESKOWY FINAŁ AFERY KATARGATE

Małgorzata Wołczyk

HISTORIA

57 FIKCJA NIEMIECKIEJ DENAZYFIKACJI

Stanisław Plużański

SPORT

60 KLĘSKA I NADZIEJA

Marek Pyza

SIECI KULTURY

63 DAWNE I NOWE HISTORIE

Jolanta Gajda-Zadworna

65 ZAREMBA PRZED TELEWIZOREM

Piotr Zaremba

66 SEKSGURU, BOHATER NASZYCH CZASÓW

Robert Tekieli

68 KOKTAJL KULTURALNO-POLITYCZNY

Maciej Walaszczyk

PODRÓŻE

70 MOJE SZLAKI: MARIA PAWŁOWSKA

Jolanta Gajda-Zadworna

KUCHNIA

71 SŁODKO-SŁONY/WILCZYM OKIEM

Anna Monicka, Przemysław Barszcz

NA KONIEC

72 OGNIEM NA WPROST

Andrzej Rafał Potocki

73 DLA MNIE JUŻ PO EURO 2024...

Ryszard Czarnecki

74 MNOŻNIK GŁUPOTY

Katarzyna Zybortowicz

Uczeni twierdzą

Mój telefon dba o mnie. Usiłuje mi pomóc. Za wszelką cenę. Przede wszystkim rozszerza moje poznawcze horyzonty. Informuje, z kim związał się piłkarz z Kostaryki, którego właśnie nabyła drużyna Kataru. Co powiedziała Lady Baba o zwycięzcy turnieju „Lepiej coś niż nic”. Jak wyglądało drugie śniadanie Nefretete. Czy mieszkańcy 17. planety gwiazdy Zorax, która znajduje się w galaktyce LXX oddalonej o 5 mld 12 mln 128 lat świetlnych, 17 i osiem piątych minuty oraz 21 i 0006 sekundy świetlnej od Drogi Mlecznej, planety, która najbardziej przypomina Ziemię, a więc może być zamieszkała, a więc jeśli jest zamieszkała, to czy jej mieszkańcy posługują się dwoma czy trzema mackami. Czy Rów Filipiński ma głębokość 11 522 czy 11 522,1 m. Czy jeśli Polska nie zamknie elektrowni Turów, katastrofa klimatyczna zniszczy ziemię 0,0007 czy 0,0008 sekundy wcześniej. Czy w 2357 r. żyć będziemy lat 250, 251 czy może wiecznie.

Mój telefon dostarcza mi także mnóstwa wiedzy praktycznej, bez której nie wiem, jak mógłbym dać sobie radę. Powiadamia, w których dniach lipca powinienem wstawać z łóżka prawą, a w których lewą nogą, a w których lepiej, abym nie wstawał w ogóle. I jak zmieniał się to będzie w miesiącu następnym. Czy koktajl należy mieszać w prawą czy lewą stronę, o nowiu czy o pełni. Czy lepiej nie słodzić kawy, czy jednak używać niewielkiej ilości cukru, a może z kawy zrezygnować definitywnie. W jakich proporcjach łączyć soczewicę z chrzanem, a w jakich groch z kapustą. Czy ser Appenzeller lepiej dojrzewia przy Bachu, Schumannie, a może przy hip-hopie?

Telefon pomaga mi w sprawach intymnych, które intymnymi być przestały. Radzi, jaką dietę stosować, aby jak najlepiej zaspokoić partnerkę, partnera czy jakiegokolwiek przedstawiciela rozlicznych płci, którego akurat zaspokoić pragnąłbym. Co jeść, aby uniknąć niestrawności. Co spożywać, jeśli chcę zostać piłkarzem, a co, jeśli myślicielem.

To i mnóstwo innych wiadomości, którymi ubogaca mnie telefon, od kiedy go uruchamiam, poparty jest najczęściej autorytetem uczonych. „Uczeni stwierdzili...” czytamy, aby dowiedzieć się, dlaczego acard jest lepszy od aspiryny, kołdra od pierzyny, a jabłka od gruszek oraz dlaczego wstawać rano, a chodzić spać wieczorem.

Okazuje się więc, że uczeni wiedzą wszystko – w każdym razie zdaniem mojego telefonu, bo nie ich samych. Ale tego z mojego telefonu się nie dowiem.

Entuzjaści internetu wieścili, jak radykalnie rozszerzą się horyzonty poznawcze jego użytkowników. O ile intelek-

tualnie przekroczą oni przedinternetowych prostaczków. No więc przekraczamy. Nie musimy nawet go włączać, bo robią to za nas plastikowe przedłużenia, a raczej stacje rozdzielcze naszych mózgów, które selekcionują dla nas właściwe wiadomości z morza tych, w których utonęlibyśmy w innym wypadku i uzupełniają je o wyjaśnienia uczonych, bez których nie potrafilibyśmy się poruszać.

To, jaką rolę pełnią centralne komórki współczesnego mózgu, widzimy, obserwując wpatrzonych w nie i surfujących w odmętach internetu gapiów na ulicy, w komunikacji publicznej, kawiarni czy poczekalni.

Informacje muszą być coraz nowsze, aby konsumenci nie znudzili się i nie sięgnęli do konkurencji, a więc operatorzy prześcigają się w kolejnych zmienianych na tyle szybko, aby odbiorcy nie mieli czasu pomyśleć, iż poruszają się w kółko pomiędzy tymi samymi elementami, które różnią się wyłącznie kolorami, nazwami lub imionami. Wprawdzie nierzadko zgodnie z potrzebami operatorów oznakowane zostają one odwrotnie niż wcześniej, ale tego pogrążony w stanie nieustannego oszołomienia klient nie zauważy, zwłaszcza że swoimi autorytetami zaświadcza o prawdziwości takiego, a nie innego stanu rzeczy anonimowi uczeni.

Niekiedy okazują się oni konkretnymi osobami, funkcjonariuszami instytutów naukowych, które powołane są, aby potwierdzić wpływ człowieka na globalne ocieplenie, cywilizacyjne pożytki płynące ze zwiększenia pogłowia homoseksualistów albo postępującej integracji Europy.

Wyzwoleni z okowów tradycyjnej kultury klienci rozpaczliwie poszukują przewodników, a któż lepiej spełni te oczekiwania niż wyposażony w naukowy stempel specjalista? Wyemancypowani z dawnych wierzeń wierzymy w rozum, który ma mieć recepty na każde schorzenie i formuły na każdą okazję. Świadomość, że wyobrażenia takie coraz bardziej odbiega od tego, czym jest dzisiaj prawdziwa nauka, nie mówiąc już o rozumie, nie przeciśnie się przez otaczające nas ekrany, z których specjaliści od wszystkiego tłumaczą nam, jak mamy myśleć oraz żyć. 



Sygnalista nadaaje

🔊 **Marcin Hoła** z PiS i **Paulina Matysiak** z partii Razem tworzą

nową, ogólnospołeczną inicjatywę – ruch „Tak dla Rozwoju”. „Pewnie zastanawiacie się, co tutaj robimy razem. Ja jestem z lewicy, a ja z prawicy. Jestem feministką, a ja jestem konserwatystą, ale są takie sprawy, które naprawdę potrafią nas połączyć i tymi sprawami są projekty, które będą służyły rozwojowi Polski” – mówili do kamery, siedząc na murku. I podkreślili: „Rozwój Polski nie ma barw politycznych. Służy wszystkim, różnych ideologii, różnych przekonań i wszyscy razem powinniśmy pracować dla rozwoju naszego kraju”. Przez chwilę było pięknie.

🔊 Ale tylko przez chwilę, bo już po kilku godzinach Paulina Matysiak została zawieszona w prawach członka Klubu Lewicy na trzy miesiące. A zarząd partii Razem, macierzystej formacji posłanki, skierował wniosek do partyjnego sądu koleżeńskiego o wszczęcie procedury dyscyplinarnej. Uzasadnienie? „W związku z działaniem, które oceniamy jako szkodliwe dla partii”. I dalej: „Partia Razem odcina się od tego przedsięwzięcia”. Do tego potężna fala hejtu, skierowana pod adresem Matysiak. Co ciekawe, po stronie piśowskiej nikt się nie oburzył na współpracę posła Hołay z posłanką Lewicy. To pokazuje różnicę w podejściu do spraw podstawowych, w tym rozwoju Polski. Powtarzamy: w naszym kraju spory ideologiczne mają drugorzędne znaczenie. Najważniejszy jest podział na tych, którzy Polski chcą, i na tych, którzy w istocie jej nie chcą.

🔊 Tusk powie wszystko. W czasie wizyty w Brukseli oświadczył: „Zobaczcie, gdzie dzisiaj jest Europa i jakie mamy wspólne stanowisko wobec Rosji. Pamiętajcie, jak byłem szefem Rady Europejskiej, to wszyscy stukali się w głowę, że ja jestem jakiś maniak i jestem jedyny, który o tej Rosji mówi złe rzeczy, a dzisiaj to jest obowiązująca narracja dla wszystkich. Nie narzekajmy, bo w tej sprawie Europa bardzo się posunęła do przodu”. I to bardzo. Mówiąc konkretnie, w sprawie Rosji Tusk wykonał zwrot o 180 stopni. Pewnie nie ostatni.

🔊 Pod presją społeczną **Donald Tusk** ogłosił kontynuację projektu CPK. „Polska stanie się jednym

wielkim megalopolis. I zobaczymy to już za kilka lat” – obiecał. Niestety to po prostu hucpa. Premier obiecuje bowiem wszystko, a więc realnie nic. Ma powstać duże lotnisko w Baranowie, ale mają też działać lotniska regionalne, a także Okęcie, z którego mają startować wielkie drony. Będą połączenia kolejowe, ale na starych torach, i to tylko do największych miast. Doświadczone oko dostrzeże PR-ową ustawkę przygotowaną na ostatnią chwilę, na kolanie, opatrzoną pustymi frazesami typu „trójskok cywilizacyjny”. Cóż, za każdym razem ten pic musi wybrzmieć do smutnego i biednego końca, musi naprawdę zabołec. Inaczej się nie da. Chyba.

🔊 Rzecz celnie podsumował Marcin Hoła: „Możemy liczyć, że stażysta w CIR dorysuje grubą kreskę do Rzeszowa? Na tej mapce, którą teraz prezentujecie, z Rzeszowa będą ludzie jechali do Warszawy tak jak do stolicy Galicji przez Kraków, bo oczywiście szprychy do Rzeszowa nie ma. Albo czy np. będzie to połączenie do Katowic, bo ja widziałem dwie mapki i na jednej z nich nie ma Katowic. Jak rozumiem, te pogłębione audyty nie pozwoliły wam odkryć istnienia miasta Katowice w Polsce i jego potrzeb transportowych?”. Rzeczywiście, rząd najpierw pokazał mapkę bez Katowic, a chwilę potem z Katowicami. Wszystko to by było śmieszne, gdyby nie wiązało się ze straszliwą cenę, którą zapłaci Polska za rządy partii zewnętrznej.

» Jedno jest pewne: ustrój, w którym żyjemy, nie jest już demokracją konstytucyjną. Np. polityką państwa w wymiarze sprawiedliwości kieruje całkiem jawnie nieumocowany prawnie „ze-spół ds. rozliczeń PiS”, którym kieruje poseł **Roman Giertych**. Teraz wzywa do „przyspieszenia rozliczeń”. „Zakończyliśmy trójskok wyborczy i myślę, że to lato i jesień, które się zbliżają, to będzie czas, w którym dokona się realne rozliczenie tego zła, które działo się w ostatniej kadencji” – ogłosił, dodając, że będzie o tym rozmawiał z ministrem Adamem Bodnarem. Odbudowa państwa prawa nie będzie łatwa, ale jest nieunikniona. Polska nie zasługuje na status bantustanu.

» Co konkretnie proponuje Giertych? „Plan przyspieszenia zakłada, po pierwsze, wyższość konstytucji nad ustawami, a po drugie, cały szereg działań faktycznych, które uniemożliwiłyby osobom nieuprawnionym okupowanie budynków, których właścicielem jest skarb państwa” – podkreślił. „Będziemy zachęcać nasz klub oraz nasz rząd do tego, aby uznać, iż ustawy uchwalone przez PiS w celu utrwalenia ich władzy – jeżeli dotyczą materii konstytucyjnych i zmieniają [...] polską konstytucję – są w sposób oczywisty niekonstytucyjne” – mówił Giertych. Cóż, wszystko wróci. Wszystko, co do joty.

» Ze słów Giertycha wynika także, że nie wszyscy prokuratorzy chcą pisać lipne akty oskarżenia. „Nie akceptujemy sytuacji, w której mamy do czynienia ze »strajkiem włoskim« albo zwyczajnym przewlekaniem różnego rodzaju postępowań z tego powodu, że prokuratura jest przesiana ludźmi nominowanymi przez Zbigniewa Ziobrę”. I dalej: „Wszyscy prokuratorzy, którzy się wysługiwali PiS-owi niech idą do cywila. To nie jest tak, że ktoś musi być prokuratorem”. Też warte zapamiętania.

» Pojawiają się dowody, że strona rządząca ma świadomość, iż poszła na rympał, podeptała konstytucję i ustawy. Gdy w TVN 24 prowadząca program Katarzyna Kolenda-Zaleska mówiła o stanowisku „sędziów, którzy doznawali represji” i ich przekonaniu, że należy zablokować pracę obecnej KRS, Bodnar się tłumaczył: „Czy to znaczy, że przedstawiciele władzy wykonawczej mieliby sięgnąć po metody przemocowe? Co mam zrobić? Ma pójść policja do KRS, wymienić zamki, zablokować wejście? Ja sobie nie wyobrażam takiego scenariusza”. Kolenda-Zaleska odpowiedziała: „W TVP tak było...”. Rzeczywiście. Nie tylko w TVP, lecz także w prokuraturze i wielu innych miejscach.



» A w neo-TVP pracownicy otrzymali e-maila z wezwaniem do donoszenia i autodenuncjacji. Piotr Maślak, szef Agencji Kreacji Publicystyki, Dokumentu i Audycji Społecznych, ujmuje rzecz jasno: „Uprzejmie proszę o informowanie mnie o produkcjach, w których państwo uczestniczyliście lub przy których współpracowaliście, a co do których istnieje uzasadnione podejrzenie realizacji z rażącym naruszeniem rzetelności dziennikarskiej; realizacji z naruszeniem kodeksu etycznego TVP lub innych kodeksów zawodowych, mogących budzić uzasadnione podejrzenie nadużyć finansowych, popełnianych ze szkodą dla spółki”. I dalej: „Świadome i celowe ukrywanie takich informacji będzie oczywistą podstawą do utraty zaufania”. To już wyższa szkoła nękania i tresowania ludzi, sięgająca wprost po wzorce z praktyki totalitarnej. Ciekawe, kiedy poleci pracownikom pisanie życiorysów.

» Tymczasem minister sprawiedliwości do-czekał się komplementów ze strony Tuska. Zdaniem premiera **Adam Bodnar** ma bardzo wyraziste poglądy oraz jest „człowiekiem z dużym autorytetem, rozsądnym, umiarkowanym, bardzo państwowym”. A także: „Minister Bodnar ma jedną zaletę – jest do szpiku kości człowiekiem praworządnym” oraz „lepszego partnera sobie nie wyobrażam w tych trudnych sprawach”. Jak zwykle w przypadku Tuska, słowa znaczą coś przeciwnego. W istocie usłyszeliśmy, że Bodnar nie pęka i dzielnie depcze konstytucję, ustawy, obyczaje oraz własny życiorys, nakręcając prześladowania opozycji. Cóż, po Tusku zostaną słowa, a po Bodnarze podpisy pod kluczowymi decyzjami. Nie jest jasne, czy minister ma tego świadomość.

» Pełnomocnik byłego Dowódcy Operacyjnego Rodzajów Sił Zbrojnych gen. Tomasza Piotrowskiego (jako oskarżyciela prywatnego) skierował do Sejmu wniosek o uchylenie immunitetu przewodniczącemu Klubu PiS, byłemu szefowi MON Mariuszowi Błaszczakowi. Wnioskodawca powołuje się na art. 212 Kodeksu karnego dotyczący „publicznego znieważenia”. Chodzi o sprawę rosyjskiej rakiety, która spadła pod Bydgoszczą. Poseł Błaszczak odpowiada: „Akt oskarżenia gen. Piotrowskiego to jedynie dowód na jego frustrację, bo nie dał rady na stanowisku Dowódcy Operacyjnego”. W sumie nawet więcej: cios, który w finale kampanii wyborczej zadali obozowi niepodległościowemu gen. Rajmund T. Andrzejczak i gen. broni Tomasz Piotrowski, był sprawą nie do wybaczenia. To w istocie kończy jakąkolwiek dyskusję.

Androny bezzałogowe



KRZYSZTOF FEUSETTE

Tusk: Panowie, robimy to.

Lasek: Ale co?

Tusk: Konferencję! Że będzie lotnisko!

Lasek: A audyty?

Tusk: Pies trącał. Nie ma i nie będzie.

Lasek: Szukaliśmy firmy...

Tusk: Do końca marca obiecałem, a wyszukacie? Społeczeństwo chce, społeczeństwo będzie miało.

Lasek: Ale co?

Tusk: Konferencję! Że robimy.

Hołownia: To jednak robimy? Bo ja już nie wiem, co myśleć. Ale tak będzie, jak premier zdecyduje. Potrzebujemy tego?

Tusk: Konferencji? Bardzo!

Kosiniak-Kamysz: A co ogłosimy?

Tusk: Że robimy! Może troszkę mniejsze, ale za cenę porównywalną. Mniej szprych będzie i tyle.

Biedroń: Od początku nie podobala mi się ta nazwa. Lepsze byłyby „pedały”.

Tusk: Proszę tak przy mnie nie mówić...

Śmiszek: Ale można. Jak pedał o pedale, to nie jest mowa nienawiści. Już to ogłosiłem. A ja z mową nienawiści walczyć jak lwica.

Tusk: Kogo to obchodzi? Zatem tak – zamiast CPK...

Wcisło: Wiedziała, że nie przejdzie. Stop PCK!

Tusk: Czy ktoś może pociągnąć za warkocz, czy jak to się wyłącza?

Wcisło: Wychodzę. Ja zawsze wychodzę, jak nie wiem, co powiedzieć. Lepiej wyjść, niż wyjść na durnia, prawda?

Tusk: Zamiast szprych będzie igrek. Robimy dwie trasy, Poznań i Wrocław, a jak się komuś nie podoba, niech się przeprowadzi. Ja akurat mam 20 min na lotnisko w Gdańsku, więc mnie to lata. Mój syn Józef interesuje się lotnictwem, nawet przy OLT Express robił wywiady. Sam ze sobą, ale fajne. Amber Gold, pamiętacie.

Sienkiewicz: Nic a nic. Tylko tyle, że mówił premier synowi, iż to lipa. To jest właśnie polityka prorodzinna.

Tusk: Będzie, jak Józek na prezesa pójdzie. Ale najpierw trzeba zrobić tak, kolegę Laska proszę, by mnie poprawiał, jeśli zajdzie potrzeba. A więc robimy tak – Okęcie musimy rozbudować, bo powiedzieliśmy, że musimy, jak jeszcze myśleliśmy, że CPK nie będzie. Czy to jest jasne?

Kierwiński: A na Okęciu co będzie, jak już będzie CPK?

Tusk: Za dużo chcecie wiedzieć. Po pierwsze, nie wiadomo, czy CPK w ogóle będzie, to znaczy wiadomo, że nie będzie, bo nawet jak będzie, to będzie pod inną nazwą...

Kierwiński: Ale będzie?

Tusk: No, przecież mówię, że nie wiadomo. Po drugie, kolego Bobas, ludzkość idzie do przodu i nie wiadomo, co będzie

za dwa lata, o naszym terminie 2032 r. nie wspominając. Być może zrobimy tam coś na kształt kosmodronu.

Lasek: Kosmodromu chyba. Ja akurat na radziecką kosmonautykę nie dam złego słowa powiedzieć.

Tusk: Kosmodron od „dronów”. Zrobimy tam, powiedzmy, wielkie lądowisko dronów. Bezzałogowych.

Lasek: Pasażerskich?

Tusk: Zobaczymy. Ale brzmi dobrze, co?

Trzaskowski: Gigantomania. W ogóle po co kolejne lotnisko? Kto jeździ pociągami na szprychach? Komu to potrzebne?

Tusk: Rafale, to są sprawy ogólnopolskie, a Baranowo nie jest w Warszawie. No, chyba że tak nazwiesz Miasteczko Wilanów, he, he...

Trzaskowski: To co ja mam teraz mówić jako nasz kandydat? Najpierw byłem przeciw, teraz mówiłem, że czekam na audyty...

Tusk: Na co?

Lasek: Pan prezydent...

Tusk: Kto?

Lasek: ...miasta stołecznego Warszawy...

Tusk: No, to mówcie od razu pełnym zdaniem.

Lasek: Jemu chodzi o te dokumenty...

Tusk: Czyli?

Lasek: No, że zebraliśmy fachowców i oni zdecydowali. Bo pół roku przeleciało...

Tusk: Spokojnie. Najważniejsze, że robimy.

Lasek: Ale co?

Tusk: Konferencję! Powiem, że robimy i spadam. Tylko nie żadne „cepeka”, a Megalopolis.

Kierwiński: Potem można nazwać Tuskolingrad albo Tuskmenistan, albo Republika Tuskanii...

Tusk: Ale kiedy?

Kierwiński: No, jak już będzie to lotnisko bez pedałów, to znaczy szprych...

Tusk: Czyli?

Lasek: Czyli jak już premier wycofa się ze słów, iż CPK jest „bez sensu”. Następnego dnia wbijamy łopatę...

Tusk: Żebyście sobie w nogę nie wbili. Bo znowu złapiemy dwa lata opóźnienia w czymś, czego nawet nie zaczniemy.

Trzaskowski: Przynajmniej nikt nie splajtuję.

Tusk: Znalazł się dobroczyńca za 20 gr. Ty i tak będziesz latać z Berlina.

Trzaskowski: A ty?

Wcisło: Na Hennig-Kłoskę, panowie, uspokójcie się. Stop PCK, IPN, CBA, CPK, stop Pilecki, Ulmowie i Kolbe, Mega Propolis górą. Mega-Akropolis, Megapolish, mega co chcecie, tylko nie kłóćcie się. Mnie się warkocz z nerwów skręca! 

Nie warto rozmawiać!

„Założenie stowarzyszenia z panem Horalą to prywatna inicjatywa Pauliny Matysiak, podjęta wbrew woli władz Razem” – zagrzmiała partia

Zbrodnia to niesłychana! Pani rozmawia z panem – można sparafrazować początek ballady „Lilije” Adama Mickiewicza. Ta pani to Paulina Matysiak z partii Razem, która aktywnie walczy o budowę CPK. Panem jest Marcin Horala, były pełnomocnik rządu PiS ds. CPK. A zbrodnią jest przystąpienie posłanki do inicjatywy „Tak dla rozwoju!” i występ w spocie z posłem PiS.

Publikując spot na platformie X (d. Twitter), Matysiak napisała tak: „Razem z Marcinem Horalą inicjujemy Ruch Społeczny »Tak dla rozwoju!«. Chcemy łączyć obywateli, organizacje i polityków różnych opcji wspierających inwestycje kluczowe dla rozwoju Polski. Pozostając w różnych partiach, spierając się na wiele tematów (światopoglądowych, historycznych i innych), możemy te spory odłożyć na bok i pracować wspólnie nad budową CPK, elektrowni jądrowych, rozbudową portów i armii. Bądźmy w kontakcie, wkrótce więcej szczegółów! #TakDlaRozwoju”.

A co jest w tym spocie? Same bezceństwa! „Pewnie zastanawiacie się, co tu robimy razem – mówi Marcin Horala. – No właśnie. Ja jestem z lewicy – tłumaczy Paulina Matysiak. – A ja z prawicy – dodaje Horala. – Ja jestem feministką. – A ja jestem konserwatystą. – No właśnie, ale są takie sprawy, które naprawdę potrafią nas połączyć i tymi sprawami są projekty, które będą służyły rozwojowi Polski. – Bo rozwój Polski nie ma barw politycznych, służy wszystkim [...] i wszyscy razem powinniśmy pracować dla rozwoju naszego kraju.

– Te projekty rozwojowe to m.in. Centralny Port Komunikacyjny, rozwój energetyki jądrowej, porty, bezpieczeństwo naszego kraju, ale także wiele, wiele innych. – Ostatnie miesiące pokazały, że presja ma sens i ruch społeczny wspierający rozwój Polski odnosi sukcesy. Działajmy dalej dla rozwoju Polski. – Jeżeli chcesz nam w tym pomóc, jeżeli zależy ci na tym, żeby Polska się rozwijała, żeby Polska była silniejsza gospodarczo, była bezpieczniejsza, była dobrym krajem pod względem transportu – dołącz do nas” – tak przebiega ten dialog polityków.

Szybko okazało się jednak, że rozmowa ponad podziałami jest w polskich warunkach niedopuszczalna i dla Pauliny Matysiak lepiej by było, gdyby owego pana zabiła, jak w balladzie Mickiewicza, a zabiwszy pogrzebała w gaju, na łączce przy ruczaju, niż z nim rozmawiała. Uważający się za tolerancyjnych polityczni koleździ posłanki Matysiak wpadli w szal i uznali, że nie mogą tolerować takiego zachowania. „Dla rozwoju to można pracować z ludźmi, którzy nie deptali polskiej demokracji i praworządności! O rozwoju to można rozmawiać, ale wewnątrz koalicji 15 października, a nie z PiS! Jeśli to ma być o stawianie na samodzielność w lewicowej koalicji, to ja się definitywnie od tego odcinam.

Można wybrać różne drogi, ale nigdy nie będę milczał, jak ktoś wybiera drogę współpracy z ludźmi z PiS, którzy do niedawna byli jeszcze członkami rządu Kaczyńskiego i Morawieckiego. Wstyd!” – oburzył się na zbrodnię wicepremier z Lewicy Krzysztof Gawkowski.

„Założenie stowarzyszenia z panem Horalą to prywatna inicjatywa Pauliny Matysiak, podjęta wbrew woli władz Razem. Partia Razem odcina się od tego przedsięwzięcia. Władze partii nie zostały poinformowane o dzisiejszym wspólnym wystąpieniu z panem Horalą. W związku z działaniem, które oceniamy jako szkodliwe dla partii, zarząd partii kieruje wniosek do partyjnego sądu koleżeńskieg o wszczęcie procedury dyscyplinarnej” – opublikowała na platformie X oświadczenie partia Razem. „Jako przewodnicząca Klubu Parlamentarnego Lewicy złożyłam wniosek o zawieszenie na 3 m-ce posłanki Matysiak w prawach członkini Klubu za działanie niezgodne z interesem Klubu. Prezydium Klubu podjęło właśnie decyzję o jej zawieszeniu” – kipiała z oburzenia na platformie X Anna Maria Żukowska. Całą resztę pomyj, które wylały się na głowę posłanki Matysiak, można sobie odpuścić.

Wygląda na to, że rozwój Polski jest niezgodny z interesem Lewicy, a tolerancja należy się tylko tym, którzy z tolerancyjnymi zgadzają się w 100 proc. A ja głęboko wierzę, że rozmowa ponad podziałami dla dobra Polski będzie jeszcze kiedyś możliwa. Oby wtedy nie było na to za późno. **✚**

Dorota Łosiewicz



Wieczorem 23 czerwca w dwóch miastach Dagestanu, Machaczkale i Derbencie, doszło do ataku islamistów. Ich celem stały się miejscowe synagogi i cerkwie. W strzelaninie zginęło 21 funkcjonariuszy rosyjskich służb i 5 terrorystów. Jak informują media, byli oni powiązani z organizacją Państwo Islamskie – Wilajet Chorasán, tą samą, która wzięła odpowiedzialność za masakrę w podmoskiewskiej sali koncertowej Crocus City Hall, w której zginęły 143 osoby.

Atak w Dagestanie doprowadził do trzęsienia ziemi w lokalnej polityce, ponieważ okazało się, że wśród terrorystów znalazł się syn i powinowaci Magomieda Omarowa, szefa jednej z lokalnych administracji. Został on zwolniony z funkcji, wyrzucony z partii Jedna Rosja, a potem zatrzymany na 15 dni pod zarzutem „drobnego chuligaństwa”. Szef republiki Siergiej Mielikow zasugerował przy tej okazji wprowadzenie karnej odpowiedzialności rodziców za działania ich dzieci, co może przypominać rozwiązania zastosowane w Czeczenii, która w 2014 r. stała się celem podobnego ataku.

Niespokojnie na Kaukazie



Wydarzenia w Dagestanie są kolejnym dowodem na radykalizację miejscowej młodzieży. W październiku ub.r. w Machaczkale doszło do antysemickich zamieszek na tle pogłosek o lądowaniu samolotu z izraelskimi uchodźcami. Zrewoltowany tłum opanował wówczas miejscowe lotnisko. Z kolei wcześniej protestowały matki, których synowie zostali wysłani na wojnę na Ukrainie.

Jak twierdzą eksperci, Rosja musi liczyć się z narastającą falą islamskiego radykalizmu, szczególnie wśród narodów kaukaskich. Przypominają oni niedawny bunt terrorystów powiązanych z ISIS, do którego doszło w więzieniu w Rostowie nad Donem. Islamiści obezwładnili strażników i wzięli ich na zakładników, ale zostali zastrzeleni w czasie szturmów sił specjalnych. O tym, że władze są na serio zaniepokojone sytuacją w Dagestanie, mogą świadczyć zapowiedzi gubernatora Mielikowa,

który po atakach terrorystycznych w republice zapowiedział sprawdzenie wszystkich urzędników pod kątem ich ewentualnych związków z „potencjalnymi terrorystami”.

Marek Budzisz

Arabia Saudyjska

Śmierć w Mekce

Tegoroczna pielgrzymka muzułmanów do Mekki kosztowała ponad 1,3 tys. ofiar śmiertelnych – poinformował minister zdrowia Arabii Saudyjskiej, obwiniając za tak dużą liczbę zgonów panujący upał.

To bardzo duża liczba, choćby w porównaniu z zeszłoroczną pielgrzymką, podczas której zmarło „tylko” 240 osób. Z pewnością odpowiedzialne za to są wysokie temperatury, które w czerwcu w Wielkim Meczecie w Mekce dochodziły nawet do 51,8 st. Celsjusza. Nie da się tego jednak zmienić, ponieważ datę hadżdżu, czyli obowiązkowej pielgrzymki, którą każdy muzułmanin musi odbyć przynajmniej raz w życiu, wyznacza islamski kalendarz księżycowy. W tym roku termin (14–19 czerwca) przypadł na szczególnie upalne lato.

Warunki pogodowe to jednak tylko jedna z przyczyn tragedii. Infrastruktura medyczna przygotowana przez organizatorów nie zapewnia bowiem dostatecznie szybkiej pomocy osobom, które nagle zasłabły z powodu panującej spiekoty. Przed lekarzami i pielęgniarkami stoi natomiast gigantyczne wyzwanie,

ponieważ muszą poruszać się w tłumie liczącym 1,8 mln ludzi. Na dodatek wielu pątników przebywa w Mekce nielegalnie, ponieważ saudyjskie władze nakazują wszystkim pielgrzymom obowiązkową rejestrację i uzyskanie oficjalnej zgody. Wielu muzułmanów z ubogich krajów nie stać na zakup takiego pozwolenia, więc przebywają w mieście na dziko. Co prawda na początku czerwca arabski rząd poinformował o przymusowym usunięciu z Mekki setek tysięcy niezarejestrowanych przybyśców, jednak ich duże grupy uniknęły wywózki i pozostały na miejscu. Wielu z nich to ludzie starsi, którzy całe życie oszczędzali pieniądze, aby w końcu spełnić swój religijny obowiązek i odbyć hadżdż. To oni są najbardziej narażeni na ryzyko śmierci, ponieważ nie posiadając rejestracji, boją się zgłosić do służb medycznych z prośbą o pomoc. Niektórzy z nich uważają, że jeśli już mają umrzeć, to najlepiej, by stało się to w Mekce. Mają wtedy gwarancję, że zostaną pochowani na koszt państwa saudyjskiego w świętym mieście islamu.

Grzegorz Górny

Gorączka złota

Najnowsze dzieje Wenezueli to historia katastrofy gospodarczej wywołanej fatalnymi rządami lewicowej junty. To paradoks, bo państwo należy do potencjalnie najbogatszych krajów Ameryki Południowej. Oprócz dużych złóż ropy naftowej posiada również ogromne zasoby złota i innych minerałów, które za przyzwoleniem reżimu są rozkradane przez miejscowe gangi.

Eldorado rozciąga się na południe od rzeki Orinoko. Oprócz złota można tam znaleźć boksyty, diamenty oraz wykorzystywany w elektronice i przemyśle zbrojeniowym koltan. Wartość tych zasobów ocenia się na sumę 2 bln dol.



Fot. Shutterstock

Wenezuela

W przeszłości złoża te były eksploatowane przez prywatne koncerny wydobywcze. Po przejęciu władzy przez reżim gen. Hugo Cháveza kopalnie zostały nacjonalizowane. Zgodnie z jego planami zyski z wydobywania surowców miały pozostawać w kraju i być inwestowane w jego rozwój. Tak się jednak nie stało.

Opuszczonymi kopalniami szybko zainteresowały się gangi, do których dołączyły grupy rebeliantów z sąsiedniej Kolumbii oraz amatorscy poszukiwacze złota. Szacuje się, że do regionu zjechało ponad 100 tys. ludzi. Każdy z przyjezdnych liczył na to, iż w amazońskiej dżungli przy odrobinie szczęścia będzie mógł się trochę wzbogacić. W rzeczywistości nie było to takie proste, bo kontrolę nad wydobywaniem kruszcu przejęli przestępcy. Śledztwo przeprowadzone przez ONZ wykazało, że gangi „eksploatowały, były, a nawet zabijały górników”, a siły zbrojne reżimu przypatrywały się temu biernie, a niekiedy nawet w tym pomagały.

Prymitywna gospodarka rabunkowa doprowadziła również do zniszczenia lokalnej przyrody. W pogoni za złotem karczowano dżunglę, a używana do wydobywania kruszcu rtęć zanieczyściła wiele dziewiczych rzek. W 2016 r. Nicolás Maduro, który objął władzę po zmarłym trzy lata wcześniej Chávezie, ogłosił powstanie tzw. łuku wydobywczego Orinoko – specjalnej strefy obejmującej tereny złotonośne. Pojawili się w niej inwestorzy m.in. z Chin i Turcji, którzy eksploatowali złoża i wysyłali złoty kruszec do swoich rafinerii. Oprócz nich wciąż funkcjonowały biedaszyby kontrolowane przez gangi.

Kilkanaście dni temu wenezuelski reżim podpisał umowę z rządem Turcji, która ma uporządkować wydobycie złota w dorzeczu Orinoko. Kruszec wyjedzie więc za granicę, a Wenezuela nadal będzie pogrążać się w ubóstwie. Potwierdza to tezę, że nawet największe bogactwa nie zagwarantują pomyślności, jeśli władza w państwie znajdzie się w rękach sprzedajnej kliki.

Maciej Walaszczyk

Konrad Kołodziejewski



Szwecja

Bunt uczniów

Uczniowie szkoły średniej w szwedzkim miasteczku Arjeplog ogłosili protest, gdy władze tamtejszej szkoły zrezygnowały z tradycyjnej uroczystości zakończenia roku szkolnego w pobliskim kościele parafialnym.

W bojkocie wzięli udział prawie wszyscy, ale mimo protestów dyrekcja podtrzymała swoją decyzję. „Kościół może być postrzegany jako przerażający. Nie znasz tam wszystkich ludzi i bezpieczniej czujesz się w kameralnych miejscach” – stwierdziła dyrektor Helene Lindberg, próbując w kuriozalny sposób wyjaśnić swoją decyzję. „Bojkot jest słuszny” – odpowiedziała jej Lova Abrahamsson, jedna z uczennic kończących siódmą klasę.

Wieloletnia tradycja świętowania zakończenia roku szkolnego w kościele została zmieniona podczas pandemii. I to, co wtedy było jedynie nadzwyczajną koniecznością, zostało wykorzystane jako pretekst do zmiany dotychczasowego obyczaju, zgodnie z którym

każdego roku w świątyni odbywały się uroczystości kończące rok szkolny.

Proboszcz parafii w Arjeplog stwierdziła, że decyzja szkoły opiera się na arbitralnych opiniach. I choć ucieszyło ją, że wszyscy uczniowie chcieli wziąć udział w uroczystości w kościele, to zgodnie z protestancką powściągliwością nie wchodziła z władzami szkoły w żadną polemikę. Przyznała jedynie, że coroczne spotkania w kościele zawsze cieszyły się dużą popularnością. Podczas zakończenia roku szkolnego wszyscy uczniowie wspólnie maszerowali do świątyni z flagami. „Tradycją było to, że tego dnia pojawiali się również babcie i dziadkowie” – tłumaczyła pastorka.

Teraz zamiast tego wprowadzono „nową świecką tradycję” wręczania świadectw w klasach. To, co forsowano niegdyś w państwach obozu komunistycznego, staje się dziś rzeczywistością zachodniej „liberalnej” utopii. Ale jak widać, nie bez oporów. Na szczęście. **✚**

I ŚMIESZNO, I STRASZNO

Kończy się Unia, zaczyna się Rzesza



**Jan
Pietrzak**

Zwieloletniego nawyku obserwując sfery rządowe, nie mogę się nadziwić obecnej ekipie. Takiej zbieraniny nieudaczników i ignorantów chyba jeszcze nie mieliśmy u władzy. Państwo dziennikarstwo – trzeba o tych typach natychmiast pisać, ponieważ za kilka miesięcy, po wakacjach, pewnie wprowadzą cenzurę prewencyjną. Pretekstem będzie zagrożenie militarne. Zresztą dla nich każdy powód jest dobry, byle ukryć stan umysłów swej ekipy, a co za tym idzie – fatalny stan Rzeczypospolitej. Przecież to, co wygaduje ministerka oświaty, usprawiedliwiając swoje epokowe decyzje, jest tak niemądre, że zapiera dech. Głęboka troska, by polskie dzieci były najgorzej wykształcone w Europie, robi wrażenie. Jarek Rymkiewicz turla się w zaświatach ze śmiechu, słysząc, jak go traktuje niejaka bzdziągwa.

Kolejny model z kolekcji Tuska, minister oddelegowany w kamasze, nie lubi, kiedy żołnierze używają broni. Obrońcy granic mają magazynki zaklejone taśmami. A nuż by który wystrzelił i zranił wojownika z dzidą po drugiej stronie granicy, mogłoby dojść do wojny! A nabojów mamy niewiele. W pierwszym z brzegu filmie gangsterskim używa się więcej amunicji

niż nasza armia w stanie wojny zwanej hybrydową.

W nieodległej przeszłości przerabialiśmy wojnę realną, zwaną II światową. W Gdańsku powstało muzeum poświęcone temu straszliwemu kataklizmowi. Otóż ministerium kultury zarządziło usunięcie z Muzeum II Wojny Światowej bohaterów tamtego czasu – rtm. Pileckiego, rodzinę Ulmów, ojca Kolbego... Ten haniebny gest trudno wytłumaczyć umysłową abnegacją. To jest coś bardziej podłego – cicha afirmacja morderców polskiego narodu. Zabieg propagandowy sprawdzony przez lata. Jeżeli obozy śmierci stworzyli nazisci, a rzeź Woli urządzili hitlerowcy, to Niemców przy tym nie było! A kto był? Polacy.

Codzienne przykłady antypolskiej arogancji w rodzaju podrzucania nam ciężarówek ze śmieciami, a także policyjnych patroli z migrantami dopełniają obrazu sąsiedzkich relacji. Wygląda na to, że po ostatnich eurowyborach kończy się Unia Europejska, zaczyna się IV Rzesza. Na naszych oczach, w jakimś stopniu z polskim udziałem, niestety...

PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU

Wszyscy jesteśmy wieśniakami



**Dominik
Zdort**

Bawi mnie ta wyższość, którą czują strasznicy stołeczni mieszczenie wobec prowincjuszy. Najnowsza jej odsłona to protest mieszkańców Bemowa wobec nazwy ulicy, przy której właśnie zakupili mieszkania. Ulica nazywa się Wieśniacza, co wskazuje na dawny agrarny charakter tych okolic. Dotąd nazwa mieszkańcom nie przeszkadzała, ale najwyraźniej nowi miastowi – najpewniej wielu z nich ma swoje korzenie w wioskach – protestują. Że to niby „nazwa obrażająca”.

Pewnie woleliby mieszkać przy ulicy Wielkomiejskiej lub Manhattańskiej. Moim zdaniem powinni zorganizować ogólnowarszawską akcję protestu, bo wciąż jest tyle nazw uwłaczających ich mieszkańcom. Zakrawa na skandal, że w samym centrum stolicy jest ul. Wiejska, która przebiega obok samego najdosłowniejszego Sejmu Rzeczypospolitej – niechże wystąpią do marszałka Szymona Hołowni, on zainterweniuje, a jak będzie trzeba, to i zainicjuje przyjęcie odpowiedniej ustawy. No i Polna czy Sienna, co za wiocha?! A ta Ciasna i Cicha – czy wypada, aby takie nazwy miały ulice w największej polskiej metropolii? A Daleka i Dzika? Czy to nie deprecjonuje stolicy?

Nie wolno zapomnieć o Kaczej. Gdybyż była ona jeszcze na Żoliborzu, można byłoby to znieść. Ale na Woli? No i Smoleńska na Targówku – co za Maciarewiczowska propaganda w naszej nowoczesnej stolicy, takie nazwy tylko podsycają

teorie spiskowe! Czas na zmiany, panie Trzaskowski.

Pamiętam, że nie tak dawno na Zielonej Białolece, obok ulic Lapońskiej i Eskimoskiej, nowej drodze chciano nadać pokrewne imię Świętego Mikołaja. Były protesty tych nielicznych kilku mieszkańców, którzy tam mieszkają – trudno powiedzieć, czy bardziej im przeszkadzał Mikołaj, czy raczej może Święty – wszak wspomnianie o świętości, nawet kogoś tak zeświecczonego, to prawie jak wieszanie krzyży w urzędzie miejskim. I miasto ustąpiło, pokornie wymieniło pocziwego kolesia w czerwonym kubraku na Grenlandię.

Nie słyszałem ostatnio protestów przeciw ulicy Waryńskiego czy Armii Ludowej, choć Ludwik Waryński to bohater prekomunistycznej partii Proletariat, którego rozslawił czerwony PRL-owski banknot stużłotowy, a AL to formacja będąca zbrojnym ramieniem sowieckiej agentury. No, ale to starym i nowym warszawianom jakoś nie przeszkadza.

Optymistyczne, że w tej najnowszej kwestii Komisja Nazewnictwa w Radzie Warszawy jest nieugięta. Wieśniacza na razie zostaje.

*Autor jest senior research fellow w projekcie
Ordo Iuris Cywilizacja*

Drill baby, drill dla pokoju



**Marta
Kaczyńska-
Zielińska**

W czasie spotkania z wyborcami w Pensylwanii Donald Trump obiecał przyspieszenie wydobycia ropy i gazu w USA. Wróciło więc jego energetyczne motto: „Drill baby, drill” (wierć kochanie, wierć). Były prezydent zamierza cofnąć politykę redukcji wydobycia Joe Bidena, którą nazwał „szaloną”. USA potrzebują ropy dla swojej niezależności energetycznej i utrzymania międzynarodowej pozycji, zwłaszcza biorąc pod uwagę rosnące zapotrzebowanie na ropę w Azji, a w szczególności w Indiach i Chinach. Paliwo jest podstawowym źródłem energii we współczesnym świecie i stanowi siłę napędową gospodarek. Przyjmując racjonalność czerpania energii z wiatraków czy paneli fotowoltaicznych, wiadomo, że aby zapewnić stałość dostaw energii, konieczne jest utrzymywanie miksu energetycznego, tj. bazowanie na różnych źródłach i surowcach energii.

Niektóre kraje wdrażają politykę mającą na celu zmniejszenie zużycia paliwa ze względów środowiskowych, co powoduje wzrost cen paliw. Ceny ropy naftowej, koszty rafinerii, podatki, kursy walut, równowaga podaży i popytu, warunki geopolityczne i regulacje środowiskowe to istotne czynniki wpływające na ich wahania. Te wartości wpływają zarówno na wydatki konsumenckie, jak i koszty prowadzenia działalności gospodarczej, a także wskaźniki makroekonomiczne, takie jak inflacja, zatrudnienie i handel zagraniczny. Wysokie ceny paliw mogą podnieść wskaźnik cen konsumenckich, ponieważ rosną koszty transportu i logistyki. Zazwyczaj prowadzi to do wzrostu inflacji i zmniejszenia siły nabywczej gospodarstw domowych. Koszty paliwa mogą wpływać na marżę zysku, szczególnie w przypadku przedsiębiorstw z branży transportowej, logistycznej i produkcyjnej. Wysokie ceny paliw mogą zwiększyć koszty operacyjne i zmniejszyć konkurencyjność. To z kolei może prowadzić do wyższych kosztów produkcji i cen produktów końcowych. Ceny paliw pośrednio wpływają na zatrudnienie. Przedsiębiorstwa działające w sektorze transportu reagują na wysokie koszty paliwa poprzez redukcję zatrudnienia lub ograniczanie podwyżek wynagrodzeń. Wysokie ceny paliw mogą pogłębić deficyt handlowy. Może to prowadzić do wzrostu zadłużenia zagranicznego kraju i mieć wpływ na kursy walut. Koszty paliw mają więc istotny wpływ na gospodarkę, zarówno w ujęciu mikro-, jak i makroekonomicznym. Są kluczowym czynnikiem, który należy stale uwzględniać w różnych aspektach polityki rządu.

Wiosną br. USA drastycznie podniosły opłaty za wydobycie ropy. Administracja prezydenta Bidena postanowiła wprowadzić ponaddziesięciokrotną podwyżkę na dzierżawę roponośnych państwowych pól. Firmy naftowe będą musiały zapłacić 150 tys. dol. za dzierżawę roponośnych gruntów federalnych w porównaniu z 10 tys. dol. wcześniej. Jest to pierwsza od 1960 r. aktualizacja tzw. wymogu obligacyjnego. Ponadto administracja Bidena przygotowuje szeroko zakrojony plan ograniczenia przyszłych odwiertów ropy na ok. 13 mln ac (5,3 mln ha) Narodowej Rezerwy Ropy Naftowej na Alasce, największym obszarze gruntów publicznych w kraju.

Według prognoz paliwa na świecie będą drożeć, o ile OPEC nie zwiększy wydobycia. Z kolei według przewidywań tej organizacji w najbliższym czasie wzrośnie popyt na ropę, głównie w Indiach i Chinach, co ma zwiększyć niedobory tego surowca na świecie, za czym niechybnie pójść wyżej ceny. W 2023 r. Rosja była drugim dostawcą ropy na świecie. Według doniesień medialnych z początku czerwca wyprzedziła Arabię Saudyjską i stała się drugim co do wielkości dostawcą tego surowca do Indii. Hinduskie rafinerie skupują rosyjską ropę naftową oferowaną po konflikcie na Ukrainie ze znacznym rabatem. Indie wchłaniają 18 proc. rosyjskiego eksportu ropy. Podobnie Chiny – mając do wyboru droższą ropę z Arabii Saudyjskiej, decydują się na konkretny cenowo rosyjski surowiec. Porozumienie eksporterów ropy OPEC+, w którym prym wiodą Arabia Saudyjska i Rosja, przedłużyło do 2025 r. zbiorcze cięcia produkcji ropy (wyjątkiem jest państwo Saudów). Kontynuowanie redukcji wydobycia ropy przyczyni się do wzrostu cen tego surowca i na kolejne lata zapewni Rosji środki na dalsze finansowanie ataku na Ukrainę, a być może także kolejne państwa.

REKLAMA



"Księga"

ks. Łukasz Turek i Paweł Kęska
sobota godz. 20.10 i niedziela godz. 9.00

Radio 106.2
Warszawa
dobrze słuchać

16/0524/F



Walizka Emilii Piłaszewicz

fotografki, podróżniczki

Najbardziej lubię podróżować po Polsce, nawet krótkie wypadki, szczególnie fotograficzne.

Interesują mnie tematy związane z dawną architekturą, dlatego wyszukuję zabytkowe obiekty.

Nie zawsze można do nich wejść, ale już obserwowanie ich fasad, po których ślizga się światło zachodzącego słońca i zamknięcie tego w kadrze daje dużą satysfakcję. W tych krótkich wycieczkach najbardziej kręci mnie możliwość odnajdywania miejsc, które nie są popularne i o których świat trochę zapomniał. Odkrywam je na nowo i pokazuję w trochę innej formie, z perspektywy mojej wrażliwości. Zdarza się, że wracam do nich, bo czuję pewien niedosyt, a z pewnością rodzaj sentymentu.

Zamiłowanie do robienia zdjęć przekazał mi mój tata, który zajmuje się tą dziedziną profesjonalnie od ponad 30 lat. Od dziecka spacerowałam po jego zakładzie i wdychałam charakterystyczny zapach utrwalaczy, można więc śmiało powiedzieć, że nasiąkłam fotografią. Efekt był taki, że w wieku 6 lat potrafiłam już samodzielnie zmieniać film w aparacie.

Gdy dostałam mój pierwszy aparat, spędzałam tysiące godzin, fotografując wszystko dookoła, równocześnie pochłaniałam książki o tej tematyce. Moja pasja stała się zawodem, a w połączeniu z kolejną, czyli podróżowaniem, tworzy synergię w czystej postaci.



INSTAGRAM

Moje konto @emiliapil jest formą pamiątki, a zarazem odpoczynku od fotografii komercyjnej. Zdjęcia, które tu zamieszczam, robię wyłącznie dla siebie i mojej przyjemności. Są to obrazy miejsc, które zaintrygowały mnie swoją historią, a zarazem aurą tajemnicy.

SPRZĘT

Obecnie jest to Canon R6 Mark II z obiektywem 24–105 mm o jasności 2,8. Ten aparat jest spełnieniem moich marzeń od wielu lat, bo potrafi zrobić wszystko, co chcę osiągnąć. Czuję, że znajduję się w takim momencie fotograficznym, iż jestem spełniona i usatysfakcjonowana.





CZOŁÓWKA

Gdy kończę wieczorne zdjęcia i po zachodzie słońca muszę wracać przez ciemny las albo poszukać czegoś w plecaku i potrzebuję dwóch rąk, czołówka jest superpomocna.



AKCESORIA

Do czyszczenia obiektywów, pędzelek, gruszka, ściereczki, płyny.



CHWAŁĘCIN

Latarnia wieńcząca krużganki sanktuarium Męki Pańskiej w Chwałęcinie. Chwałęcino to niewielka wieś na Warmii, nad jej drobną zabudową góruje okazałych rozmiarów kościół, którego początki są datowane na 1715 r.



PAŁAC NA DOLNYM ŚLĄSKU

Bogato rzeźbione drzwi prowadzące do pałacowej biblioteki. W tym miejscu przede wszystkim zaskoczyła mnie ilość detali jaka przetrwała do naszych czasów, zważywszy na zawieruchę dziejową. Na ścianach nadal widać oryginalną tapetę, pamiętającą czasy świetności pałacu.

POMPA PAROWA

Niewielki budynek ukryty pośród rozwidlenia rzek kryje w sobie ostatnią na Żuławach pompę parową. Jest jednym z niewielu symboli dawnego krajobrazu tych terenów.



ZAMEK SARNY

Uratowany przed kompletną ruiną XVI-wieczny zamek Sarny widziany od strony dawnego parku.



ROZLEWISKA NARWI

Podlasie to region, w którym się urodziłam. Krajobraz jest tu raczej monotony, ale uroda nieuregulowanych rzek zachwyca swoją dzikością.



PALTRAK W MOKRYM DWORZE

Żuławy to region, którego krajobraz przed 1945 r. był pełen wiatraków. Z ponad 150 do dziś przetrwały tylko dwa, jednak kilka lat temu pojawił się trzeci. Został sprowadzony do Mokrego Dworu i odrestaurowany.



PAŁAC W NAKOMIADACH

Światło jest tam jak na obrazach holenderskich mistrzów malarstwa. To chyba nie przypadek, bo pałac jest zbudowany w stylu baroku holenderskiego, a pieczołowicie odrestaurowane wnętrza nadają mu niepowtarzalny charakter. Mimo że przez lata powojenne była tam szkoła, a później mieszkania dla pracowników pobliskiego PGR, to na zdjęciu widzimy oryginalne barokowe drzwi, które znajdują się w pałacu od 1706 r.



POŁONINA WETLIŃSKA

Polonina Wetlińska w Bieszczadach. Dziesiątki kilometrów z ciężkim aparatem w plecaku były warte tego zdjęcia.



SPRAY NA KOMARY

Niezbędny, gdy trzeba skupić się na dobrym kadrze.



ORIN

Moja czteromiesięczna fotograficzna asystentka, pudel miniatury. Nie odstępuję mnie na krok.



**Wysłuchał i zapisał
Michał Korsun**

Źródło mikromanii

Nie rozumiem tego zdziwienia. Donald Tusk wyszedł na konferencję i zapowiedział zakończenie prac nad Centralnym Portem Komunikacyjnym, co wywołało u niektórych ogromną dezorientację. Jak to? Dlaczego? Przecież Polacy chcą i kochają projekt CPK, który łączy wyborców od prawa do lewa. Temu zdziwieniu towarzyszy nie tylko skrajna naiwność, lecz także zwyczajna niewiedza o tym, kim jest i czym kieruje się Tusk jako polityk.

Cofnijmy się na chwilę do 2003 r., gdy w siedzibie „Rzeczpospolitej” odbyła się debata z udziałem przedstawicieli ówczesnej sceny politycznej, w tym Donalda Tuska, z Eriką Steinbach, wówczas szefową Związku Wypędzonych, która zgłaszała roszczenia wobec Polski. Wtedy, chcąc zapewne za wszelką cenę udowodnić, że nie jest germanofobem (bo przecież to by było straszne, gdyby ktoś mógł tak pomyśleć!), świeżo upieczony przewodniczący Platformy Obywatelskiej pozwolił sobie na kilka szczerych słów. „Powiem szczerze, nie zmieniłem swojego wyobrażenia, a trudno znaleźć bardziej pozytywnie uwrażliwionego na problem niemiecki w Polsce posła” – powiedział do Steinbach Tusk.

Minęło blisko 21 lat i znowu widzimy to „pozytywne uwrażliwienie na problem niemiecki”, tylko tym razem w kontekście CPK. To jest coś, co w sposób jawny, bezczelny (z jego punktu widzenia) uderza w niemieckie interesy, więc jako takie musi budzić niechęć. Czy to zdrada? Niewykluczone. Głupota? Nie. Tusk naprawdę ma słabość do Niemiec, w jego głowie i sercu to kraj przyjaciół, którzy z zasady muszą być mocniejsi i bogatsi. On sobie zwyczajnie nie wyobraża innej sytuacji. Jeśli w Polsce miałyby powstać coś większego czy lepszego niż w Niemczech, dla Tuska i jego formacji jest to „megalomania”. Mamy być wiecznie mali, doganiający i proszący. Obecny premier, konsekwentnie kreujący swoją politykę w harmonii z niemieckimi interesami, niezmiennie wybiera drogę, która może przynieść mu uznanie zza zachodniej granicy kosztem polskich aspiracji. W świetle decyzji o CPK Tusk jeszcze raz potwierdza, że w jego wizji Polski nie ma miejsca na własne, niezależne ambicje.



Samuel Pereira

Od początku szliśmy po młodego widza

Z Maciejem Kawulskim, reżyserem nowej adaptacji „Akademii Pana Kleksa”, rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna

Wydaje się, że znalazł pan klucz do baśniowego skarbu. Jak to się przekłada na liczbę widzów?

Maciej Kawulski: „Akademię Pana Kleksa” zobaczyło w polskich kinach blisko 3 mln widzów. To najlepszy wynik oglądalności od 1989 r. Teraz poszliśmy w świat. Dzięki platformie Netflix trafiliśmy do ponad 190 krajów i kilkudziesięciu grup językowych.

Dzień po premierze „Akademia...” była drugim najpopularniejszym filmem Netfliksa na świecie, ale nie zbiera zbyt dobrych opinii, podobnie jak w Polsce.

Zawsze, jak wyjmujesz już sformalizowany twór i pokazujesz ludziom swój pomysł na niego, to walczysz nie tylko o uznanie nowej widowni, lecz także z oczekiwaniami dawnej. Wiedzieliśmy, że w Polsce będziemy mówić do ludzi, którzy znają dzieło Krzysztofa Gradowskiego, ale odbiliśmy się od niego. Zro-

biliśmy film na motywach powieści Jana Brzechwy. Koncepcja całości, casting, sposób spojrzenia na historię i bohaterów jest całkiem inny. Od początku szliśmy po młodego widza.

Światowa widownia ogląda „Akademię Pana Kleksa”, a wy promujecie już drugą część pt. „Kleks i wynalazek Filipa Golarza”, która trafi do kin pod koniec roku. Kto wcielił się w Golarza?

Janusz Chabior. Pracuję z nim wiele lat i wiem, że potrafi nie tylko dobrze zagrać, lecz także stworzyć kreację, a w filmie to robi różnicę.

Co dalej?

Świadomie nie zaczęliśmy zdjęć do trzeciej części. Istotny jest dla nas odbiór widzów, zarówno w Polsce, jak i na świecie. Teraz uważnie mu się przyglądamy.



POWOLNE MEDIA WEDŁUG MICHAŁA KORSUNA



Science fiction?

Dekadencja (łac. *decadentia*) – rozkład wartości kulturowych, społecznych; chylenie się ku upadkowi; kryzys lub schyłek. Brzmi znajomo?



Naród, który odrzuca swą tożsamość, jest skazany na zagładę. Psychiczną i fizyczną. Za chwilę do Polski zostanie wtłoczona masa nielegalnych, obcych kulturowo i wrogich nam migrantów. Nasz rząd, jak i wszystkie rządy krajów Europy Zachodniej, nie poradzi sobie z integracją obcych. Zniechęcona bezskutecznymi interwencjami policja zabarykaduje się na posterunkach. Polacy instynktownie zaczną unikać niebezpiecznych miejsc. I nauczą się schodzić z drogi nachodźcom – nowym panom ulicy. W szkołach zapanuje prawo pięści. Zagrożone będą nie tylko białe dzieci, również ich nauczyciele. Pobicia, gwałty, rabunki i morderstwa spowszednieją. Wzrośnie liczba tubylców uprawiających sporty walki. Gaz pieprzowy, pałki teleskopowe, noże i kastety będą się sprzedawać jak ciepłe bułeczki. Przybędzie miłośników strzelectwa i petentów starających się o zezwolenie na broń palną.

Większość rodaków pozamyka się w swych domach, chyłkiem tylko przemijając do pracy lub na zakupy. Nieliczne, oddolnie formowane oddziały samoobrony zostaną brutalnie spacyfikowane przez tabuny bezwzględnych intruzów, wspieranych przez zwalczającą „rasizm” policję i zaprzyjaźnione służby UE. Próby utworzenia – na wzór Armii Krajowej – struktur państwa podziemnego sparaliżuje totalna inwigilacja społeczeństwa, drakońskie kary i anihilacja elit. Zwycięży odmóżdżająca seksualizacja młodzieży, medialny show dla plebsu (pt. „Chleba i igrzysk”) oraz zmasowana promocja głupoty. Proeuropejskie feministki i tęczowe aktywistka z otwartymi ramionami powitają egzotycznych gości – jurnych i brutalnych macho o ciemnej karnacji, bardziej męskich i zaradniejszych (mieszkanie, wyżywienie, socjal, opieka medyczna) od zniewiesiałych białasów.

PS Parafrazując znaną maksymę: „Spieszmy się kochać teorie spiskowe, tak szybko stają się prawdą...”

Lech Makowiecki

SIECI

ISSN 2544-2694
www.SIECIprawdy.pl

REDAKTOR NACZELNY: JACEK KARNOWSKI
ZASTĘPCY REDAKTORA NACZELNEGO: DOROTA ŁOSIEWICZ,
TOMASZ OZDOWY, MAREK PYZA, MARGIN WIKŁO

E-MAIL: REDAKCJA@FRATRIA.PL; TEL. (22) 255 93 32, (22) 255 93 33; UL. FINLANDZKA 10, 03-903 WARSZAWA

AUTORZY: GORAN ANDRIJANIĆ, PRZEMYSŁAW BARSCZ,
MAREK BUDZISZ, LESZEK DEJGOSZ,
KRZYSZTOF FEUSETTE, JOLANTA GAJDA-ZADWORNIA,
GRZEGORZ GÓRNY, STANISŁAW JANECKI, MARTA KACZYŃSKA-
ZIELIŃSKA, MICHAŁ KARNOWSKI, KONRAD KOŁODZIEJSKI,
CEZARY KOWAŁSKI, JAROMIR KWIATKOWSKI, JAKUB
MACIEJEWSKI, LECH MAKOWIECKI, RYSZARD MAKOWSKI,

DARIUSZ MATUSZAK, ALEKSANDER NAŁASKOWSKI,
MARZENA NYKIEL, SAMUEL PEREIRA, JAN PIETRZAK,
ANDRZEJ RAFAŁ POTOCKI, WOJCIECH RESZCZYŃSKI,
JAN ROKITA, ALEKSANDRA RYBINSKA, PIOTR SŁABEK, ROBERT
TEKIELI, MACIEJ WALASZCZYK, BRONISŁAW WILDSTEIN,
MAŁGORZATA WOŁCZYK, PIOTR ZAREMBA, DOMINIK ZDORT,
ANDRZEJ ZYBERTOWICZ

WYDAWCA: FRATRIA SP. Z O.O.
PREZES: ROMUALD ORZEŁ
UL. LEGIONÓW 126-128,
81-472 GDYNIA
REDAKCJA@FRATRIA.PL, WWW.FRATRIA.PL



DYREKTOR WYDAWNICZY: MACIEJ WOŚKO
PRODUKCJA I DYSTRYBUCJA: MARIOLA BARCİKOWSKA,
MARIOLA.BARCİKOWSKA@FRATRIA.PL

DYREKTOR ARTYSTYCZNY:
MICHAŁ KORSUN, MICHAŁ.KORSUN@FRATRIA.PL

STUDIO GRAFICZNE: ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI (KIEROWNIK),
ANDRZEJ.SKWARCZYŃSKI@FRATRIA.PL,
LIDIA SŁOWIKOWSKA-SMOLIŃSKA, KATARZYNA ŁASKOWSKA
PROJEKT GRAFICZNY: MICHAŁ KORSUN
FOTOEDYCJA: ANNA ŁABĘCKA, ANIA.LABECKA@FRATRIA.PL

PRENUMERATA WYDANIA PAPIEROWEGO:
TEL. (22) 616 36 00 (GODZ. 14.00 – 16.00)
PRENUMERATA@FRATRIA.PL
REGULAMIN ORAZ WARUNKI PRENUMERATY NA STRONIE
WWW.SIECI.PRAWDY.PL

WPLAT ZA PRENUMERATĘ PROSIMY DOKONYWAĆ NA KONTO:
91 1240 5354 1111 0010 7713 6290
FRATRIA SP. Z O.O., UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA,
W TYTULE WPLATY WPISUJĄC PEŁNE DANE ADRESOWE DO
WYSYŁKI ORAZ RODZAJ PRENUMERATY

DRUK: WALSTEAD KRAKÓW SP. Z O.O.

DYREKTOR DS. ROZWOJU BIZNESU:
KATARZYNA MARCHEWKA – KATARZYNA.MARCHEWKA@FRATRIA.PL

BIURO REKLAMY:
REKLAMA@FRATRIA.PL, TEL. (22) 463 49 93

KOLPORTAŻ: KOLPORTAŻ@FRATRIA.PL

REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO REDAGOWANIA
I SKRACANIA TEKSTÓW. COPYRIGHT © FRATRIA SP. Z O.O.
WSZYSTKIE PRAWA ZASTRZEŻONE
(WŁĄCZNIE Z TŁUMACZENIEM NA JĘZYKI OBCE).
REDAKCJA NIE ZWRACA MATERIAŁÓW NIEZAMÓWIONYCH.
OGŁOSZENIA I REKLAMY NIE STANOWIĄ MATERIAŁU
POCHODZĄCEGO OD WYDAWCY.
BEZUMOWNA SPRZEDAŻ NUMERÓW BIEŻĄCYCH I ARCHIWALNYCH
PO CENIE NIŻSZEJ OD USTALONEJ PRZEZ WYDAWCĘ, JEST
ZABRONIONA, NIELEGALNA I GROZI ODPOWIEDZIALNOŚCIĄ KARNĄ.



FOT. NA OKŁADCE: A. WIKTOR & W. OLUSNIK/EAST NEWS,
A. BANASZ/POLSKAPRESS/EAST NEWS, SHUTTERSTOCK/KA

A portrait of a man with a shaved head and a beard, wearing a dark clerical shirt with a white collar. He is looking slightly to the right. The background is a blurred stone wall.

60 godzin piekła, czyli list ks. Olszewskiego z aresztu

Fot. Andrzej Banas - Gazeta Krakowska / East News

Publiczne upokarzanie, nieludzkie traktowanie i esbeckie metody pod dyktando Prokuratury Krajowej rządzonej przez uzurpatorów Adama Bodnara. Tygodnik „Sieci” dotarł do osobistej relacji zatrzymanego 26 marca br. księdza Michała Olszewskiego z fundacji Profeto. List wysłany do bliskich księdza to wstrząsający opis gehenny, którą skrzętnie ukrywa nadzorowana przez Tuska ABW oraz zarządzana przez Bodnara prokuratura



WOJCIECH BIEDROŃ

Opis tego, co funkcjonariusze i śledczy wyprawiali z ks. Michałem Olszewskim, zatrzymanym w związku ze sprawą Funduszu Sprawiedliwości, jest jednocześnie aktem oskarżenia przeciwko obecnej władzy, która sięgnęła po upierne narzędzia, by wymusić na kapłanie zeznania niekorzystne dla polityków Suwerennej Polski.

„Lej do butelki” i „My nie jesteśmy od karmienia” – takie słowa usłyszał ks. Olszewski od funkcjonariuszy Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego, gdy pozbawiony możliwości załatwienia potrzeb fizjologicznych i bez jedzenia przez kilkadziesiąt godzin znajdował się pod „opieką” funkcjonariuszy ABW i prokuratorów. Ci potraktowali go jak najgorszego bandytę i terrorystę, rzuconego na cuchnący siennik, ledwie tylko pokrywający twardą stalową prycę w celi.

Prokuratura Krajowa przez tydzień ukrywała szczegóły dochodzenia specjalnego zespołu śledczych, którzy wsparci przez Tomasza Mraza, byłego dyrektora w Funduszu Sprawiedliwości i protegowanego Romana Giertycha, tkali intrygę mającą na celu zatrzymanie i aresztowanie ks. Olszewskiego. Zarzuty wobec duchownego są bardzo ogólnikowe. Wynika z nich niewiele, podobnie jak z pracy zespołu śledczych.

Tygodnik „Sieci” dotarł do świadectwa ks. Olszewskiego, który w specjal-

nym liście opisuje męczarnię, przez którą przeszedł podczas pierwszych kilkudziesięciu godzin od zatrzymania. Tych informacji bano się w Prokuraturze Krajowej. Dlaczego? Z relacji księdza jasno wynika, że szokujące działania funkcjonariuszy ABW były podyktowane instrukcjami z prokuratury.

„Obudził mnie krzyk dobiegający z dołu, że »przyjechali w kominiarkach«. Usłyszałem walenie do drzwi i trepy dudniące po drewnianym tarasie” – rozpoczyna swoją relację duchowny. „Chciano mnie wstępnie przesłuchać,

„Lej do butelki” i „My nie jesteśmy od karmienia” – takie słowa usłyszał ks. Olszewski od funkcjonariuszy Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego

ale odmówiłem podpisania protokołu z zatrzymania oraz z przeszukania. Wtedy usłyszałem od pani funkcjonariusz ABW, że »prokurator się wkurzy, ale to pana sprawa, gdyby pan współpracował, to na pewno dziś wróciłby pan do domu, a tak będzie różnie«” – pisze ks. Olszewski.

ZASTRASZYĆ I PONIŻYĆ

Kolejne słowa duchownego wskazują, że funkcjonariusze ABW na zlecenie prokuratury od pierwszych minut od zatrzymania chcieli upokorzyć ks. Ol-

szewskiego, złamać jego ducha. Według księdza prym w tym nękanii wiodła wyjątkowo zacięta i złośliwa funkcjonariuszka. Fakt, że do tej roli wybrano właśnie kobietę, wskazuje na celowość i perfidię tych działań.

„W drodze [do Warszawy – red.] miałem prośbę, bym mógł na MOP-ie skorzystać z WC. Usłyszałem, że za chwilę zjedziemy na stację benzynewą. Prosiłem, by było to na MOP-ie, gdyż tam nie ma ludzi, a widziałem, jaką radość mieli funkcjonariusze (szczególnie pani) z tego, co dzieje się od rana w mediach. Zrozumiałem więc, że operacja jest też medialna i na szeroką skalę. Chciałem uniknąć ludzi [gapiów – red.]. Niestety, nie uwzględniono mojej prośby. Konwój wjechał na sygnale na Orlen [...]. Mnie w kajdankach zaprowadzono do WC na stacji, a po opuszczeniu WC funkcjonariusze ABW zamawiali sobie hot dogi, a ja stałem skuty na środku sklepu na stacji. Ludzie robili mi oraz funkcjonariuszom w kominiarkach zdjęcia. Prosiłem też, by kupiono mi coś do jedzenia (było już po 12.00, ale dowiedziałem się, że oni »nie kupują«). Pierwszy posiłek zjadłem po 60 godzinach, gdy do sądu mecenas przyniósł mi paczkę od brata! Pierwszy zaś kontakt z nim miałem po 20 godzinach” – napisał ks. Olszewski.

BUTELKA JAK PISUAR

Dalsze działania funkcjonariuszy ABW wobec księdza przypominają psychiczne tortury.

„Zawieziono mnie na »dołek«. Od 6 rano, przez cały dzień (nawet przy

czynnościach fizjologicznych) byłem skutą. Ani na chwilę nie zdjęto mi kajdanek. Usłyszałem, że o tej porze nie ma ani kolacji, ani wody. Ublagałem pół butelki wody z kranu, przyniesionej w butelce, która stała w celi. Rano, kiedy prosiłem, by zaprowadzono mnie do WC, usłyszałem: »Lej do niej« – relacjonuje ksiądz.

Te porażające słowa rozpoczęły dalszą część szykan i nieludzkiego zachowania funkcjonariuszy. Ks. Olszewskiego potraktowano według specjalnej procedury zarezerwowanej dla najbardziej niebezpiecznych przestępców, w tym terrorystów.

„Gdy wróciłem do celi, posprzątałem ją po poprzednim lokatorze i padłem jak nieżywy. Po krótkiej chwili nagle zapaliło się światło. Okazało się, że jestem pod »specjalnym nadzorem«. Stąd kamera, kajdanki, budzenie światłem przez całą noc, co godzinę! Tak było przez pierwsze dwa tygodnie” – wspomina duchowny.

„WITAJ W PIEKLE”

Przez te kluczowe kilkadziesiąt godzin od zatrzymania ks. Michała Olszewskiego spotykał się wręcz z diabelskim zacietrzewieniem funkcjonariuszy, ale byli też inni, którzy rozumieli, że jest on ofiarą politycznych porachunków Tuska i Bodnara.

„Wtedy zobaczyłem cały ten medialny cyrk i całą tę hucpę. [...] Jeden z konwojentów powiedział do mnie: »Pamiętaj, to jest na jakiś czas. Ale to, co jest najważniejsze, to to, że serca i głowy nie da się uwięzić«. [...] Gdy wysiadłem, w bramie aresztu było wielu funkcjonariuszy, »gapiów«. Czulem się jak małpa w cyrku. Jeden z nich powiedział do mnie: »Witaj w piekle« [...] Do dziś jest dla mnie trudne, że muszę rozbierać się do naga przy każdej kontroli, którą przechodzę, zmieniając oddział (np. gdy idę do kaplicy). Niewiele spałem przez ostatnie noce, stres swoje zrobił, praktycznie wydaje mi się, że oglądałem jakiś film z moim udziałem” – napisał ks. Olszewski.

ZŁAMAĆ KSIĘDZA

Duchowny mógł odetchnąć dopiero, gdy trafił pod opiekę Służby Więziennej, a funkcjonariusze ABW dali mu względny spokój. O ile „spokojem” nazywamy sytuację, w której człowiek nigdy niekarany, o doskonałej reputacji, znaj-

„Gdy wróciłem do celi, posprzątałem ją po poprzednim lokatorze i padłem jak nieżywy. Po krótkiej chwili nagle zapaliło się światło. Okazało się, że jestem pod »specjalnym nadzorem«. Stąd kamera, kajdanki, budzenie światłem przez całą noc, co godzinę! Tak było przez pierwsze dwa tygodnie” – pisze duchowny

duje się w areszcie śledczym. Dlaczego doszło do tej sytuacji, skąd ta wściekła reakcja ABW, której funkcjonariusze działali pod wyraźnym dyktando prokuratury Adama Bodnara?

– Miało to na celu złamanie go, wciąż był namawiany, by „coś” zeznać. Funkcjonariusze ABW przekonywali mojego klienta, że dzieje się tak na wyraźne polecenie prokuratora. „Jak będziesz zeznawał, to prokurator cię wypuści do domu” – wciąż słyszał mój klient. Ksiądz otrzymał stary, śmierdzący siennik w celi – mówi nam adwokat Krzysztof Wąsowski, pełnomocnik ks. Olszewskiego.

Adwokat przyznaje, że sytuacja zmieniła się po powrocie duchownego do Warszawy. Funkcjonariusze ABW sami mieli stwierdzić, że „cała ta akcja ma charakter polityczny”. To jednak nie koniec.

– Funkcjonariusze Służby Więziennej nie rozumieją, dlaczego mój klient został poddany tak ciężkiemu aresztowi i takim obostrzeniom. Przekonują, że dzieje się tak na zlecenie organu prowa-

dzającego sprawę, czyli Prokuratury Krajowej. Co godzinę w nocy ma włączone światło w celi, by musiał się zbudzić. Na korytarz aresztu ks. Michał wchodzi skutą kajdankami i nikt nie może znajdować się na trasie jego przejścia. Jest traktowany jak terrorysta. To nie jest wina Służby Więziennej, ale to wymóg prokuratury. To są działania mające na celu „zmiękczyć” mojego klienta – opowiada mec. Wąsowski.

Adwokat ma obecnie kontakt ze swoim klientem. Wcześniej nie było to normą i były przypadki utrudniania mu spotkań z ks. Olszewskim. Wszystko przez postawę prokuratury. – To były ewidentne złośliwości – mówi mec. Wąsowski.

Zapytaliśmy też pełnomocnika ks. Olszewskiego o stan psychiczny duchownego, który od ponad trzech miesięcy przebywa w ciężkim areszcie.

– Jego stan psychiczny jest dużo lepszy niż na początku osadzenia go w areszcie. Jego psychika się ustabilizowała. Ma poczucie ogromnej krzywdy, ale odezwał się u niego duch sportowca. On się im nie da. Niestety, a dzieje się tak także z innymi osobami aresztowanymi w tej sprawie, pojawiają się takie strzały depresji. Niby wszystko jest ok, ale przychodzi nagle dół i wtedy popada się w rozpacz. To niezwykle trudne i trzyma nawet kilka godzin. To ma na celu dolażanie aresztowanych, zmiekczenie ich – mówi mec. Wąsowski w rozmowie z tygodnikiem „Sieci”.

Innym przykładem zmiekczenia ks. Olszewskiego było to, że prokurator złośliwie odmawiał mu przyjęcia paczki higienicznej od bliskich. Śledczy miał nie odpowiadać na pisma księdza, który przez dwa miesiące musiał sobie jakoś radzić z kwestią higieny.

HIPOKRYZJA BODNARA

Postawa prokuratorów Adama Bodnara w wobec ks. Michała Olszewskiego może szczerze dziwić, jeśli przytoczy się słowa prokuratora generalnego, gdy był on jeszcze Rzecznikiem Praw Obywatelskich. Wtedy występował przeciwko aresztom wydobywczym i metodom, które obecnie stosują jego

ludzie. W 2016 r. napisał nawet skargę do Trybunału Konstytucyjnego na brak określenia maksymalnego czasu tymczasowego aresztowania. Powołał się przy tym na polską ustawę zasadniczą oraz na europejską Konwencję o Ochronie Praw Człowieka i Podstawowych Wolności.

Z kolei w maju br., gdy ks. Olszewski odsiadywał drugi miesiąc tymczasowego aresztu, Bodnar zapowiedział, że „przesłanka surowej kary nie będzie mogła być jedyną jego podstawą, a prokuratura będzie musiała wykazać obawę ucieczki albo mataczenia”. To jednak nie koniec. Minister sprawiedliwości chce, by „zasadniczy okres aresztowania został skrócony do jednego miesiąca, a maksymalny ma nie przekraczać trzech lat. Jak to wszystko ma się do wniosku Prokuratury Krajowej, która domagała się (skutecznie), by przedłużyć ks. Olszewskiemu areszt tymczasowy o kolejne trzy miesiące?

ROLA TOMASZA MRAZA

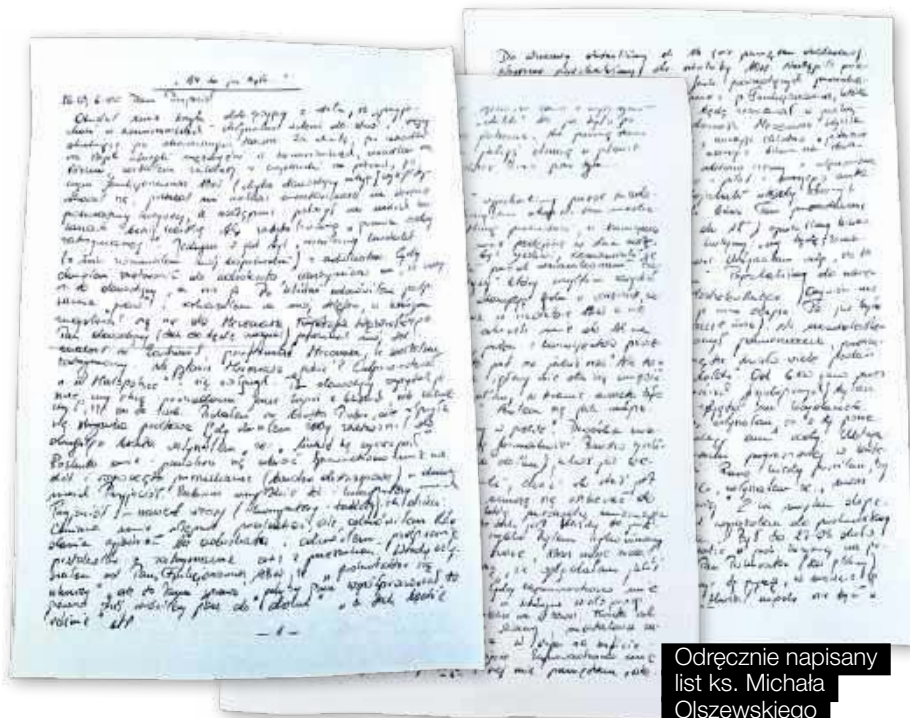
Wątpliwości prawnych jest jednak więcej. Prokuratura przekonuje, że ks. Michał Olszewski oraz inne osoby rzekomo zamieszane w przestępstwo, „działając wspólnie i w porozumieniu doprowadzili do udzielenia wsparcia finansowego fundacji Profeto, mimo tego, że fundacja ta nie spełniała warunków formalnych i merytorycznych do uzyskania dotacji. Działania podejrzanych miały polegać między innymi na rzekomym poświadczaniu nieprawdy w dokumentacji co do spełniania wymogów formalnych, a nadto na zawyżaniu punktacji w zakresie realizacji wymagań i warunków merytorycznych”. Dwa sądy zgodziły się z założeniami materiału dowodowego.

– Sąd powtórzył i podtrzymał wszystkie tezy prokuratury. Wypisano całą masę rzekomych świadków, którzy mieliby potwierdzić ustalenia śledczych. Tylko jeśli się wczytać w tę listę świadków, wszystko jest tam pomieszane. Pomieszane są osoby i zarzuty. Pani sędzia robiła to sztamowo i nie mam wątpliwości, że nie zapoznała się z całościowym materiałem. Wszyscy obrońcy zwrócili się o możliwość upublicznienia

Funkcjonariusze Służby Więziennej nie rozumieją, dlaczego mój klient został poddany tak ciężkiemu aresztowi i takim obostrzeniom. Przekonują, że dzieje się tak na zlecenie organu prowadzącego sprawę, czyli Prokuratury Krajowej. To są działania mające na celu „zmiękczyć” mojego klienta – opowiada mec. Wąsowski.

materiałów ze śledztwa, ale prokuratura się na to nie zgodziła – powiedział nam mec. Wąsowski.

Adwokat wskazuje, że za „kolorytem” zarzutów i ich „atrakcyjnością” dla sądu stoi Tomasz Mraz, mały świadek koronny i były dyrektor w Funduszu Sprawiedliwości. Problem w tym, że zdaniem pełnomocników aresztowanych w sprawie Funduszu, wiarygodność tych wyjaśnień może być podważona.



Odręcznie napisany list ks. Michała Olszewskiego

– Pan Mraz opowiada o ks. Olszewskim niestworzone rzeczy. Twierdzi, że ksiądz był „ustawiony z Ziobrą”. Opowiada też o tym generalny wykonawca inwestycji, który mówi o „ustawce”. Szkopuł w tym, że te opowieści nie wytrzymują zderzenia z rzeczywistością i z zarzutami, które usłyszeli podejrzani – twierdzi mec. Wąsowski. – Problem polega na tym, że prokuratura nie jest w stanie wskazać przepisu, który został rzekomo naruszony. Co jest nadużyciem uprawnień lub niedopełnieniem obowiązku? To, na co wskazuje prokuratura, jest absurdem. Przecież do sprawy Profeto została wyłączona procedura zamówień publicznych, więc mogli sobie wybrać takiego generalnego wykonawcę inwestycji, jakiego chcieli. Opowieści świadków mogą medialnie mrozić krew w żyłach, ale to się prawniczo nie broni. Podobnie jest z praniem brudnych pieniędzy. Nie ma w tym przestępstwa bazowego – dodaje. Zderzenie ks. Michała Olszewskiego z aparatem państwa, czyli z funkcjonariuszami ABW Donalda Tuska i prokuratorami Adama Bodnara, to przykład, jak miażdży się ludzi w bezdusznej maszynie prokuratorsko-sądowej. Powinien on zostać nagłośniony. Jutro ks. Olszewskim może być każdy z nas.



Podbita Polska

Rządy Donalda Tuska przywodzą na myśl, zachowując wszelkie proporcje, władzę okupacyjną. Wydaje się bowiem, że ich głównym celem jest upokorzenie Polski



KONRAD KOŁODZIEJSKI

W ostatnią środę Donald Tusk ogłosił, że wyrzuci projekt CPK do śmietnika. Oczywiście nie powiedział tego wprost, bo byłoby to dla niego politycznie zbyt kosztowne. Zamiast więc zagrać w otwarte karty, zaczął, jak ma w zwyczaju, opowiadać ludziom bajki. Stwierdził, że nowe

lotnisko powstanie – tylko że będzie mniejsze, będą też nowe linie kolejowe – tyle że będzie ich mniej, a LOT kupi nowe samoloty. I rzecz najważniejsza, zmiana nazwy – CPK będzie się odtąd nazywał Megalopolis.

Na wieść o tym zgraja lemingów wpadła w ekstazę. „Czyli kaCaPiK mamy z głowy. Z czym teraz wyskoczą ruskie trolle i kacapszy propagandiści?” – zapytał na platformie X (d. Twitter) Tomasz Lis. Przygasły gwiazdor liberalnych mediów zachwycił się zagrywką Tuska, bo jego zdaniem szef rządu zapędził zwoleńników CPK w kozi róg. Radość, że udało się pogrzebać „pisowski” projekt

była tak wielka, że nikt nawet nie zapytał Tuska, na jakiej podstawie podjął on decyzję w sprawie CPK, skoro nie doczekaliśmy się oficjalnych audytów tej inwestycji. Prawdopodobnie wszyscy doskonale wiedzieli, że nigdy żadnych nie przeprowadzono, bo nie miały one najmniejszego znaczenia. Ważne było co innego – aby sprytnie utracić CPK. Dlatego wszystko tyle trwało.

Jednak nie chodzi wyłącznie o to, że Tusk mówi o zastąpieniu CPK zupełnie nową inwestycją, co musi oznaczać stratę cennego czasu i gigantyczne marnotrawstwo publicznych pieniędzy. Problem polega na tym, że tak naprawdę premier

Fot. Ludmyla Kozłowa

nie chce niczego budować, a jego projekt to zwykłe mydlenie oczu, bo żadne nowe lotnisko, żadne Megalopolis prawdopodobnie nigdy nie powstanie.

STRATEGIA NIEDOROZWOJU

Tusk rządził Polską przez siedem lat, więc sporo o nim wiemy, a przynajmniej powinniśmy. Np. to, że we wszystkim, co robi, kieruje się swoim własnym, politycznym interesem, a przy tym zawsze stara się unikać bezpośredniego starcia z opinią publiczną. Jego machinacje przy CPK są modelowym przykładem tej strategii.

Nie chciał tej inwestycji od samego początku, bo jest ona „pisowską megalomanią”, bo to „wyrzucanie pieniędzy w błoto”, bo „mamy lotnisko w Berlinie”. Wulgarny atak na PiS miał negatywnie nastawić Polaków do projektów rozwojowych poprzedniego rządu i sprawić, że bez protestów przyjmą oni rezygnację z wielkich inwestycji. Wszystko, co „pisowskie”, miało być z definicji złe, podejrzane, godne pogardy i odrzucenie. Okazało się jednak, że wielu ludzi – wśród nich nawet ci, którzy chcieli „j...ć PiS” – wcale nie zamierzają...ć Polski i w związku z tym nie uważa, że państwo zbudowane w ciągu ostatnich ośmiu lat należy teraz mściwie zrównać z ziemią. Przeciwnie, chcą oni dalszego rozwoju kraju, a ich błąd intelektualny podczas wyborów polegał na tym, że przekazali to zadanie obecnej koalicji.

Debata na temat CPK pokazała wielki rozdźwięk pomiędzy oczekiwaniami i aspiracjami społeczeństwa a polityką prowadzoną przez Tuska. Bo tak naprawdę przedmiotem tej debaty było nie tylko lotnisko, lecz także przyszłość kraju. Pytano bowiem o to, czy Polska ma pozostać na ścieżce dynamicznego rozwoju, czy też cofnąć się do czasów, gdy ludzie musieli szukać pracy na polach szparagów w Niemczech. To zrozumiałe, że nikt, kto poczuł się w Polsce częścią mitycznego Zachodu, nie chciał być z powrotem wyrzucony za jego próg.

Paradoksalnie za ten wzrost aspiracji Polaków odpowiada nie tylko PiS, które położyło zręby pod sukces gospodarczy kraju, lecz także Platforma, roztaczająca świetlane wizje zasobnego życia we wspólnej Europie. Unia miała być zbawieniem dla Polski, dlatego więc teraz,

po ponownym objęciu władzy przez Tuska, mamy rezygnować z własnych aspiracji? Dlaczego zamiast rozwoju mamy się kurczyć? Czemu zamiast dumy mamy odczuwać wstyd? Te pytania oraz związane z nimi obawy stały się motorem sporu o CPK i kluczem do zrozumienia dużego poparcia dla jego budowy.

Ostatecznie premier nie zdołał przelać społecznego oporu i musiał zmienić strategię. W miejsce CPK wymyślono więc nowy projekt Megalopolis, który ma sprawić wrażenie, że Tusk ugiął się pod presją.

POKAZ SLAJDÓW

Nawet pobieżny rzut oka wskazuje, że nieszczęsne Megalopolis Tuska to zmyłka dla naiwnych. I nie chodzi tylko o to, że poważną inwestycję, jaką był CPK, zastąpiono pokazem slajdów. Bo nawet z tych kilku zdjęć wynika, że wciśnięta nam dziadowski i kompletnie dysfunkcyjny projekt. Przede wszystkim nie będzie jednego dużego portu, lecz duoport z Modlinem, który ma zostać rozbudowany na użytek Ryanaira. Z tego powodu przepustowość nowego lotniska została ograniczona do 34 mln pasażerów – to tylko o 4 mln więcej niż docelowo osiągnie Okęcie, które ma zostać najpierw rozbudowane, a zaraz potem prawdopodobnie zamknięte.

Trudno to uznać za przemyślaną koncepcję. Nic dziwnego, że z udziału w takim przedsięwzięciu chce się wycofać największy inwestor CPK – grupa Vinci, która zamiast Megalopolis woli budować wielki hub transportowy na lotnisku w Budapeszcie. Vinci to poważny gracz na rynku, więc nie będzie wchodził w niepewne, amatorskie projekty, o których z góry wiadomo, że przyniosą straty.

Równie źle wygląda segment kolejowy, który w koncepcji Tuska zostanie w praktyce zlikwidowany. Zamiast szprych kolejowych, które miały połączyć niemal każdy zakątek Polski z nowym lotniskiem, pozostanie jedynie stara koncepcja linii dużych prędkości z Warszawy przez Łódź do Poznania i Wrocławia. Wiele miast, zwłaszcza mniejszych i tych na ścianie wschodniej, zostało zupełnie pominiętych. Kuriozalny jest przypadek Szczecina, którego mieszkańcy zostali skazani na

lotnisko w Berlinie. Jeśli zdaniem Tuska tak powinna wyglądać strategia rozwoju dużego europejskiego kraju, to lepiej pożegnajmy się dzisiaj z marzeniami o bogatej, suwerennej Polsce.

Partacki projekt Megalopolis może świadczyć – i zapewne świadczy – o niskich kompetencjach ekipy Tuska. Nie wyjaśnia jednak tego, dlaczego premier oparł się w swojej polityce na ludziach o tak niewielkiej przenikliwości.

Pierwsza odpowiedź, jaka się nasuwa, jest taka, że Tusk nie chce żadnych inwestycji i nie zależy mu na rozwoju Polski, a nieszczęsne Megalopolis służy tylko temu, aby uciszyć opinię publiczną. Co w takim razie jest jego celem, skoro nie chodzi mu o pomyślność państwa?

HODOWLA CIEMNOTY

W ciągu zaledwie pół roku rządów Tuska nasz kraj wyzbył się wszystkich ambicji. Z dynamicznie rozwijającego się europejskiego państwa zamieniliśmy się nagle w zalężnione popychadło, które pokornie ucieka przed kopniakami. Niemiecka policja bezkarnie wjeżdża do Polski i podrzuca nam imigrantów. Rząd zgadza się na pakt migracyjny i realizuje unijną agendę prawną, oddając bezpieczeństwo własnych obywateli w ręce obcych instytucji. Mówi się o rychłym przyjęciu euro i oddaniu w cudze ręce zasobów Narodowego Banku Polskiego. Postępuje demontaż suwerenności. Likwidacja CPK wpisuje się w tę strategię i może uchodzić za jej symbol.

Być może Tusk i jego świta uznali po prostu, że jedyną gwarancją zachowania przez nich pozycji i przywilejów (bo przecież nie realnej, suwerennej władzy) jest przekształcenie Polski w cudzy protektorat, w którym będą pełnić rolę obcych namiestników. I choć brzmi to przerażająco, w świetle dotychczasowej polityki rządu Tuska wydaje się całkiem logiczne. Trudno przecież uwierzyć, że w warunkach demokratycznego, niezależnego państwa byłby on w stanie – przy tego rodzaju polityce, jaką prowadzi – wygrać kolejne wybory.

Można sobie oczywiście wyobrazić, choć z pewnym trudem, że istnieje w Polsce grupa wyborców odrzucających suwerenność i ambicje narodowe wystarczająca, aby dać Tuskowi zwycięstwo.

On sam bardzo zresztą dba o to, aby wychować sobie takich ludzi. Oprócz ewidentnych fiksatów spod znaku ośmiu gwiazdek oraz elity finansowej gotowej dla własnego zysku sprzedać własny kraj są przecież tysiące ludzi codziennie fałszerowanych medialną propagandą. Jest wreszcie młodzież, którą świadomie pozbawia się wiedzy o własnym kraju i jego dokonaniach, czego przykładem mogą być ostatnie zmiany programowe w szkołach, zakładające ograniczenie nauki historii Polski oraz cięcia listy lektur.

Trudno pojąć wyrzucanie dzieł Żeromskiego, Sienkiewicza i Mickiewicza. Pozbawianie młodego pokolenia polskiego kodu kulturowego jest przecież formą wynarodowienia, być może mniej brutalną od tej, którą stosowali zaborcy i okupanci, ale wywołującą podobne skutki. Człowiek wychowany w niewiedzy i poczuciu wstydu za własny kraj łatwo się odcina od tego kraju i jego tradycji. Na takich ludziach nigdy nie zbuduje się silnego, suwerennego państwa. Jeśli na dodatek będą to ludzie źle wykształceni, to skończą jako słabo wykwalifikowana siła robocza. Czy tego rodzaju politykę edukacyjną może realizować rząd, któremu zależy na własnym państwie?

Oczywiście można zrzucać odpowiedzialność na intelektualne deficyty obecnego kierownictwa MEN, ale właśnie takim ludziom powierzył edukację Donald Tusk. Być może przypadkiem albo z koalicyjnej konieczności, ale to mało prawdopodobne przyczyny. Tusk jest po prostu zbyt brutalnym człowiekiem, aby ulegać komuś, kto stoi niżej od niego w hierarchii. A skoro nie ulega, to mianowanie pani Nowackiej było celowe.

Tusk hoduje nowe społeczeństwo. Niezdolne do samodzielnego myślenia, pozbawione ambicji i wiedzy, wynarodowione – tylko tacy ludzie zagwarantują trwałość władzy, którą buduje on dla siebie, swojego środowiska oraz swoich zagranicznych sprzymierzeńców. Prof. Andrzej Nowak opisał to kiedyś trafnie jako sojusznik Tuska „z chamstwem, z postpolityczną holotą, która nie chce wiedzieć nic o tradycji polskiej, europejskiej, o kulturze, o historii i która chce wyrzucić na śmietnik »tych Mickiewiczów i Sienkiewiczów«”.

SPROWADZENI DO PARTERU

W strategii Tuska kryje się jednak zagadka. Zrozumiałe, że dla utrzymania władzy potrzebuje on jak największej liczby popierającej go ciemnoty. Jednak ta ciemnota musi przecież dostać jakąś marchewkę: dobrze zarabiać, wyjeżdżać na zagraniczne wakacje, oddawać się bezmyślnej konsumpcji. Tymczasem nie zapowiada takiej przyszłości, bo politycznej i kulturowej degradacji Polski towarzyszy zapaść gospodarcza.

Z naszego kraju wycofują się zagraniczni inwestorzy, każdego dnia dowiadujemy się o grupowych zwolnieniach, które obejmują kolejne branże. Usługi

Tusk hoduje nowe społeczeństwo. Niezdolne do samodzielnego myślenia, pozbawione ambicji i wiedzy, wynarodowione – tylko tacy ludzie zagwarantują trwałość jego władzy

publiczne są coraz bardziej okrojone – znikają szkoły i bankrutują szpitale, bo brakuje pieniędzy na leczenie. Rząd nie inwestuje, oprócz CPK dotyczy to energetyki jądrowej (bez której nie będzie taniej energii) oraz infrastruktury transportowej, takiej jak terminale portowe, linie kolejowe i drogi. Oficjalną przyczyną jest brak środków w budżecie państwa. To dość zaskakujące tłumaczenie, bo jeszcze w marcu środki były, a minister finansów zapewniał, że sytuacja budżetowa jest dobra. Jak to się więc stało, że w ciągu zaledwie trzech miesięcy wszystkie pieniądze wyparowały?

Oczywiście pieniądze nie znikają, a jeśli już znikają, to zazwyczaj w czyichś kieszeniach. Efekt jest jednak taki, że nasze realne dochody spadną, za to ceny – wskutek obłąkanej polityki energetycznej – gwałtownie wzrosną. Standard życia Polaków będzie więc coraz

niższy, a ich poczucie bezpieczeństwa gwałtownie zmaleje z powodu imigrantów i wojny na wschodzie. Tkwi w tym spory potencjał wybuchowy, który może wysadzić obecną władzę w powietrze.

Niewykluczone, że ministrowie Tuska są zbyt ułomni, aby przewidywać taki rozwój wydarzeń, ale on sam musi mieć świadomość ryzyka. Aby go uniknąć, powinien więc dbać o rozwój i bezpieczeństwo kraju, aby ludziom, choćby nawet otepionym i wynarodowionym, żyło się nieźle. On jednak zachowuje się tak, jakby ich los w ogóle go nie interesował. To jest właśnie ta zagadka.

Nie wiadomo, jaką wyjaśnić. Być może odpowiedź są jakieś uwikłania lub zobowiązania Tuska. Trudno bowiem ukryć, że prowadzona przez niego polityka jest obiektywnie korzystna dla naszych zagranicznych konkurentów, w szczególności dla Niemiec. Jak bowiem racjonalnie wytłumaczyć trwający od pół roku bezwład Polski, jej wasalstwo wobec sąsiadów, wręcz upokarzanie naszego kraju? Zapewne Tusk bije obcasami w cudzych stolicach, ale ten poziom służalczości, z którym mamy dziś do czynienia, musi budzić zdumienie nawet wśród ludzi, którzy nie mieli żadnych złudzeń wobec obecnej władzy.

Polska przypomina dziś podbity i pozbawiony przyszłości kraj. Najważniejsze decyzje zapadają poza naszymi granicami, a władza nie potrafi lub nie chce temu przeciwdziałać. Społeczeństwo traci grunt pod nogami i nie ma kontroli nad tym, co się wokół dzieje. Ludzi pozbawia się tożsamości, wykształcenia oraz perspektyw lepszego życia. Nie tylko stracą część swoich dochodów, lecz także będą mieli utrudniony dostęp do usług publicznych, zwłaszcza takich jak służba zdrowia, edukacja oraz transport. Rządy Tuska przywołują na myśl, zachowując wszelkie proporcje, władzę okupacyjną, której głównym celem jest sprowadzenie nas do parteru.

Odbudowa kraju po tych rządach będzie przypominać odgruzowanie rumowiska po trzęsieniu ziemi i zajmie dekadę albo dłużej, o ile w ogóle będzie możliwa. Najgorsze jest jednak to, że po jakimś czasie – jeżeli sytuacja się poprawi – mogą znaleźć się kolejni głupcy, którzy wybiorą następców Tuska. 



Koalicja wojen domowych

Metoda Tuska: im koalicjanci bardziej skłóceni, tym łatwiej nimi manipulować oraz przepychać decyzje służące tylko jemu i jego partii



STANISŁAW JANECKI

Wbrew urzędowemu optymizmowi po ośmiu miesiącach wspólnego rządzenia w różnych częściach koalicji 13 grudnia wrze. Najważniejsze są wojenki wewnątrz Platformy Obywatelskiej, głównie o obsady stanowisk, które formalnie nie są wolne. To raczej nie zagraża trwałości rządzącego bloku, ale jego skuteczności już tak.

Trwałości koalicji zagraża natomiast coraz mocniejszy konflikt szefa MSWiA Tomasza Siemoniaka z ministrem obrony Władysławem Kosiniakiem-Kamyszem. Na całego trwa wojna wewnątrz Trzeciej Drogi między PSL a Polską 2050. No i coraz gorętszy jest spór między partią Razem a trzonem Nowej Lewicy wywodzącym się z Sojuszu Lewicy Demokratycznej oraz partii Wiosna.

Po śmierci ugodzonego nożem (28 maja 2024 r.) na granicy z Białorusią sierż. (awansowanego pośmiertnie) Mateusza Sitka oraz zatrzymaniu żołnierzy strzelających ostrzegawczo na białoruską stronę pod koniec marca 2024 r. rozgorzał konflikt między ministrami Tomaszem Siemoniakiem (MSWiA) a Władysławem Kosiniakiem-Kamyszem (MON). Każdy z nich chce wzmocnić swoją pozycję kosztem drugiego i wymigać się od odpowiedzialności za to, co stało się na granicy. Domagając się dodatkowych uprawnień kosztem konkurenta.

Tusk sprzyja Siemoniakowi, bo chce mieć dodatkowe narzędzie nacisku na Kosiniaka-Kamysza i PSL, szczególnie gdyby doszło do rozpadu Trzeciej Drogi. Minister obrony chyba słusznie podejrzewa premiera o inspirowanie ataków medialnych na niego po tym, co się stało na granicy. Żeby go osłabić i roznieść. W tym kontekście Tuskiowi jest też na rękę wojna w Trzeciej Drodze o to, czy kontynuować tę koalicję, czy się rozstać. A od tego zależy, czy

Szymon Hołownia będzie kandydatem na prezydenta Trzeciej Drogi, czy tylko Polski 2050. Tusk chciałby bowiem wrócić do dawnego układu, czyli koalicji PO-PSL (teraz w wersji KO-Koalicja Polska) z partią ludowców jako satelitą. Aby to osiągnąć, musiałby zmarginalizować ugrupowanie Hołowni i maksymalnie osłabić jego samego.

Po ośmiu miesiącach rządów jedyne osiągnięcia koalicji 13 grudnia są duże spadki najważniejszych wskaźników makroekonomicznych oraz wojny domowe w poszczególnych ugrupowaniach.

Adrian Zandberg zarzuca
Włodzimierzowi Czarzastemu
i Robertowi Biedroniowi,
że robią z Nowej Lewicy
wycieraczkę dla Donalda Tuska

SIERŻANCI ZAMIAST GENERAŁÓW

Po uzyskaniu mandatu europosła Marcin Kierwiński miał przestać być jednym z liderów Platformy Obywatelskiej. Nie chce on jednak zrezygnować ani z kierowania warszawskimi strukturami PO, ani ze stanowiska sekretarza generalnego partii. Skoro przeszedł kryzys z „pogłosem” podczas święta strażaków, nadal chce decydować o obsadzeniu najważniejszych stanowisk w Warszawie. Jest to bowiem realna władza i gwarancja tego, że nie zostanie w PO nikim, tak jak wcześniej europosłanka Elżbieta Łukacijewska na Podkarpaciu.

Kierwiński chce mieć wpływ na wskazywanie burmistrzów dzielnic, gdzie rządzi PO, obsadę zarządów i rad nadzorczych miejskich spółek. I tu wchodzi w konflikt z prezydentem Warszawy Rafałem Trzaskowskim, pragnącym odzyskać te wpływy. A także z Donaldem Tuskiem, który też chciałby wpływać na to, co się dzieje w Warszawie, nominu-

jąc całkowicie uzależnionego od siebie szefa warszawskich struktur PO. Dzięki temu premier mógłby też kontrolować Trzaskowskiego.

Wysyłając do Brukseli Marcina Kierwińskiego, Borysa Budkę czy Jacka Protasa, Donald Tusk planuje urządzić partię po swojemu. A na miejsce Kierwińskiego jako sekretarza generalnego PO chce wstawić kogoś takiego, jak zależna od niego Wioletta Paprocka lub jeszcze bardziej uzależniona Monika Wielichowska. Ułatwiając sobie zadanie w zwalczaniu tych, których nie chce, premier robi

jeszcze wrzutki z innymi kandydatami: Janem Grabcem, Aleksandrą Gajewską czy Magdaleną Roguską. Tyle tylko, że Kierwiński nie ma zamiaru rozstawać się z krajowymi stanowiskami. I ostrzega się, że nie odda ich po dobroci. Chyba słusznie obawia się, że jeśli zostanie tylko europoseł, będzie odcięty od wpływu na partię, a przez to pozbawiony politycznego znaczenia.

Wyeliminowanie Marcina Kierwińskiego z wpływu na Platformę Obywatelską, przede wszystkim jako sekretarza generalnego, to właściwie jedyna okazja, by rozwalić dawne układy, szczególnie w regionach, często sięgające jeszcze czasów przywództwa w partii Grzegorza Schetyny i Borysa Budki. Tusk nie ufa nikomu, kogo sam nie namaścił, kto wykazuje choćby minimalną skłonność do niezależności. No i obecny przewodniczący PO pamięta wszystkie „zniewagi” z przeszłości czy lojalność nie wobec niego, ale wobec nowych liderów, gdy był w Brukseli. W regionach nie potrzebuje generałów, tylko sierżantów, którzy będą karnie wykonywali jego rozkazy. Nie potrzebuje nawet akademików, którzy nie uczestniczą w ostrych walkach o wpływy. Z tego punktu widzenia ktoś taki jak Marcin Kierwiński jest za silny i zbyt samodzielny, choćby składał dziesięć wierноподдаńczych deklaracji dziennie. A gdyby jeszcze kierował strukturami partii z Brukseli i Strasburga, byłby poza kontrolą.

Tusk lubi kontrolować wszystko i wszystkich, żeby nikt nie miał ani ochoty, ani okazji do knucia przeciwko niemu. I wszystkich podejrzewa, może z wyjątkiem Moniki Wielichowskiej i Aleksandry Gajewskiej.

ILE JEST LEWIC W LEWICY?

Ostry spór trwa na lewicy, gdzie partia Razem Adriana Zandberga walczy z przepoczwarzonymi – dawnym Sojuszem Lewicy Demokratycznej i Wiosną. Ugrupowanie zarzuca Włodzimierzowi Czarzastemu i Robertowi Biedroniowi, że robią z Nowej Lewicy wycieraczkę dla Donalda Tuska, partię całkowicie mu podporządkowaną, niemającą na nic wpływu i szkodzącą wizerunkowi oraz perspektywom lewicy. „Kluczowe postulaty, z którymi Lewica szła do wyborów w 2023 r., nie są realizowane. Zaostroża się kryzys mieszkaniowy, rosną koszty utrzymania: energii, ogrzewania, żywności, kobiety nadal nie mają prawa do decydowania o swojej ciąży. Lewica jako całość traci przez to na wiarygodności” – napisali politycy Razem po spotkaniu władz partii 23 czerwca 2024 r.

Lewica faktycznie traci – w wyborach europejskich uzyskała tylko 6,3 proc. poparcia. Ma to być skutek błędnej polityki koalicjantów z Nowej Lewicy, którzy weszli do rządu. Pozytywnych tego efektów nie widać, zaś negatywne uderzają w całą lewicę. Niedobre mają też być ustępstwa wobec liberałów narzucających rządowi linię programową. Nie ma w niej przedwyborczych priorytetów lewicy: liberalizacji prawa aborcyjnego, krótszego czasu pracy, wyższych płac oraz nakładów na ochronę zdrowia, wyzwolenia się z roli zakładników banków i deweloperów.

W Razem nie mają złudzeń, że głównym politycznym celem Koalicji Obywatelskiej jest połknięcie lewicy. A ona sama temu sprzyja, bowiem właściwie istnieje kilka lewic, co dezorientuje jej elektorat. Najgorsza ma być ta pod przywództwem Włodzimierza Czarzastego, bo za udział w rządzie płaci kompletnym podporządkowaniem Koalicji Obywatelskiej. „Nie można się zgadzać na cięcia socjalne, na antyspołeczne stanowiska, które wychodzą z minister-

stwa finansów. Twardo i jednoznacznie trzeba mówić o prawach człowieka, o równości – ale też o przestrzeganiu praw człowieka na wschodniej granicy. Ludzie o lewicowych poglądach mają prawo czuć się zawiedzeni, wkurzeni” – wyliczał Adrian Zandberg. Jeśli nic się nie zmieni i lewica będzie tylko przytakiwać, powinna wyjść z rządzącej koalicji. No i nie może być tak, że nie rozlicza się liderów – Czarzastego i Biedronia – za porażki i sondażowe dołowanie.

Wojna na górze przekłada się na doły lewicy i struktury terenowe, bo nikt ich nawet nie informuje, po co te wszystkie awantury. Próbowal to wyjaśnić wiceminister nauki prof. Maciej Gdula, ale niczego to nie zmieniło: „Partia Razem

Tusk lubi kontrolować wszystko i wszystkich, żeby nikt nie miał ani ochoty, ani okazji do knucia przeciwko niemu. I wszystkich podejrzewa, może z wyjątkiem Moniki Wielichowskiej i Aleksandry Gajewskiej

zapowiada negocjacje z Nową Lewicą co do realizacji programu i od tego uzależnia pozostanie w Klubie Lewicy. Czyli jak NL w rządzie nie przepchnie postulatów Razem, które nie weszło do rządu, to się obrażą i odejdą. NL ma odwalać całą robotę, a Razem ogłaszać sukcesy”. Tyle że tych brakuje, gdyż fakt, że po latach lewica znowu znalazła się w rządzie, raczej nie jest sukcesem, zwłaszcza jeśli jej reprezentanci niczego nie mogą.

Ale politycy Nowej Lewicy twierdzą, że jednak coś mogą, a największym zagrożeniem jest rozłam po lewej stronie. Żeby temu przeciwdziałać, wicepremier i minister cyfryzacji Krzysztof Gawkowski zaproponował Adrianowi Zandbergowi, by zastąpił go na obu funkcjach rządowych. Ale lider Razem

miał odmówić. Nie dlatego, że się wystraszył, tylko z tego powodu, iż Gawkowski nie miał żadnego upoważnienia od premiera Tuska, a bez tego może proponować nawet stanowisko sekretarza generalnego NATO. Poirytowany wicepremier tłumaczył w TVN24, że „jak ktoś chce być obok rządu, mówiąc, że będzie realizował postulaty, to albo nie rozumie polityki, albo z premedytacją zakłada, że na tym obstrukcyjnie będzie budował swoją karierę polityczną”. Oraz będzie „awansować w sondażach”. „Dalsze funkcjonowanie tak, jak to było do tej pory, nie ma większego sensu. Oczekujemy [...] rozmów z władzami Nowej Lewicy na temat tego, czy jesteśmy w stanie wypracować nowy sposób wspólnego funkcjonowania” – mówił PAP Jakub Niewiadomski z prezydium Rady Krajowej Razem. 24 czerwca 2024 r. współprzewodniczący ugrupowania Adrian Zandberg oświadczył, że pozostaje w kontakcie z władzami Nowej Lewicy i przewiduje „serię spotkań”.

PROWOKATOR

Sam Donald Tusk nie ufa żadnemu z liderów koalicyjnych partii i stosuje wobec nich swoją ulubioną taktykę: dzieli i rządź. Liczy na to, że wywołując lub rozdmuchując różne

wojny wewnętrzne, zajmuje tym koalicjantów, przez co łatwiej mu nie liczyć się z nimi w codziennym rządzeniu. Ale w tych partiach narasta frustracja. Widzą, że są przez Tuska rozgrywani jak dzieci, w dodatku nie dostając nic w zamian, a wręcz tracąc wpływy w stosunku do tego, co uzgodniono, tworząc koalicję przed wyborami 15 października 2023 r. Część polityków partii sojuszniczych wobec Koalicji Obywatelskiej podejrzewa zresztą, że to Tusk i jego otoczenie podsycają wewnętrzne konflikty, napuszczają na siebie liderów i ministrów, prowokują. Zasada jest prosta: im sojusznicy słabsi, tym łatwiej nimi manipulować i przepychać w rządzie decyzje służące wyłącznie premierowi i jego partii.

A portrait of a middle-aged man with short, dark hair and a light beard, wearing a dark suit, white shirt, and a patterned tie. He is looking directly at the camera with a serious expression. His hands are clasped in front of him, and a gold ring is visible on his left hand. The background is a plain, light gray.

Oczywiście ciężko wymagać od kogoś, by wykazał się najwyższym poświęceniem, jak o. Kolbe czy rodzina Ulmów, albo odznaczał się takim bohaterstwem, jak Witold Pilecki, ale już sama świadomość, że byli tacy ludzie, gotowi do tych wielkich czynów, sprawia, że być może zrozumiemy sens życia wychodzącego poza strefę przyziemnej osobistej wygody

Zamach na bohaterów

Fot. Andrzej Wiktor

Z prezesem Instytutu Pamięci Narodowej *dr. Karolem Nawrockim* **rozmawia Marcin Wikło**

Panie prezesie, w przeszłości był pan także dyrektorem Muzeum II Wojny Światowej w Gdańsku i to pan rozpoczął zmiany ekspozycji głównej, które powracając obecnie do władzy dyrekcja postanowiła odwrócić. Czy to prawda, że ta zła zmiana dokonała się pod osłoną nocy?

Karol Nawrocki: Rzeczywiście tak było. Pojechałem do Gdańska, bo dotarli do mnie sygnały o rzeczach, w które nie chciałem wierzyć. A jednak okazało się to prawdą. Działający z nominacji Donalda Tuska dyrektorzy Muzeum II Wojny Światowej w Gdańsku usunęli z przestrzeni publicznej wielkich polskich bohaterów. Poruszyła mnie ta sytuacja. Ale poza bodźcem historycznym, muzealnym i emocjonalnym poczułem też, że oto muzeum jest dzisiaj zarządzane przez ludzi, którzy nie mają do tego kompetencji.

Był pan na miejscu, co pan tam zastał?

Tam, gdzie był rtm. Witold Pilecki, jest hydrant. Tam, gdzie był św. o. Maksymilian Kolbe, nie ma nic. Nie został po nim żaden ślad. A tam, gdzie była bl. rodzina Ulmów, jest przejmująca czarna ściana. To nawet symboliczne, że teraz, zamiast pamięci o nich, mamy ciemność, amnezję.

A dlaczego pan wraz ze współpracownikami postanowiliście w ogóle wprowadzić te zmiany?

Na początku musimy zaznaczyć, że mówimy o postaciach, bez których, w mojej ocenie, nie da się pokazać pełnego obrazu okrucieństwa Niemców wobec Polaków. Wprowadzanie ich na ekspozycję było korygowaniem pewnych intencjonalnych zaniechań pierwszej dyrekcji politycznie związanej z Donaldem Tuskiem, premierem, gdy budowano placówkę [data założenia 1 września 2008 r. – przyp. red.]. To był czas, gdy polski rząd prowadził politykę resetu z Rosją i nieskrywanej zażyłości z Niemcami, co na tej ekspozycji niestety też się odbiło. Przez lata nie zajęto się Westerplatte, gdzie leżały w ziemi szczątki polskich obrońców, ale zamontowana w 2008 r. ostatnia plansza, umieszczona na samym końcu ekspozycji Muzeum II Wojny Światowej, wśród największych ofiar tego konfliktu stawiała obywateli Związku Sowieckiego oraz żołnierzy III Rzeszy. Zmieniliśmy ją na samym początku, by nie niuansować i wypaczać prawdy, kto był ofiarą, a kto sprawcą. Ta „nasza” tablica wciąż wisi, jeszcze jej nie usunięto, chyba więc czeka na kolejną „noc muzeów” dyrektora Wnuka.

Ale bohaterów nie ma. Nowa dyrekcja naprawdę uważa, że to są postaci nieważne?

Wróćmy jeszcze raz do początku muzeum. Wygląda na to, że przy budowaniu tej placówki ważniejsze było polityczne zlecenie niż badania świadomości historycznej, które przecież przeprowadziła ówczesna dyrekcja, ale z nich nie skorzystała. Wynikało z nich, że Polacy najbardziej są przywiązani do trzech postaci: rtm. Witolda Pileckiego, Ireny Sendlerowej i o. Maksymiliana Kolbego. Mimo takich wskazań na ekspozycji nie było o Kolbe, a opowieść o Witoldzie Pileckim, którym interesuje się cały świat, sprowadzała się do pokazania go na fotografii obozowej, zdjęcia formatu legitymacyjnego, którego na ogromnej ekspozycji można było po prostu nie zauważyć. Dlatego gdy ja zostałem dyrektorem, uznałem, że te rzeczy należy pokazać w nieco inny sposób.

A może nie ma co się oburzać, może to po prostu prawo dyrekcji, by wprowadzać zmiany?

Gdy my wprowadzaliśmy zmiany w muzeum, ekspozycja była poszerzana, a nie cenzurowana. Rozbudowaliśmy wystawę, którą zostawili nam poprzednicy. Zawsze odbywało się to w porozumieniu z działem naukowym

i co najważniejsze każda ingerencja była poddawana szerokiej dyskusji na radzie Muzeum II Wojny Światowej. Tak rozumiem wprowadzanie zmian – że jest to naukowy spór, debata i otwieranie się na nowe ścieżki. Dodatkowo przez pięć lat prowadziliśmy batalię sądową z byłymi, czyli również obecnymi dyrektorami. Podczas jednej z rozpraw przez cztery godziny zeznawałem, by wyłożyć istotę bohaterskich czynów o. Kolbego, Ireny Sendlerowej czy Witolda Pileckiego, by uzasadnić to, dlaczego ich obecność w muzeum wydaje mi się niezbędną. I wygraliśmy ten skomplikowany spór. Mówię to po to, by uświadomić państwu, że wprowadzenie tych zmian i ich obrona było wieloletnim procesem. To dlatego wydawało mi się, że zejście na poziom -3 w muzeum, gdzie mieści się wystawa, i zabranie stamtąd elementów dotyczących naszych narodowych bohaterów jest niemożliwe. Nie mówiąc o tym, że przede wszystkim to działanie nierozsądne i, mówiąc wprost, po ludzku nieprzystojne.

Były minister kultury i dziedzictwa narodowego Bartłomiej Sienkiewicz mówi wprost, że odwracane są teraz „pisowskie” zmiany. Naprawdę historia jest zakładnikiem polityki?

Przecież najbardziej zaangażowany politycznie był prof. Paweł Machewicz, pierwszy dyrektor muzeum, w tym czasie doradca premiera Tuska. Ja nie dostawałem żadnych politycznych rozkazów ani dyrektyw. Wszystkie nasze decyzje wynikały z naukowego oglądu, warsztatu, chęci służenia państwu polskiemu, a także z prawdy historycznej. Zamykanie tego, co się dzieje do dyskusji tylko politycznej, wydaje mi się niewłaściwe.

Skąd taka gorliwość w usuwaniu tak ważnych postaci z ekspozycji?

Taka forma, taki sposób dokonywania tych zmian, raptowny i arbitralny, może oznaczać tylko skrajną

niekompetencję albo hunwejski szal. Ciężko to przyjąć w kategoriach logiki.

W oświadczeniu dyrekcji MIIWŚ czytamy, że wasze zmiany „wypaczyły sens stworzonej przez autorów opowieści”, a „wprowadzenie gabloty poświęconej wyłącznie duchowemu rzymskokatolickim oraz zawieszenie w centralnych punktach tej przestrzeni portretów o. Kolbego i rtm. Pileckiego zaburzyło antropologiczny charakter narracji”.

Koncepcja, którą proponują nam przedstawiciele obecnej dyrekcji, rzeczywiście znacznie różni się od tego, co istnieje w świadomości historycznej Polaków. Jesteśmy w sytuacji, gdy dwóch naukowców chce nam powiedzieć, że od dzisiaj nauczanie historii Polski będzie się opierać na innej prawdzie. To jest tak głęboki egoizm naukowy i edukacyjny, że przybiera aż kuriozalne kształty. Ale niestety jesteśmy właśnie w takiej rzeczywistości. A samo oświadczenie to jakiś nowomowa, która kompletnie do mnie nie trafia. Przecież dołożyliśmy monitory z opowieścią o rtm. Pileckim i o. Kolbem, o fenomenie ich życia i śmierci, które w nierozłączny sposób wiążą się z przedstawionym w tym miejscu dramatem obozów koncentracyjnych. Nowe elementy w stylistyce nie odbiegały od ekspozycji, na której się znalazły. Były za to miejscem, w którym zwiedzający zatrzymywał się, by głębiej wejść w ważną, w naszej ocenie, historię. Ale ja mam wrażenie, że to tylko pretekst. Ważniejszy jest wydzźwięk opowieści o polskich bohaterach, postaciach, z których jako Polacy jesteśmy po prostu dumni. To się nie podoba. Jedną z naszych zmian dotyczyła także niemieckich represji wobec Polaków. Oceniliśmy, że zwiedzający powinni się dowiedzieć, iż wbrew prowadzonej od lat narracji lokalnego samorządu Wolne Miasto Gdańsk w latach 1920–1939 nie miało nic wspólnego z wolnością, tylko było laboratorium niemieckiego nazizmu. O tym elemencie także zapomniano

w gdańskim muzeum, być może po to, by się komuś przypodobać. Przypomnę – tę placówkę budowano w czasie, gdy rząd stawiał na ścisłą współpracę z Moskwą i Berlinem.

Czy można mieć nadzieję, że te zmiany to wypadek przy pracy, że to raczej nie powtórzy się w innym muzeum?

Niestety nie jestem w tej kwestii optymistą. My, historycy, mamy tę wadę albo zaletę, że pewnym mechanizmom i procesom zawsze przyglądamy się z nieco szerszej perspektywy.

Tam, gdzie był rtm. Witold Pilecki, jest hydrant. Tam, gdzie był św. o. Maksymilian Kolbe, nie ma nic. Nie został po nim żaden ślad. A tam, gdzie była bł. rodzina Ulmów, jest przejmująca czarna ściana

A zatem to, co stało się w Muzeum II Wojny Światowej, trzeba położyć na większy obraz tego, co się dzieje z podstawą programową, w której teraz spustoszenie robi Ministerstwo Edukacji Narodowej. Ci bohaterowie, którzy są wymazywani z gdańskiego muzeum, są także marginalizowani albo usuwani z programów nauczania. Zaczyna się rysować stały mechanizm. Przecież to prosta droga do tego, by Polacy w XXI w. nie znali swojej tożsamości, a także nie rozumieli z czego wynikało niemieckie barbarzyństwo w czasie wojny, bo z lekcji historii nie dowiedzą się, czym był np. XIX-wieczny Kulturkampf. Absurd idzie dalej i wydaje się nie mieć końca, bo są nawet wątpliwości, jak przedstawiać bitwę pod Grunwaldem z 1410 r. To ma nas wypłukać z narodowej dumy, ze świadomości, że ktoś kiedyś przelewał krew za naszą ojczyznę, walczył o polskość, że ludzie oddawali życie

za wspólną sprawę. A skoro nie wiemy, skąd przychodzimy, skoro nie mamy się do kogo odwołać, nie czujemy dumy z barw narodowych, to skąd mamy wziąć determinację, by bronić dzisiaj polskich granic? Przecież wojna jest tak blisko, a zagrożenie rosyjską agresją na Polskę bardzo realne. Niewiedza może powodować bierność, to jest po prostu bardzo niebezpieczne.

Szybko poszło. Mam wrażenie, że to „dorobek” rządzącej zaledwie kilka miesięcy ekipy Tuska, że wcześniej tak nie było.

To prawda i znów warto widzieć to szerzej. Od 13 grudnia ub.r. mamy w państwie polskim do czynienia z nowym mechanizmem działania, którego częścią jest powolna rekomunizacja i reubekizacja. Z jednej strony to przywracanie przywilejów byłym funkcjonariuszom Służby Bezpieczeństwa, co powoduje zacieranie granicy między dobrem a złem; państwo polskie wyda na to mnóstwo pieniędzy. A z drugiej strony mamy 9 tys. osób odznaczonych Krzyżem Wolności i Solidarności, który jest swoistym certyfikatem przyzwoitości w czasach PRL, którzy nie mogą liczyć na te środki. Widzimy powrót absolwentów szkół moskiewskich do korpusu urzędniczego, szczególnie do MSZ. To jest bardzo zły kierunek. Natomiast to, co zrobił w Muzeum II Wojny Światowej dyrektor Wnuk, wpisuje się w zarysowany przeze mnie mechanizm zwracania historycznej sprawiedliwości. Ale jednocześnie jest nieudolne, a co za tym idzie – ordynarne. Zdrapywanie bohaterów ze ścian muzeów to nie standard cywilizacji.

Dokąd nas to doprowadzi?

Z jednej strony to pozbawianie nas bohaterów, ale z drugiej, co równie ważne, pewnego refleksyjnego namysłu nad historią, nad błędami, które przecież jako wspólnota narodowa również w historii popełnialiśmy. O tym mówi Instytut Pamięci Narodowej i o tym za naszych czasów mówiło też Muzeum II Wojny Światowej.

Wróćmy jeszcze raz do początku muzeum. Wygląda na to, że przy budowaniu tej placówki ważniejsze było polityczne zlecenie niż badania świadomości historycznej, które przecież przeprowadziła ówczesna dyrekcja, ale z nich nie skorzystała. Wynikało z nich, że Polacy najbardziej są przywiązani do trzech postaci: rtm. Witolda Pileckiego, Ireny Sendlerowej i o. Maksymiliana Kolbego – mówi Karol Nawrocki



Wrażliwość, którą niosą ze sobą historie Pileckiego, Sendlerowej czy Kolbego, ma wymiar zarówno narodowy, jak i ogólnoludzki. Jest dopełnieniem procesu edukacji obywatelskiej.

A może ta wojna jest już przegrana? Może walec bylejakości, odrzucenia solidarności, zaniechania empatii jest tak rozpędzony, że konserwatyści i patrioci są już dinozaurami, tylko jeszcze tego nie wiedzą?

Dużo łatwiej jest żyć dla samego siebie niż w odpowiedzialności za wspólnotę – czy to za rodzinę, czy za państwo. Wygodniej się żyje, gdy trzeba zadbać tylko o to, by było nam ciepło i byśmy byli syci. Z tym że Polacy od wieków są narodem, który

Absurd idzie dalej i wydaje się nie mieć końca, bo są nawet wątpliwości, jak przedstawiać bitwę pod Grunwaldem z 1410 r. To ma nas wypłukać z narodowej dumy

jest ważną częścią wysoko rozwiniętej cywilizacji – to nas odróżnia od żyjących tysiące lat przed Chrystusem, że potrafimy myśleć w kategoriach: przeszłość, teraźniejszość i przyszłość. Trzeba brać odpowiedzialność, trzeba rozumieć, że mo-

tyw naszego komfortu nie jest decydującym czynnikiem, a postacie, o których rozmawiamy, tego dowodzą. Oczywiście ciężko wymagać od kogoś, by wykazał się najwyższym poświęceniem, jak o. Kolbe czy rodzina Ulmów, albo odznaczał się takim bohaterstwem jak Witold Pilecki, ale już sama świadomość, że byli tacy ludzie, gotowi do tych wielkich czynów, sprawia, że być może zrozumiemy sens życia wychodzącego poza strefę przyziemnej, osobistej wygody. Oprócz języka polskiego i naszego dziedzictwa kulturowego historia i jej wspólne przeżywanie są podstawowymi elementami wspólnoty. Odrzucanie tych fundamentów jest po prostu powszechnym samobójstwem, szczególnie dziś.

Kto podmienił Ryszarda Petru?

Mówiono o nim, że wystarczy, by otworzył usta, a już zalicza wpadkę. Ryszard Petru był królem lapsusów i kompromitacji. Ale w nowej kadencji Sejmu coś się zmieniło



DOROTA ŁOSIEWICZ

Któż nie pamięta romantycznego sylwestrowego wypadu z posłanką Joanną Schmidt, zorganizowanego w samym sercu „walki o demokrację” i okupacji Sejmu? Któż nie pamięta słynnych „Sześciu Króli” czy słów o tym, że „imperia padają zwykle w szczyście swej chwały”. A wypowiedzi, że „głowa psuje się od góry”, pomylenie sejmu niemego z sejmem głuchym, stwierdzenia, że chłopcy chodzą do ginekologa, pomyłki z liczbą krajów świata, „kręcenie filizanką w szklance bez cukru”, „wykonanie zabiegu ciąży”? Tak, to wszystko wpadki Ryszarda Petru, który mógłby obdzielić nimi cały Sejm. Panu Ryszardowi udało się także pomylić kierunki świata, własne nazwisko (podpisał się „Peru”) oraz nazwę własnej partii. Nikt już nie pamięta partii Teraz, którą po Nowoczesnej stworzył Petru, choć mówiąc o jej powstaniu, poinformował, że tworzy partię Razem.

Jednak w tej kadencji Sejmu coś się zmieniło. Wpadek jest zdecydowanie mniej. Owszem, Petru pomylił termin wyborów, zapraszając na 15 września, przesadził z liczbą zer na konferencji o podatkach czy przekręcił nazwisko ministra Jaworowskiego na Jaworski, ale to i tak niewiele jak na to, z czego go pamiętamy. Zapytałam więc polityków i ekspertów, co się stało z Ryszardem Petru i każdy ma na ten temat swoją teorię.

WPŁYW KOBIETY

Posel PiS Piotr Król doszukuje się w zmianie kobiecej ręki. – Każdy facet musi mieć w swoim życiu kobietę, która mu mówi, co źle robi. Prawdopodobnie pan Ryszard ją po prostu znalazł. Na działalność zawodową mocno oddziałuje życie prywatne, a skoro to się układa, to wszystko się układa. Być może czas poza parlamentem Petru spędził na pracy nad sobą, może czytał książki, może odpoczął. Wpadek faktycznie jest mniej, jednak poglądy Ryszarda Petru wciąż pozostają groźne, np. społecznie. Mam na myśli np. matki pracujące w supermarketach. Petru, proponując ograniczenia w 800+ w sytuacji, w której mamy tyle złych wiadomości z gospodarki: rosnące ceny, grupowe zwolnienia, karałby po prostu dzieci. To absurdalne pomysły, tych poglądów nie podzielam, choć gratuluję, że udało się zapanować nad językiem. Myślę jednak, że jak Petru nabierze rozpędu, to stary Ryszard może wrócić – śmieje się poseł.

Michał Wójcik, były wiceminister sprawiedliwości z Suwerennej Polski, tęskni za poprzednim wcieleniem Petru. – Nie zalicza już tylu wpadek, ponieważ mniej się wypowiada. Choć przyznam, że czasem tego brakuje. To nadawało kolorytę jednej z kadencji Sejmu, w czasie której regularnie można było liczyć na wysoką formę pana posła – żartuje polityk.

Były wiceszef MSWiA, dziś jeden z doradców prezydenta Andrzeja Dudy Błażej Poboży, tak komentuje zmianę polityka Polski 2050. – Widać wyraźnie, że Ryszard Petru odrobił lekcję i wyciągnął wnioski ze swojej pierwszej politycznej obecności. Unika charakterystycznych dla siebie bon motów, które na ogół kończyły się dla niego spektakularnymi wpadkami. Zamiast tego były lider Nowoczesnej stara się stylizować na eksperta ekonomicznego, którym przecież kiedyś był. Ta przemiana wcale mnie jednak nie cieszy. To liberalne, jastrzębie oblicze ucznia i propagatora myśli Leszka Balcerowicza jest moim zdaniem znacznie

groźniejsze niż kolejny lapsus bohatera z Madery – wylicza Poboży.

Na podobne sprawy zwraca uwagę Andrzej Śliwka, były wiceminister Aktywów Państwowych. – Ryszard Petru wyszedł z założenia, że nie będzie tak często chodził po mediach jak dawniej, tylko będzie prowadził działalność polityczno-ekspercką. Skupił się na kilku wątkach: na kwestiach gospodarczych związanych z przyjęciem euro oraz projektach, które przedłożył do Sejmu, czyli przywróceniu niedziel handlowych i zmiany w składce zdrowotnej. I teraz faktycznie nie zalicza spektakularnych wpadek, jak ta, że głowa psuje się od góry czy ta, że mamy święto Sześciu Króli. Robi jednak rzecz o wiele gorszą – próbuje być ekspertem w materii, w której ekspertem nie jest. Na eksperta wykreowały go media głównego nurtu. Projekty, które przedstawia, są społecznie i gospodarczo szkodliwe. Powrót do rozliczania składki zdrowotnej, jak wyglądało to kiedyś, jest bardzo trudny. Niedziele handlowe to przykład kolonialnego myślenia. W większości krajów UE niedziele nie są handlowe. Petru próbuje coś zmieniać, ale niezbyt mu to wychodzi. Myślę, że do „imperii, które upadają w szczyście swej chwały” jeszcze powróci, tylko trzeba dać mu mówić. On już nie jest liderem formacji politycznej, jest jednym z polityków Polski 2050, jest rzadziej zapraszany, a jeśli, to w warunkach szklarnianych, chodzi do tych mediów, które sobie wybiera, które są mu życzliwe, sporadycznie występuje na konferencjach prasowych. Wcześniej miał inflację wystąpień publicznych, mówił, co mu ślina na język przyniosła i to, co miał w głowie, a że nie miał za dużo, to opowiadał swoje dyrdymały. Dla dobrego samopoczucia wyborców, dziennikarzy apeluję do kolegów z Trzeciej Drogi, by nie kneblowali Ryszarda Petru, dajcie mu mówić! Więcej Ryszarda Petru! – żartuje poseł PiS.

Zmianę zauważyli nawet politycy lewicy. Europoseł Marek Balt komentuje: – Ryszard Petru wyciągnął wnioski z poprzedniej kadencji, gdy był posłem. Przerepracował tę sytuację, trochę dojrzał, jego inicjatywy wyglądają na bardziej rozsądne i przemyślane, podobnie

jak jego wystąpienia. Nie można wykluczyć, że przeszedł szkolenia medialne, ale ludzie się zmieniają. Tak się dzieje, jeśli nad sobą pracują, bo zrozumieli i przerepracowali błędy. Tę zmianę u Ryszarda Petru widać, ale ta kadencja trwa dopiero sześć miesięcy i zobaczymy co będzie dalej. Ja dziś dobrze oceniam Ryszarda Petru i jego inicjatywy, choć nie ze wszystkimi się zgadzam. Nie zgadzam się z pomysłem obniżenia składki zdrowotnej. Podoba mi się pomysł powrotu do niedziel handlowych, choć trzeba by zabezpieczyć pracowników, żeby ci, którzy pracują w niedziele, mieli za ten dzień wyższą stawkę oraz żeby było to dzień do odbioru. Trzeba by zmienić kompleksowo kodeks pracy.

Ta przemiana Petru wcale mnie nie cieszy. To liberalne, jastrzębie oblicze ucznia i propagatora myśli Leszka Balcerowicza jest znacznie groźniejsze niż kolejny lapsus bohatera z Madery – mówi Poboży

RYSZARD WYSPANY

Wiktor Świetlik, publicysta kanału Do-bitnie, „Super Expressu” i portalu Interia, twierdzi, że wpadki Petru wynikały z pewnego defektu polityka, ponieważ było ich bardzo dużo, szeroko je obsmiewano, a niektóre uwypuklano.

– Jednak Ryszard Petru na tle dzisiejszego Sejmu, osób jak Klaudia Jachira czy Marcin Józefaciuk, pozytywnie się wyróżnia, jest też stosunkowo sprawnym politykiem. Problem w tym, że on nie jest guru od ekonomii, nie ma wiedzy ekonomisty, ale raczej niezłą wiedzę z ekonomiki. Petru po prostu przerosło to, że znalazł się na zbyt wysokim piętrze polityki, to było dla niego za dużo. Teraz tych wpadek faktycznie jest mniej, a już całkiem zaskoczyło mnie, jak za-

orał w Poznaniu Sławomira Mentzena. W pewnych sytuacjach Petru potrafi być sprawny. Może się szkolił, a może po prostu nie nadawał się na lidera partii, to go spalało. Wciągnięto go w spory o charakterze moralnym, w których źle się czuł, bo to nie jego bajka. Na tym się wywalił. Miał protestować, a pojechał na romantyczne wakacje z Joanną Schmidt i to kompletnie go skompromitowało. On się nie nadawał do polityki przez duże „P”. Za dużo tam było konfliktów w stylu „bronimy konstytucji, demokracji, walczymy z faszyzmem”. To nie było dla niego. Wcześniej zajmował się ekonomiką, lobbieniem. W tym jest sprawny, ma gadane. A wdepnął w politykę, w której trzeba mówić o wszystkim, o rzeczach, na których się nie znał – uważa Świetlik.

Specjalista od PR w agencji współpracującej z politykami, który nie chce ujawniać swojego nazwiska, tak tłumaczy zmianę, która zaszła w polityku: – Ryszardowi Petru posłużyło to, że skoncentrował się wyłącznie na tematach mu bliskich, z okolic gospodarki, i tylko o tym mówi. Najwięcej wpadek zaliczał, będąc liderem partii, kiedy musiał mówić o wszystkim. Przecież nie można się znać na wszystkim. Poza tym, będąc liderem partii, Petru był potwornie zmęczony i wiecznie niewyspany, a to jest istotne, gdy wypowiadasz się na tematy, które znasz niezwykle pobieżnie. Wtedy łatwo o wpadkę i błędy językowe. Nie wydaje mi się, żeby Petru pracował nad dykcją, on po prostu ma mniej na głowie i skoncentrował się na tym, co leży w polu jego kompetencji. Dlatego w jego przekazie jest mniej błędów i lapsusów, z których słynął. On po prostu zapanował nad przekazem, wie, co chce powiedzieć i mówi tylko to, nie daje się wciągać w inne tematy. Zwróćmy też uwagę, że Petru miał wielu wrogów, bo Nowoczesna, będąc „na górze”, zagrażała PO i jego lapsusy chętnie rozdmuchiwano. Teraz zszedł z pierwszej linii i nawet jak coś mu się przydarzy, to nie musimy o tym usłyszeć – mówi ekspert od marketingu politycznego.

A ja jestem skłonna wierzyć tym, którzy przekonują, że dawny Ryszard jeszcze powróci. Trzeba tylko poczekać. ➤

Fabryki analfabetów

Dożyliśmy czasów, w których znane wszystkim kanony wykształcenia są uznawane przez władze jako siła wywrotowa. A „Index librorum prohibitorum” nie jest już układany w Watykanie, ale w siedzibie Ministerstwa Edukacji Narodowej przez zadeklarowaną ateistkę. Tylko w taki sposób należy odczytywać pogardliwe w tonie wypowiedzi zarządzającej edukacją minister Barbary Nowackiej pod adresem poety Jarosława Marka Rymkiewicza oraz pisarza Jacka Dukaja oraz składaną z nieskrywaną dumą zapowiedź cięć listy lektur. Wpisują się w to też zmiany w organizowaniu lekcji religii czy forsowanie edukacji seksualnej z naciskiem na promowanie dewiacji, inności.

By opisać i zrozumieć zjawiska polityczne, często sięgamy do analogii orwellowskich. To, co widzimy, świetnie ujmuję napisana w reakcji na „Rok 1984” powieść Anthony’ego Burgessa „1985”. Autor „Mechanicznej pomarańczy” przedstawił w niej wizję świata, w którym w przeciwieństwie do orwellowskiego totalizmu triumfuje państwo słabe wobec silnych, podporządkowane władzy pieniądza i przemocy. W którym „wyjęci spod prawa” znajdują prawdziwą wolność na podziemnym uniwersytecie, na którym wykłada się to, co jest zakazane w szkołach: Platona, Szekspira, łacinę, grekę i historię. To tam toczy się walka o ducha nie ze względu na „użyteczność”, ale dla zachowania własnej tożsamości.

Nowacka świetnie odnalazła się w roli politycznego menedżera takiego właśnie systemu, który pod maską fajności, luzu i użyteczności dąży do coraz większej kontroli nad modelowaniem poglądów obywateli. Lewicowo-liberalna oligarchia potrzebuje bowiem nowych wyborców i taka „zreformowana” państwowa szkoła ma ich jej dostarczyć.

MINISTER OBRAŻA Z ROZMYŚŁEM

Nowacka naprawdę uznała, że zabłysnęła, pokazując „ciemniakom”, co jest ważne, a co nie. Ton, w jakim to zrobiła,

*Donald Tusk symbolizuje
Polskę gospodarczo
skolonizowaną
i politycznie
ubezwłasnowolnioną.
Teraz zezwolił lewicowej
minister edukacji na
przerobienie szkół
w fabryki analfabetów.
I na załatwianie
w niekulturalny
sposób jej prywatnych
porachunków*



MACIEJ WALASZCZYK

mówi o niej wszystko. „Lista lektur była gigantyczna i niestety nieczytana. Były pewne pomysły indoktrynacyjne, np. w ostatnich latach powkładano poezję niejakiego Rymkiewicza. Eksperci bardzo rekomendowali usunięcie. Podpisałam dokument, gdzie pan Rymkiewicz czy pan Dukaj się nie pojawiają” – powiedziała.

Prof. Wawrzyniec Rymkiewicz, syn poety, a zarazem redaktor naczelny pisma filozoficznego „Kronos”, ocenia, że słowa Nowackiej kierowane pod adresem jego ojca oraz Jacka Dukaja były z rozmysłem obraźliwe. – Pani Nowacka jako minister edukacji ma prawo zmieniać podstawę programową. Nie ma

jednak żadnego powodu, żeby obrażała przy tym pisarzy. I nie ma do tego prawa. Tak czynił Gomulka. I są to obyczaje komunistyczne, sowieckie – zauważa. Jego zdaniem minister w nieelegancki sposób załatwia również sprawę prywatną. Jej wypowiedź wskazuje bowiem, że jako córka Izabeli Jarugi-Nowackiej, która zginęła w katastrofie smoleńskiej, poczuła się dotknięta wierszem na ten temat. – Ma w sprawie tego, co się tam wtedy stało, bardzo zdecydowane stanowisko. Uważa, że to był zwykły wypadek lotniczy. Chce karać tych, którzy uważają albo podejrzewają, że był to zamach. A także tych, którzy uważają, że za to, co się tam wtedy stało, odpowiada w jakiś sposób przez zaniedbanie, przez rozdzielanie wizyt Donald Tusk. Być może jest niepewna własnej oceny i chciałaby w jakiś sposób zlikwidować tych, którzy myślą inaczej. Być może pracując dla Tuska, odczuwa jakiś dyskomfort moralny – ocenia Rymkiewicz.

KLUCZ DO ŚWIADOMOŚCI

Z końcem tygodnia ministerstwo miało ogłosić nową skróconą podstawę. Nie ma wątpliwości, że potrzebuje ona przemysłnych zmian, bo przez lata była budowana w sposób oportunistyczny pod względem źle rozumianej nowoczesności. Ale teraz mamy do czynienia z jej przemysłną dewastacją, mającą na celu zmienianie szkół w fabryki wtórnych analfabetów, nieustannie rozwiązujących testy, a obojętnych wobec własnego dziedzictwa kulturowego. Temu ma właśnie służyć zmiana podstawy programowej uderzająca w humanistykę, której redukcja o 20 proc. stała się okazją do eliminacji treści uznanych za nieprawomyślne.

To zresztą logiczna konsekwencja wydanego w marcu rozporządzenia ograniczającego obowiązek odrabiania prac domowych w szkołach podstawowych, świadomie zawężonego wyłącznie do szkół publicznych. Zupełną swobodę w tym zakresie pozostawiono jednocześnie szkołom społecznym i prywat-

nym. Każdy odpowiedzialny obywatel wie przecież, że placówka publiczna powinna pomagać w awansie społecznym, ułatwiać przekroczenie antynomii społecznych, budować wspólnotę narodową. Tymczasem szkoła się rozpada.

– Nie potrafimy jako wspólnota kształcić własnych dzieci. Nie potrafimy sami stworzyć szkół i uniwersytetów dla własnych dzieci. Najbogatsi z nas chcą, żeby wychowywał je za nich ktoś inny. Jakieś europejskie autorytety. Bogaci mieszkańcy Warszawy wysyłają dzieci na studia i do szkół średnich do Anglii albo Szwajcarii – komentuje prof. Rymkiewicz.

Wszyscy kolejni ministrowie pielęgnują kulturę konsumpcji i kult technologii. Wyznawcą tego podejścia jest właśnie minister Nowacka. Skoro telefony komórkowe pokazują świat w kawałkach, internet utrudnia im koncentrację uwagi i przeczytanie dłuższych tekstów, mają czytać „Chłopów”, „Potop” czy „Pana Tadeusza” najwyżej we fragmentach. Być może to spowodowało eliminację znakomitej twórczości Jacka Dukaja, w tej chwili pisarza numer 1 polskiej literatury fantastycznej. Nie tylko niezwykle interesującego i porównywanego ze Stanisławem Lemem, lecz także od lat nagradzanego i przede wszystkim chętnie czytanego. Może stawiane przez niego pytania o kres poznania, konsekwencje rozwoju technologicznego są niewygodnie ideologiczne, co ujawniło jakieś dotąd niewypowiedziane kompleksy inżynier informatyki pełniącej niestety funkcję ministra edukacji?

RYMKIEWICZ – WOLNOŚĆ ZADANA

Decyzja Nowackiej to popelniany z premedytacją szkodliwy błąd, który, miejmy nadzieję, wywoła efekt przeciwny od zamierzonego. Jarosław Marek Rymkiewicz wraz ze swoimi wierszami i historyczną eseistyką jest zjawiskiem, które dopiero czeka na szersze odkrycie, który czasem niemiłosiernie potrząsa czytelnikiem radykalnym stawianiem spraw, np. apologią krwawej przemocy. Poeta, który nieprzerwanie twierdził, że to, co minione dla nas, żyjących, dla prawd niesionych w poezji wciąż jest czasem teraźniejszym. Poeta,

którego w lutym 2015 r. nasz tygodnik uhonorował tytułem Człowieka Wolności, wpisywał się w niego szczególnie, gdyż konsekwentnie wzywał do zachowania „umiejętności bycia wolnym” jako warunku polskości.

Jak twierdził Rymkiewicz, wolności nie dostaje się w podarunku, nikt nam jej nie da, nie ofiaruje, nie prowadzi też do niej dopominanie się o nią ani jej wyczekiwanie. „Wolność zdobywa się siłą. Wolny może być tylko ten, kto jest silny, a nawet silniejszy” – mówił. Okazuje się, że to niebezpieczne poglądy, szczególnie w czasie, gdy niepodległość i wolność są nam odbierane podstępnie, czasem pod presją dawkowej symbolicznej przemocy, a najczęściej sami się jej pozbywamy jak zbędnego balastu. Rymkiewicz więc nas szturcha, szokuje, prowokuje, zwracając uwagę, że niepodległość bez wolności wzbudzonej i wyrobionej w nas samych jest tylko rekwizytem.

Jak podkreślał prof. Krzysztof Rutkowski, całe piarstwo Rymkiewicza jest wymierzone przeciw „zarażeniu polskiej duszy wirusem niewoli”. Dlatego być może Nowacka, minister w rządzie Tuska symbolizującego Polskę skolonizowaną i ubezwłasnowolnioną, reaguje na nie taką alergią i wyobcowaniem.

Inne pomysły na edukację, „politykę kulturalną”, rozdzielanie prestiżu nazwane zostało barbarzyństwem i dyktaturą ciemniaków. To uproszczenia, które niestety niczego nie wyjaśniają. Bo wygłaszane buńczucznie antykomunistyczne hasła nie skruszą dominacji postmarksistowskiej lewicy. Wdrażane od dziesięcioleci w krajach Zachodu eksperymenty edukacyjne postanowiono w końcu zastosować także w Polsce. Jeśli Nowacka mówi o nieprzystawalności dotychczasowego modelu nauczania np. humanistyki z klasyką, kulturowaniem dziedzictwa narodowego i religijnego, to dlatego, że jest funkcjonariuszem państwa masowej demokracji, traktującego dzieci jak masy do obróbki, których je-

dyną przyszłością jest bycie konsumentem i supermobilnym pracownikiem. Nie ma tu miejsca na pielęgnowanie narodowej tożsamości, troski o ojczyznę. Przeciwnie – brutalne zastosowanie takich technik edukacyjnych, które dokonają eliminacji i reinterpretacji niepożądanych wątków w literaturze. Bez tego kampanie zwalczające „homofobię”, treningi „tolerancji” i „wrażliwości”, oduczanie obywateli używania określeń uznanych za obraźliwe nie mają sensu. Przecież przetrząśnięci Rymkiewiczem będą inaczej weryfikować swój stosunek do prawdy, języka czy tradycji, nie nadając się do politycznej obróbki.

Aktywistów lans na granicy

Mówią o pomocy „osobom uchodźczym”, bywają na polsko-białoruskiej granicy, niektórzy mają pozwolenie, by przebywać w strefie zakazanej dla osób z zewnątrz. Na dramacie wschodniego Podlasia i Lubelszczyzny można się nieźle dowartościować



**JAKUB AUGUSTYN
MACIEJEWSKI**

Piotr Czaban

Jest jednym z najgorliwszych aktywistów przy polsko-białoruskiej granicy. Piotr Czaban jest z Podlasia, planował robić reportaże z życia swojego regionu, ale wraz z wojną hybrydową Łukaszenki pojawił się bardziej spektakularny temat. Tylko w serwisie Patronite może liczyć na blisko 8 tys. zł wsparcia za swoje dziennikarstwo. Jest gorącym orędownikiem otwartości na imigrantów i stanowczym krytykiem polskich mundurów.

W czerwcu w TVP Info opowiadał o 35-letniej obywatelce Iranu, która miała zostać postrzelona na granicy. „Strzał padł ze strony polskiej. Z tego, co udało mi się ustalić, inni migranci podnieśli ją zakrwawioną, przystawili do tego płotu i wzywali polskie wojsko z prośbą o pomoc” – mówił na antenie. Dalej wspominał o „brutalnym działaniu służb”. Choć rzeczniczka Wojskowego Zgrupowania Zadaniowego Podlasie oraz nowa rzeczniczka Straży Granicznej zaprzeczyły, by w ostatnim czasie użyto broni w tamtym rejonie, to i tak aktywista twierdzi, że wie lepiej.



Paulina Bownik

Problem polega na tym, że podstawowym źródłem informacji aktywistów są sami imigranci, którzy już na wstępie mają na koncie kilka nieuczciwości. Czy człowiek, który płaci obcym służbom za nielegalny przerzut przez granicę do Unii Europejskiej, jest szczególnie predysponowany do mówienia prawdy? Czy człowiek, który pod osłoną nocy przekracza zieloną granicę, ma służyć ze szczerości? Nawet życzliwie nastawiona do imigrantów dziennikarka Sylwia Czubkowska w swoim poradniku na temat „uchodźców” pisze: „Politycy są gotowi zrobić wszystko, aby ukryć swoją niekompeten-

cję, więc nie wierz we wszystko, co usłyszysz. To samo dotyczy relacji uchodźców – oni walczą o swoje życie i ich historie nie muszą być prawdziwe”. A jednak dla aktywistów słowa obcych ludzi bez dokumentów, z przestępstwem nielegalnego przekroczenia granicy na koncie, są jak prawda objawiona. I to „objawienie” nie jest konieczne metaforą.

Czaban w swoich publikacjach epatuje mesjanizmem – raz wrzuca zdjęcie aktywistki z nocnego lasu z latarką na głowie i pisze: „Światło w ciemności bije od cudownych Polaków”. Ten patos aktywistów wyrażany wobec nich samych przekłada

się na nienawiść wobec ludzi o odmiennym zdaniu. Krytyków Czaban oskarża o prorosyjskość, na prawo i lewo rzucając cytatem z gen. Pytla (tego od współpracy z putinowskimi służbami), że „Rosja już tu jest”. Nie wierzysz Czabanowi? „Rosja już tu jest” – w domyśle: to ty nią jesteś. Nie wierzysz młodym, czarnoskórym byczkom na granicy? „Rosja już tu jest” – bo szczujesz jak Putin. I tak w kółko. Trudno uniknąć wrażenia, że pomoc innym jest tutaj nie tylko lekarstwem na podbudowanie własnego ego, lecz także przepisem na poczucie wyższości wobec innych. Ja, anioł, od którego bije nocny blask, ratuję świat, a ty jesteś diabłem Putina. Świat nigdy nie był prostszy, prawda?

Paulina Bownik

Czaban nie zyskał jednak takiej popularności jak lekarka Paulina Bownik. Wcześniej nikomu nieznana, od sierpnia 2021 r. zaczęła być prawdziwą bohaterką mainstreamowych mediów. Gdyby nie istniała, Łukaszenka musiałby ją wymyślić. Pojawiła się bowiem już podczas incydentu rozpoczynającego otwartą wojnę hybrydową Białorusi z Polską – w Usnarzu Górnym, gdzie nie przepuszczono imigrantów, skrycie dokarmianych przez białoruskie KGB. Bownik niemal codziennie była w Faktach TVN, rzucając tekstami idealnymi dla antypolskiej narracji wschodnich służb. „Co oni właściwie chcą osiągnąć, chcą mieć tutaj 30 trupów?” – pytała do kamer TVN, gdy przybysze utknęli przy granicy. Zaangażowała się w udzielanie pierwszej pomocy imigrantom w tamtejszych lasach, ale w nie mniejszym stopniu stała się celebrytką. Udzielała i nadal udziela wywiadów portalom, telewizjom i gazetom.

Jednak z opowieści o uchodźcach Bownik zaczęła szybko przechodzić do cierpienia... własnego. Z jej wypowiedzi coraz rzadziej wynika cokolwiek konstruktywnego dla przygranicznego dramatu, za to coraz więcej dowiadujemy się o jej traumach, smutkach, szlachetności. „Czuję się, jakbym miała 120 lat. Najchętniej cały czas bym spała, choć nie śpię dobrze. Od granicy staram się trzymać na razie daleko” – żaliła się niedawno „Wysokim Obcasom”. To

właśnie ten magazyn przyznał jej tytuł Superbohaterki 2023. Także w rozmowie z Piotrem Jaconiem w programie Bez polityki w TVN bardziej epatowała cierpieniem swoim niż imigrantów. „Zawsze lubiłam las i naturę, natomiast w tej chwili czuję, że zostało mi to zabrane. Kiedy idę do lasu, odczuwam duży smutek” – wyznała w telewizji.

Opowiadanie o sobie, koncentrowanie uwagi na własnej psychice, a nie na sprawie, którą się zajmują, ciągle „ja, ja, ja” – trudno nie nazwać tego szukaniem uwagi i zapewne podświadomym wykorzystywaniem ludzkich i politycznych tragedii, by zrobić z siebie bohatera. Jednak bez mediów, które rozpętały proimigrancką histerię, Bownik by nie istniała. Gdy Czaban albo inni youtuberzy robią z nią wywiady, ledwie kilkuset internautów przez cały rok kliknie w takie nagranie. To potężne redakcje nadają aktywistom znaczenie.

Grupa Granica

Bownik udzielała się w Grupie Granica – środowisku, które emocjonalnie jest szczególnie zaangażowane w proimigranckie działania. Grupa została obsypana nagrodami, m.in. im. Ewy Bienkowskiej czy Nagrodą Specjalną im. Dariusza Fikusa. Jej członkowie należeli do najbardziej stanowczych krytyków wszystkich działań PiS i wojska na rzecz wzmocnienia granicy. Nic dziwnego, że antypisowska prasa wielokrotnie korzystała z nich do uderzania w Zjednoczoną Prawicę i państwo polskie. „Olbryzi dowód zaufania przyjmujemy od was” – mówił na gali odebrania nagrody im. Fikusa Adam Barwiński z Grupy Granica. Opowiadał o tym, jak jego grupa stała się źródłem informacji dla prasy, gdy mediom zakazano wjazdu do strefy przygranicznej. Powtarza nawet te opowieści imigrantów, których nie sposób zweryfikować. Twierdzi, że polscy mundurowi ich biją, „spryskują gazem pieprzowym i rozbierają do naga pod pozorem rewizji osobistych”. „Wierzmy, że będziecie do nas dzwonić” – mówi mediom Barwiński.

Rozgłos jest dla nich ważny. Tylko w pierwszym kwartale 2023 r. Grupa Granica otrzymała z dobrowolnych wpłat prawie 700 tys. zł, i to tylko w jednym serwisie zrzutkowym.

Według Human Right Watch Białorusini pobierają nawet do 17 tys. dol. od osoby za próbę przerzucenia do UE przez polską granicę – każdy udany przerzut i pozdrowienie w mediach społecznościowych od imigranta jest jak reklama dla białoruskiego KGB spod znaku: „Zapraszamy następnych”. Czy ktoś po polskiej stronie też dostaje dolę za taki handel ludźmi?

Państwo błaga

Jak to z celebrytami bywa, czasem trudno ich uciszyć. Aktywiści przy granicy rozbewili się do tego stopnia, że sam minister obrony nie może ich powstrzymać. Władysław Kosiniak-Kamysz zwrócił się więc do pomagających imigrantom z... prawdziwie błagalną prośbą. Ze zboląłą twarzą i drżącym głosem w programie Bogdana Rymanowskiego szef MON mówił: „Za pośrednictwem tego programu chcę się też zwrócić do wszystkich tych aktywistów działających na granicy, żeby zastanawiali się zawsze, co robią. Pomoc dla drugiego człowieka, ja wszystko rozumiem [...], ale wskazywanie miejsca, gdzie nie ma żołnierzy albo »idźcie w tamtą stronę«, komunikowanie się, wzajemne udzielanie wskazówek, informacji, gdzie łatwiej będzie [...], to bardzo proszę o zawrócenie z tej drogi”.

Powtórzmy to w dosadniejszej formie: wśród aktywistów, zdaniem ministra, są ludzie, którzy pomagają nielegalnym imigrantom oszukać polskich żołnierzy i Straż Graniczną, pomagają przybyszom złamać prawo. Kodeks karny (art. 246, par. 1) mówi jasno: „Kto organizuje innym osobom przekraczanie wbrew przepisom granicy Rzeczypospolitej Polskiej, podlega karze pozbawienia wolności od 6 miesięcy do lat 8”. To poważny zarzut i trudno uwierzyć, że rząd potrafi zareagować błaganiem, a nie egzekwowaniem prawa.

Robienie medialnych karier, forma psychoterapii i dowartościowania się, metoda na pozyskanie okazałych sum pieniędzy, a na koniec prawo do potępienia wszystkich innych, że tego nie robią – drwienie z państwa polskiego i pomaganie tym, którzy chcą je oszukać, jest w Polsce całkiem oplacalne.



Tusk straszy wojną

Prezydent Donald Tusk! Coraz więcej znaków wskazuje, że niedługo ujrzymy takie hasło wyborcze. Kampania prezydencka, którą zafunduje nam obecny premier, będzie koszmarnym, skrajnie brutalnym widowiskiem. A najgorsze jest to, że dla prezydentury Tusk będzie grał bezpieczeństwem militarnym Polski



PIOTR GURSZTYN

Najpierw ustalmy, czy Donald Tusk rzeczywiście chce startować w wyborach prezydenckich. Najprawdopodobniej nie. Wolalby jakieś „godne”, wolne od weryfikacji wy-

borczej stanowisko w strukturach unijnych. Przypomnijmy jego przedwyborcze wypowiedzi, że będzie krótko rządził jako premier. Ze wskazaniem finalnego terminu na koniec obecnego roku, co sugerowało moment zmiany na stanowisku zajmowanym przez Ursulę von der Leyen.

Dzisiaj wydaje się jednak, że szanse na odpowiedni stół w Brukseli są ograniczone. Więcej jest wskazań na to, że Tusk będzie musiał zostać w kraju. On sam zarzeka się, że nie interesuje go

prezydentura. Nie drwi już z żyrandola w pałacu prezydenckim, lecz w końcu mają zakomunikował „w sposób jednoznaczny”: „Nie będę kandydował w wyborach prezydenckich”.

Zdawałoby się, że *Roma locuta, causa finita*. Ale tę deklarację bardzo szybko podważył Marek Sawicki, polityk bardzo doświadczony, a przy tym daleki od epatowania sensacjami, stary wyjadacz z PSL. Twierdzi on od wielu miesięcy, że tylko Tusk będzie kandydatem na prezy-

denta. Żaden Rafał Trzaskowski ani nikt inny. PSL-owski maverick Sawicki bardzo mocno upiera się przy swoim zdaniu. Drwi z zapewnień lidera swojej koalicji i przypomina sytuację z 2014 r., gdy Tusk zarzekał się, że nie opuści stanowiska premiera na rzecz posady w Brukseli. Powołuje się na nieoficjalne rozmowy z ludźmi Koalicji Obywatelskiej.

Podobne prognozy snują też liczni politycy PiS. Oni z pewnością wiedzą mniej niż Sawicki, ale coś i tak dociera do nich, a poza tym czytają znaki. A widać wyraźnie, że oficjalny kandydat KO, czyli Trzaskowski, jest marginalizowany przez własne ugrupowanie, a przynajmniej trzymany w sporej niepewności. We wspomnianej deklaracji o niekandydowaniu Tusk powiedział, że byłby „zadowolony”, gdyby startował Trzaskowski. Ale jednocześnie powiedział: „Jest cała grupa kandydatów zdeterminowanych, żeby walczyć o prezydenturę”.

Czyli wysłał sygnał swoim podwładnym, że mają szansę wygrać Trzaskowskiego. Odezwał się już, co widać po ożywieniu się w tej kwestii Radka Sikorskiego. Innym charakterystycznym znakiem była Schadenfreude wielu prominentnych działaczy KO na wieść o nadzwyczaj nie-mądrej decyzji prezydenta stolicy, którą jest nakaz zdjęcia krzyży w podległych mu instytucjach. Od razu komentowano, że Trzaskowski odbiera sobie poparcie wyborców centrowych, a to oni decydują o werdykcie wyborczym. Podgryzanie prezydenta Warszawy z pewnością się przyda, gdy Tusk podejmie ostateczną decyzję o tym, że wystartuje w przyszłorocznych wyborach.

METRYKA MA ZNACZENIE

Nie będzie to dla niego łatwa kampania. Jednym z powodów jest data urodzenia. Wiosną przyszłego roku skończy 68 lat. Wiek jest okolicznością bardzo ważną w wyborach prezydenckich na całym świecie. Zazwyczaj – przy wyrównanych innych szansach – większe poparcie zdobywa młodszy kandydat. Czyli bardziej dynamiczny. Działa to także w Polsce. Najstarszy zwycięzca w chwili wyboru miał 58 lat. Był to Bronisław Komorowski, ale jego przeciwnikiem okazał się starszy od niego o trzy lata Jarosław Kaczyński. Po jednej kadencji Komorowski przegrał

z młodszym o 20 lat Andrzejem Dudą. Przypomnijmy też spektakularny sukces postkomunisty, który na początku nie był faworytem wyborów w 1995 r. – 41-letni wtedy Aleksander Kwaśniewski wygrał z 52-letnim Lechem Wałęsą.

Wszystko wskazuje na to, że Tusk zmierzy się z młodym kandydatem PiS. Przesłuch z prawicy wskazują na to, że prezes Kaczyński chce znaleźć nowego Andrzeja Dudę, czyli dynamicznego, dobrze prezentującego się 40-latkę. W Prawie i Sprawiedliwości widać kilku takich sprawnych, elokwentnych, wręcz wyszczekanych potencjalnych kandydatów. Dojdzie wtedy do konfrontacji starego, opatrzonego już Tuska z kimś świeżym i dynamicznym, na kogo trudno będzie znaleźć haki. Dla obecnego premiera problem będzie skumulowany, bo oprócz wieku kulą u nogi będą zaszłości. Tusk ma bardzo duży elektorat negatywny, nie tylko wśród wyborców PiS, lecz także jego mniejszych koalicjantów. To oczywiście z powodu podwyższenia wieku emerytalnego, przejścia OFE oraz dzisiejszych „dokonań”, a konkretnie braku osiągnięć w dziedzinie gospodarki i polityki społecznej.

BĘDZIE GRAŁ BARDZO OSTRO

Tusk to wszystko wie, zna swoje ograniczenia. Zatem nie będzie prowadził kampanii na dotychczasowych zasadach. Nie będzie przekonywał ludzi, że jest lepszym kandydatem, który zapewni społeczeństwu jakieś pozytywne zmiany. Nie będzie niczego obiecywał. Zapomnijmy, że wróci hasło „Prezydent wszystkich Polaków”. Wielokrotnie było wyśmiewane jako wyświechtany frazes, ale tym razem za nim zataśknijmy. Bo jest faktem, że był to slogan, ale przynajmniej zmuszał polityków do tego, żeby udawali bardziej koncyliacyjnych i skłonnych do kompromisu, niż byli w rzeczywistości. Jak wiadomo hipokryzja to hołd składany cnotcie przez występki. Ale teraz nie będzie nawet tego. Zło zostanie wyniesione na sztandary jako rzecz słuszną i sprawiedliwą.

Będzie grał bardzo ostro. Tak brutalnie, żeby ludzie zapomnieli, że kiedyś kampanie wyborcze były prowadzone inaczej. Żeby przestano zadawać pytania o program gospodarczy i społeczny, dobrobyt, edukację, zdrowie. Wreszcie żeby nikt nie zwracał głowy pytaniami

o jedność wszystkich Polaków, pojednanie narodowe i tym podobne kwestie, które w optyce obecnego szefa rządu są szkodliwymi bzdurami. Szkodliwymi, gdyż stanowią przeszkodę w ostatecznym zniszczeniu prawicy. Nie partii o nazwie Prawo i Sprawiedliwość, ale całego nurtu społeczno-politycznego opartego na tradycyjnym systemie wartości.

Metoda Tuska jest eufemistycznie nazywana polaryzacją. „Donald Tusk postawił na polaryzację, która pozwala mobilizować zdeklarowanych zwolenników” – tak to ujmie zaprzyjaźniony z obecnym rządem portal OKO.press. Miesiąc temu opisywał on pomysły Tuska i jego ekipy na dalsze rządzenie. Nie było tam mowy o ideach pozytywnych, np. realizacji wielkich projektów inwestycyjnych w rodzaju CPK. Jedyny pomysł to właśnie polaryzacja. Ów opis można bezpiecznie potraktować jako scenariusz przyszłej kampanii prezydenckiej Donalda Tuska. Szczególnie jeden fragment: „Nie mamy żadnego pomysłu” – mówił nam niedawno jeden z liderów koalicji rządzącej. „Jak nas zapytacie, co chcemy robić we wrześniu, to nie wiemy. Nie mamy pomysłów, co dalej, co proponować. Stąd ten mur na granicy, dlatego Tusk wymyślił tę wojnę”.

Polaryzacja to, jak już pisaliśmy, czysty eufemizm. W istocie zobaczymy kampanię w stylu republik postsowieckich, i to w wersji z lat 90., albo w stylu polityki południowoamerykańskiej. Z jednym wyjątkiem, czyli bez strzelania do kontrkandydatów. Natomiast pozabawianie immunitetów, przedłużanie aresztów tymczasowych, wykorzystanie prokuratury i odpowiednio „wylosowanych” sędziów – to może być codzienne instrumentarium kampanijne jednego z kandydatów. Wiadomo którego, bo tylko jeden ma do tego dostęp. Widać, że w roli szefa rządu zaczyna z niego korzystać. Można to uznać za testowanie na mniej znaczących postaciach, zanim nadejdzie czas eliminowania najpoważniejszych przeciwników.

PRZYWÓDCA NA TRUDNE CZASY?

Samo straszenie „zbrodniami” PiS to za mało. Robi to wrażenie na ograniczonej liczbie wyborców. A tu będzie trzeba zdobyć co najmniej 50 proc. plus jeden

głos. Aż tylu miłośników Donalda Tuska jednak w Polsce nie ma. Powrotu PiS do władzy boi się mniejszość, ale jest strach, który odczuwa prawie każdy Polak. Ponad 80 proc. ludzi boi się o bezpieczeństwo kraju w kontekście agresywnej polityki Rosji. I to jest łowisko dla Tuska. Przedstawi się jako przywódca na trudne czasy, mąż stanu, człowiek, który ma tak dobre kontakty w Unii, że go nikt nie ogra, jedynie gwarant bezpieczeństwa. Na dodatek jako dysponent służb specjalnych będzie mógł to połączyć z rolą pogromcy rosyjskiej piątej kolumny. A wiadomo, kogo obsadzi w tej roli. Jeśli fakty nie będą się zgadzały z jego metodą, to tym gorzej dla faktów. Donald Tusk stanie się Tomaszem Piątkiem do *n*-tej potęgi, wspartym całym państwowym aparatem represji.

„Żyjemy w najbardziej krytycznym momencie od czasów zakończenia II wojny światowej. Następne dwa lata zadecydują o wszystkim” – mówił Tusk w wywiadzie prasowym. Te słowa można by uznać za przejaw roztropnej troski, bo rzeczywiście taką epokę zainicjowała putinowska Rosja. Ale kontekst wewnętrznej polskiej polityki podważa wiarę w dobre intencje obecnego szefa rządu i potencjalnego kandydata w wyborach prezydenckich. Co znaczą te dwa decydujące o wszystkim lata? Jak Tusk planuje je wykorzystać, aby zapobiec niebezpieczeństwu? Rządzi już pół roku, więc jest wystarczająco danych, aby oceniać kierunki i jakość polityki bezpieczeństwa obecnego rządu. Jeśli chodzi o samego premiera, nie widać, aby był to dla niego priorytet. Wojsko go nie interesuje, odhaczył jedną wizytę na granicę, wypowiedział kilka frazesów i to wszystko. Na arenie międzynarodowej odbył jedną wizytę w USA, którą też potraktował lekceważąco.

Nie zahamował prac nad rozbudową armii rozpoczętych za czasów PiS, ale nie dodał niczego od siebie, aby wzmocnić ten kierunek. A niestety na konto Tuska idzie bezsprzeczne szkodnictwo: ubezwłasnowolnili szefa MON, czego efektem jest bałagan w ministerstwie i zły nastrój w wojsku. Na dodatek osłabił pozycję Polski w strukturach NATO w skandaliczny sposób odwołując gen. Gromadzińskiego

i wymieniając ambasadora Tomasza Szatkowskiego wbrew prezydentowi. Dodajmy jeszcze plan wysłania jako ambasadora do Waszyngtonu kompletnego nieudacznika i osoby pozbawionej jakichkolwiek kompetencji, czyli Bogdana Klichy.

ZNISZCZYĆ PRAWICĘ

Dzieją się więc rzeczy straszne, ale nie one są najgorsze. Tusk będzie straszył wojną. Jednak przynajmniej połowa społeczeństwa nie wierzy mu w żadnej sprawie.

Odpowiedzialność i samoograniczenie nie są pojęciami, które dzisiaj kojarzą się z Donaldem Tuskiem.

Dla zwycięstwa zostawi po sobie spaloną ziemię. Okaże się straszną szkodą dla nas wszystkich, gdy przeciwni mu wyborcy będą odbierać jego retorykę na zasadzie czysto negatywnej. Jeśli zaczną lekceważyć rzeczywiste zagrożenia właśnie dlatego, że uważają Tuska za kłamcę

A wizja konfliktu zbrojnego to coś ekstrordynaryjnego. Jest tak przerażająca i nie-realna, że wielu z nas nie radzi sobie z nią psychicznie. Próbuje ją racjonalizować na sposoby – *nomen omen* – nieracjonalne. Młodzi i bogaci bez zobowiązań planują urządzenie sobie życia z dala od własnego kraju. Wielu innych reaguje na zasadzie wyparcia. Przekonuje samych siebie, że wojnę wmawiają politycy, aby oszukać zwykłych ludzi i przeforować swoje szkodliwe dla społeczeństwa plany.

Jest w tym trochę racji. Politycy straszą i będą straszyć wojną dla osiągnięcia

swych różnych, nie zawsze pożytecznych celów. Problem w tym, że odwołują się do zagrożenia coraz bardziej realnego. Prawdopodobieństwo tego, że Polska i kilka sąsiednich krajów padnie ofiarą rosyjskiej agresji jest coraz większe. Długo tłumaczyć, dlaczego nie uchroni nas przed tym członkostwo w Sojuszu Północnoatlantyckim, ale dla ludzi zorientowanych w tematyce sprawa jest oczywista. Jako naród musimy dokonać ogromnego i często bolesnego wysiłku, aby doprowadzić do sytuacji, w której agresor uzna, że atak na nasz kraj będzie dla niego nieopłacalny i niebezpieczny.

Donald Tusk nawet nie stara się być politykiem, który będzie prowadził ku osiągnięciu powyższego celu. Nawet nie próbuje być przywódcą, który zabiega o zaufanie odpowiednio szerokich mas obywateli. Gra na swoją najwerniejszą sekte, czyli Silnych Razem. Jego komunikaty nie różnią się od retoryki Romana Giertycha. Jest zafiksowany na jednym celu – zniszczeniu prawicy. Jeśli w wypowiedziach pojawiają się Putin i Rosja, to tylko jako palki na głównego konkurenta politycznego, a nie przypomnienie realnego zagrożenia dla narodu i bytu Polaków.

Odpowiedzialność i samoograniczenie nie są pojęciami, które dzisiaj kojarzą się z Donaldem Tuskiem. Dla zwycięstwa zostawi po sobie spaloną ziemię. Okaże się straszną szkodą dla nas wszystkich, gdy przeciwni mu wyborcy będą odbierać jego retorykę na zasadzie czysto negatywnej. Jeśli zaczną lekceważyć rzeczywiste zagrożenia właśnie

dlatego, że uważają Tuska za kłamcę.

Tu warto przypomnieć, że najlepszymi oszustami nie są ci, którzy opowiadają rzeczy całkowicie fikcyjne, ale ci, którzy sprytnie manipulują prawdą. Właściwą metodą jest podejście krytyczne: tak, doskonale wiemy, że Rosja jest ogromnym zagrożeniem. Nie trzeba nam tego przypominać w trakcie kampanii wyborczej, bo pamiętamy, że to my będziemy ofiarą agresji, a nie politycy, którzy w każdej chwili mogą uciec do Brukseli. Więc co pan robi, panie Tusk, aby zwiększyć bezpieczeństwo naszego kraju?

Groźnie na Bałtyku

Jeśli wojna wybuchnie, to w świetle obecnych relacji sił jako NATO nie mamy szans na kontrolę Bałtyku, nawet jego zachodniej części.

A to oznacza, że trzeba szukać alternatywnych dróg dostaw surowców i towarów, nie mówiąc już o transporcie wojska

Polacy i Baltowie są nie na żarty zaniepokojeni sytuacją w regionie. Jak informuje Reuters, przywódcy tych państw we wspólnym apelu skierowanym do Brukseli wezwali do budowy „pasa ochrony”, systemu barier inżynieryjnych i zapór o długości 700 km, obejmującego całą granicę z Federacją Rosyjską i Białorusią. Ta inwestycja, która miałaby zostać sfinansowana ze środków Unii Europejskiej, może kosztować nawet 2,5 mld euro, ale, jak piszą w swym wystą-



MAREK BUDZISZ

pieniu liderzy apelujących państw, „należy podjąć nadzwyczajne środki, ponieważ zewnętrzna granica UE musi być chroniona środkami wojskowymi i cywilnymi”.

Kilkanaście dni wcześniej w podobnym apelu, tym razem sygnowanym przez premiera Tuska i Kiriakosa Mitsotakisa, szefa rządu Grecji, znalazło się wezwanie, aby Unia zaczęła finansować budowę systemu obrony przeciwraкетowej i przeciwlotniczej na wschodniej flance NATO. To wystąpienie ma najprawdopodobniej związek z ujawnionymi kilkanaście dni wcześniej ocenami ekspertów Kwatery Głównej Sojuszu Północnoatlantyckiego, według których państwa graniczące z Rosją

i Białorusią mają dziś 5 proc. potrzebnych, aby mówić o pełnej ochronie, systemów obrony przeciwrakietowej. Innymi słowy zarówno Polska, jak i państwa bałtyckie są dziś słabo chronione, co więcej, narażone na ciągłe ataki asymetryczne, publicznie określane mianem hybrydowych, które są przejawem niewypowiedzianej przez Rosję i Białoruś wojny.

A jak wygląda relacja sił, gdyby sytuacja zaczęła eskalować i doszło do otwartego konfliktu? Na papierze rewelacyjnie. Mając 1,9 mln ludzi w swych siłach zbrojnych, europejscy członkowie Sojuszu mogą myśleć, że jest to potencjał odpowiedni, aby równoważyć zdolności Rosjan, szacowane obecnie na 1,1 mln żołnierzy i 1,5 mln rezerwistów. Ale jak powiedział anonimowo dziennikowi „The Financial Times” jeden z ekspertów Kwatery Głównej NATO, rzeczywiste możliwości są znacznie skromniejsze i nie przekraczają obecnie 300 tys. żołnierzy, których przygotowanie i dyslokacja może zająć tygodnie. To zaś oznacza, że mówienie dziś o NATO-wskiej przewadze jest raczej przejawem myślenia życzeniowego niż trzeźwą oceną sytuacji.

ROSJANIE NA BAŁTYKU

Widać to bardzo wyraźnie, jeśli będziemy oceniać relację sił na Bałtyku. Scott Savitz i Isabelle Winston, eksperci amerykańskiego think tanku RAND, porównując potencjały Rosji i państw NATO, napisali, że „w przypadku konfliktu Rosja może [...] utrudnić państwom NATO korzystanie z Morza Bałtyckiego i jego okolic. Moskwa może wykorzystać różnorodne zdolności do atakowania statków przybrzeżnych i obiektów na Morzu Bałtyckim. Obejmują one okręty podwodne, miny, rakiety, statki nawodne, samoloty, wojnę elektromagnetyczną, cyberataki, siły specjalne i piechotę morską”. Jeszcze pod koniec 2023 r. John R. Deni, profesor US War College, napisał, że problemem, z którym państwa NATO będą musiały się zmierzyć, jest rosyjski potencjał w zakresie min morskich. Według niektórych ocen Moskale mają ich nawet 250 tys., a państwa Sojuszu Północnoatlantyckiego nie posiadają wystarczającej liczby okrętów zdolnych do ich trałowania.

O długofalowych planach Rosji świadczą też deklaracje Putina, który w wypowiedzi przywoływanej przez agencję Interfax poinformował, że w br. rosyjska marynarka wojenna otrzyma 40 nowych okrętów. W 2023 r. było to 33, w poprzednim 22. Tendencja jest wyraźna. Komentując te dane, rosyjski prezydent zaznaczył, że strategia rozwoju rosyjskiego przemysłu stocznioowego winna być budowana na podstawie prognoz dotyczących „bojowego zaangażowania marynarki wojennej”. W tym przypadku nie chodzi wyłącznie o konieczność uzupełnienia strat na Morzu Czarnym, które wyniosły 26 okrętów. Kreml nie ma zamiaru rezygnować ze swych planów roz-

Po wstąpieniu Szwecji i Finlandii do NATO w zachodnich oraz polskich mediach popularność zyskała teza, że Bałtyk staje się „jeziorem” Sojuszu Północnoatlantyckiego. To miło brzmiące hasło jest jednak zupełnie nieprawdziwe

budowy potencjału wojskowego, także marynarki wojennej, i z pewnością nie planuje wycofania się z mórz o znaczeniu kluczowym dla rosyjskiej gospodarki. Jednym z nich jest Bałtyk.

DROGI ZAOPATRZENIA

Jeśli jednak mówimy o potencjalnych zagrożeniach, to przede wszystkim trzeba zwrócić uwagę na sytuację poprzedzającą ewentualny wybuch konfliktu kinetycznego, bo na rosyjskie „działania w szarej strefie” Polska wydaje się być słabo przygotowana. Z pewnością nasza gospodarka, a co za tym idzie możliwości kontynuowania skutecznego oporu na wypadek wojny, są związane z naszymi portami. Przez nie dociera całość naszego

zaopatrzenia w ropę naftową, dostawy skroplonego gazu LNG pokrywają jedną trzecią naszego zapotrzebowania na paliwo gazowe, przez nasze porty przechodzą też duże ilości węgla energetycznego i olbrzymia część innych surowców oraz towarów. Gdańsk jest dzisiaj drugim pod względem wielkości przeładunków portem na Bałtyku, a zapowiedziane plany rozbudowy naszych instalacji mają zwiększyć ten potencjał. Już obecnie Gdańsk jest najszybciej rozwijającym się portem w Europie, od 2013 r. jego dynamika wzrostu osiągnęła 167 proc. Paradoksalnie ten sukces odsłania też naszą słabą stronę, jaką jest wrażliwość gospodarki na utrzymanie zdolności żeglugowych na Bałtyku w niezaburzonym stanie. A co, jeśli Rosjanie zintensyfikują ataki asymetryczne, poniżej progu wojny?

NIEBEZPIECZNA FLOTA CIENIA

W ostatnich miesiącach mieliśmy do czynienia z wieloma niepokojącymi incydentami na kluczowym dla funkcjonowania polskiej gospodarki akwenie. Zakłócone są sygnały GPS, awariom ulegały podmorskie kable łączące Estonię z Finlandią i Szwecją, Rosjanie kilkakrotnie naruszali też przestrzeń powietrzną państw mających dostęp do tego akwenu. Ewa Skoog Haslum, dowódca szwedzkiej marynarki wojennej, mówiła pod koniec kwietnia, że rosyjskie statki wchodzące w skład tzw. floty cienia, czyli jednostki zakupione przez Moskale po wybuchu wojny po to, aby omijać sankcje, realizują też rozbudowane misje szpiegowskie. Ta flota cienia stanowi potencjalny problem dla państw mających dostęp do Bałtyku co najmniej z kilku powodów. Mamy do czynienia z wysłużonymi statkami, często w złym stanie technicznym, zarejestrowanymi w egzotycznych, często afrykańskich krajach. Są one objęte niewiarygodną ochroną ubezpieczeniową, bo uznane firmy w rodzaju Lloyd'a odmówiły ich asekuracji. Duńscy i szwedzcy ekolodzy alarmują, że ryzyko katastrofy związanej choćby z wyciekiem ropy z jednego z takich tankowców jest duże, a eksperci wojskowi ostrzegają, iż zatonięcie takiej jednostki np. w jednej z cieśnin duńskich

może w praktyce zablokować na pewien czas żeglugę na Bałtyku, tym bardziej że państwa Zachodu mają ograniczone zdolności w zakresie wydobywania tego rodzaju wraków i udroźniania szlaków żeglugowych.

CENNE INFORMACJE

Możemy mieć do czynienia również z zagrożeniem innego rodzaju. Otóż w niemieckim dzienniku „Süddeutsche Zeitung”, który w związku z toczącym się oficjalnym śledztwem opisuje kulisy powstawania gazociągu Nord Stream 2, ukazał się artykuł, w którym można było przeczytać, że „rosyjski koncern energetyczny Gazprom zażądał precyzyjnych danych o trasach morskich, obszarach nurkowania i użyciu amunicji w odniesieniu do planowanej trasy gazociągu”. Bundeswehra była zdziwiona tego rodzaju nietypowymi „prośbami”, ale jak zeznało dwóch generałów, „do Urzędu Górniczego w Stralsundzie przekazano również dokumenty dotyczące liczby strzałów i kalibrów w rejonie ostrzału artyleryjskiego Zatoki Pomorskiej”. Rosjanie nie tylko mapują obecnie położenie podwodnych gazociągów, kabli energetycznych i światłowodów, o czym wielokrotnie donosiły media, lecz także od lat zbierali dane o znaczeniu czysto wojskowym. W tym konkretnym przypadku chodzi o zatokę, w której znajdują się porty krytyczne z punktu widzenia bezpieczeństwa Polski, takie jak choćby gazoport.

AKCJE DYWERSYJNE I SABOTAŻOWE

Tadeusz Hatałski, były dyrektor Urzędu Morskiego w Gdyni, od lat alarmuje, że Polska jest szczególnie słabo przygotowana na zagrożenia poniżej progu wojny kinetycznej. W praktyce nie mamy własnej marynarki handlowej, np. w zakresie transportu LNG korzystamy z usług armatora norweskiego. A musimy wiedzieć, że każdy z kontraktów żeglugowych zawiera tzw. klauzulę wojenną, umożliwiającą wycofanie się właściciela statku z obsługi danej linii, jeśli zagrożenie zacznie narastać. W tym wypadku nie chodzi o wojnę, ale incydenty, które mogą być potencjalnie niebezpieczne, np. pojawie-

nie się min morskich czy akcje dywersyjne i sabotażowe. Kto wówczas będzie obsługiwał linie żeglugowe do naszych portów?

W Europie już mamy do czynienia z rosyjskim sabotażem. Jak kilka dni temu poinformowały władze Niemiec, niedawny pożar berlińskiej hali koncernu Diehl Defence, produkującego m.in. systemy rakietowe Iris-T, nie był wynikiem przypadkowego zaproszenia ognia, ale aktem dywersji. Czy zakładamy, że Bałtyk będzie wolny od tego rodzaju działań?

23 maja państwa NATO mające dostęp do tego akwenu zorganizowały w brukselskiej centrali Sojuszu posiedzenie zespołu, który ma się zajmować ochroną podmorskiej infrastruktury krytycznej, czyli tzw. Critical Undersea Infrastructure Network. Narada jest konsekwencją podjętej w lutym br. kierunkowej decyzji ministrów spraw zagranicznych państw członkowskich. Problemem wszakże jest to, że mieliśmy do czynienia z pierwszym posiedzeniem tej grupy, co pokazuje, jak dalece spóźniona jest reakcja państw członkowskich na zagrożenia związane z infrastrukturą krytyczną.

ALTERNATYWNE SZLAKI

Po wstąpieniu Szwecji i Finlandii do NATO w zachodnich oraz polskich mediach popularność zyskała teza, że Bałtyk staje się „jeziorem” Sojuszu Północnoatlantyckiego. To miło brzmiące hasło jest jednak zupełnie nieprawdziwe, raczej zaciemniające niż rozjaśniające rzeczywistość. Dziś sytuacja strategiczna na tym akwenie skłania do formułowania przez ekspertów tezy, iż co najwyżej każdy z rywali jest w stanie realizować strategię sea denial, której istotą jest zakłócenie drugiej stronie możliwości użytkowania szlaków morskich. W sytuacji konfliktu możemy znacznie utrudnić, a może nawet uniemożliwić Moskalom żeglugę na Bałtyku, ale oni mają podobne możliwości. W związku z tym zasadnicze jest pytanie, czy NATO chce rozpocząć grę o kontrolę nad Bałtykiem. Ostatnie informacje nie potwierdzają, iż taki plan jest realizowany.

Jak poinformował specjalistyczny portal Barents Observer, pod koniec czerwca przywódcy trzech państw skandynawskich – Norwegii, Szwecji i Finlandii spotkali się w miejscowości Bodø i zawarli porozumienie o budowie wspólnego ko-

rytarza transportowego wiodącego z Narwiku do pozostałych państw regionu. Alexander Stubb, prezydent Finlandii, komentując zawarte porozumienie, powiedział: „Umożliwi nam to szybkie przemieszczenie personelu i sprzętu z portów norweskich przez Szwecję i do Finlandii”. Wcześniej, po rozszerzeniu NATO, zastanawiano się, czy podobną rolę co Narwik mógłby odegrać szwedzki port bałtycki Göteborg leżący w cieśninach duńskich, uznawanych za bramę na Bałtyk. Wybór przez państwa skandynawskie innej drogi zaopatrzenia na wypadek wojny skłania do wniosku, że NATO-wscy planiści są zdania, iż sytuacja na tym akwenie nie będzie prosta i lepiej szukać alternatywnych dróg.

Do podobnych wniosków skłaniają informacje, które kilkanaście dni temu ujawnił brytyjski dziennik „The Telegraph”. Powołując się na anonimowe źródła w kwaterze głównej NATO, dziennikarze napisali, że zdaniem planistów Sojuszu, główna trasa zaopatrzenia wschodniej flanki na wypadek konfliktu, wiodąca z portów holenderskich i niemieckich trasami lądowymi na wschód, jest zagrożona i trzeba szukać alternatywnych szlaków komunikacyjnych. Zaproponowano cztery nowe. Ten z Narwiku do Szwecji i Finlandii jest jednym z nich, a pozostałe wiodą z Włoch przez Słowenię i Chorwację, z portów greckich przez Bułgarię i Rumunię oraz z Turcji. Nietrudno zauważyć, iż żaden z analizowanych korytarzy transportowych nie zakłada wykorzystania bałtyckich portów państw NATO.

Jeśli Rosjanie zdecydują się na intensyfikację działań dywersyjnych i operacji poniżej progu wojny, możemy mieć problemy z żeglugą na Bałtyku. Boleśnie odczuje to nasza gospodarka, tym bardziej jeśli sytuacja potrwa dłużej. Jeśli wojna wybuchnie, to w świetle obecnych relacji sił jako NATO nie mamy szans na kontrolę Bałtyku, nawet jego zachodniej części. A to oznacza, że trzeba szukać alternatywnych dróg dostaw surowców i towarów, nie mówiąc już o transporcie wojska. Warto zwrócić uwagę na fakt, że już obecnie wszystkie państwa mające linie brzegową na Bałtyku deklarują budowę pozabałtyckich kanałów zaopatrzenia. To niezwykle ważne zadanie dla Polski i przede wszystkim dla Bałtów.

Gra o europejskie posady

Czy w nowej kadencji Parlamentu Europejskiego Brukseli uda się pobić swój rekord w umieszczaniu na najwyższych stanowiskach w UE osób zamieszanych w różne afery, najczęściej korupcyjne? Gry i intrygi już się rozpoczęły

Trzeba mieć nadzwyczaj misterny mechanizm doboru kadr, by jeszcze więcej niż jedna trzecia składu władców Europy – tak jak jest teraz – była ubabraną jakimiś skandalami. Właśnie rozpoczęły się negocjacje, czy też gry i knucia, dotyczące obsady stanowisk w europejskich instytucjach na nowy sezon 2014–2029 i trzeba przyznać, że Unia Europejska z animuszem goni własny rekord.



DARIUSZ MATUSZAK

VON DER LEYEN I JEJ GODNY PARTNER

Faworytką do ponownego szefowania Komisji Europejskiej jest bowiem Ursula von der Leyen, zesłana na to stanowisko jeszcze przez Angelę Merkel jako najgorszy, obciążony skandalami minister w jej rządzie. Do afer ze swej ojczyzny związanych z plagiatem pracy doktorskiej czy w resorcie obrony Niemka dorzuciła unijne. Ma kobieta rozmach i pecha.

Wciąż nie wyjaśniono, w jaki sposób von der Leyen wynegocjowała z szefem Pfizera, a swoim przyjacielem Albertem Bourlą, zakup od jego koncernu szczepionek dla całej UE za ponad 35 mld euro. Sprawę miały badać komisje Parlamentu Europejskiego, bo umowę negocjowano w czasie osobistych spotkań, podczas rozmów telefonicznych i za pomocą SMS-ów, ale pyk – wszystkie zapisy cudownie zniknęły. Dokładnie jak wtedy, gdy jeszcze w Niemczech von der Leyen była szefową resortu obrony i Bundestag badał podejrzaną, opiewającą na setki milionów kontrakty, które zawierała na tzw. doradztwo. Wtedy też cudownie zniknęła wszelka korespondencja. No i jest jeszcze jej ukochany mąż Heiko, był szef należącej do Pfizera Orgenesis Inc. Firma całkiem przypadkowo była zaangażowana w produkcję szczepionek przeciwko COVID-19 i otrzymała od Komisji Europejskiej setki milionów euro na badania. Ot, żona przyznała mężowi nasze pieniądze i co jej zrobić?

Dla von der Leyen jest szykowany godny jej partner. Przewodniczącym Rady Europejskiej ma zostać były premier Portugalii António Costa, który w listopadzie w atmosferze wielkiego skandalu musiał wraz z rządem podać się do dymisji po tym, jak prokuratura wszczęła przeciwko niemu śledztwo. Chodzi o zatwierdzanie przez gabinet Costy przepisów korzystnych dla jednej z firm deweloperskich, bardzo blisko związanej z rządzącą Portugaliją od 25 lat Partią Socjalistyczną (w marcowych przyspieszonych wyborach straciła władzę). Na dodatek w biurze Vitora Escarii, szefa gabinetu portugalskiego premiera, policja znalazła pieniądze – 76 tys. euro w gotówce. Jak widać, socjalista Costa nadaje się na szefa Rady Europejskiej.

W tym miejscu pozwólmy sobie na pewną dygresję. Otóż Portugalia, a już zwłaszcza jej Partia Socjalistyczna, ma szczególny dar wysyłania swych najlepszych synów na bardzo wysokie stanowiska w największych organizacjach międzynarodowych. Maoista, były premier José Manuel Barroso, był szefem Komisji Europejskiej, a teraz jego towarzysz, również były szef rządu, António Guterres jest sekretarzem generalnym ONZ. Trzeba by poczytać jakieś portugalskie odpowiedniki „Gazety Wyborczej” albo oglądać tamtejszy TVN i wsłuchać się w peany na cześć, by dowiedzieć się, jakie to wielkie korzyści ma z tego Portugalia i jakim to niesłychanym prestiżem cieszy się na świecie. Z naszym samotnym Donaldem Tuskiem daleko nam do takiej niepomiernej chwały.

MACRON Z SCHOLZEM ROBIĄ KIEŁBASĘ I DOPRASZAJĄ NA KOLACJĘ

„Revenons a nos moutons” – wróćmy jednak, jak mawiają Francuzi, do naszych baranów, czyli brukselskich kadr i analizy tego, kto z kim przeciwko komu knuje na salonach, by obsadzić stanowiska. Do tego, by sobie znaleźć takich jak von der



Leyen i Costa, trzeba mieć specjalne procedury i powierzyć zadanie specjalnym ludziom. Do rozdzielania brukselskich posad zabrali się więc ci, którzy ponieśli w wyborach do Parlamentu Europejskiego największe klęski – Olaf Scholz i Emmanuel Macron. SPD kanclerza przegrało nawet z Alternatywą dla Niemiec, a Odrodzenie prezydenta Francji miało wynik ponad dwa razy słabszy niż Zjednoczenie Narodowe Marine Le Pen. Macron zdecydował się więc rozpisnąć przedterminowe wybory, by zmobilizować poddanych przeciwko populistom z ZN. Ci bowiem stanowią wielkie zagrożenie dla demokracji, pokojiu i czegoś tam jeszcze. Jaki sprytny i strategiczny jest ten Macron – prezydent Francji straszy, że jak przedterminowe wybory, które sam ogłosił, wygra ZN, to we Francji może wybuchnąć wojna domowa.

Dwaj przegrani dobrali do swego grona Donalda Tuska i premierów Grecji Kiriakosa Mitsotakisa, Hiszpanii Pedro Sáncheza i Holandii Marka Ruttego. Z tego grona tylko dwóch pierwszych można uznać za zwycięzców – ich partie wygrały europejskie wybory. Wiadomo, że jedynie Scholz i Macron się liczą, a pozostali pełnili w czasie rozmów funkcje sekretarek i przyzwoitek. Doproszono ich, by udawać, że chodzi o demokrację. W tym towarzystwie pewne znaczenie ma odwieczny premier Holandii Mark Rutte, ale odchodzi na stanowisko szefa NATO, a władzę w tym kraju przejmuje koalicja Partii Wolności Gerta Wildersa i to ona będzie głosować na Radzie Europejskiej. To kolejny przykład, jak patologiczny jest ustrój Unii, skoro władzę w Europie mogą sprawować ludzie, którzy nie są wybierani i ją tracą nawet we własnym kraju.

Jak już panowie zebrali się na rozmowy w Brukseli, to pospółstwu z krajów drugiej jakości, czy też takich, gdzie są nieprawidłowe rządy, kazali czekać w przedpokojach trzy godziny, zanim je zaprosili na kolację. Tych sześciu panów po kolejnych turach rozmów przedstawia szefom rządów trzy kandydatury na najważniejsze stanowiska – wspomnianych von der Leyen i Costę oraz premier Estonii Kają Kallas, która ma zostać wysokim przedstawicielem Unii do spraw zagranicznych i polityki bezpieczeństwa.



MELONI WCHODZI DO KUCHNI

Takie procedowanie jest jednak oszustwem i lekceważeniem głosów wyborców – tak przynajmniej uważa premier Włoch Giorgia Meloni. „To niewiarygodne, że dwaj wielcy przegrani wyborów [tj. Scholz i Macron] uważają, że sami zdecydują o losach Europy. To nie jest demokracja” – mówiła w Mediolanie na obchodach 50. rocznicy powstania gazety „Il Giornale”.

Do tej pory trzy największe ugrupowania w Parlamencie Europejskim dzieliły między siebie cztery najważniejsze stanowiska: szefów Komisji, Rady, Parlamentu i komisarza ds. zagranicznych. Hegemonia chadeków z Europejskiej Partii Ludowej (EPL) i socjalistów mimo słabszego wyniku nie podlega wątpliwości, ale posypał się trzeci filar układu rządzącego Europą. Klęskę ponieśli liberalowie z frakcji Odnova Europy. Oczywiście określenie „liberalowie” jest umowne. W skład tej frakcji wchodził też skrajni lewacy, jak choćby Róża Thun, reprezentująca nawet nie tyle partię Hołowni, ile czystych rasowo eurokratów. Na klęsce Odnovy zaciążył głównie katastrofalny wynik ugrupowania Macrona Odrodzenie. Kolejny cios zadała partia ANO byłego premiera Czech Andreja Babiša, który wyprowadził z Odnovy swą trzódkę – siedmiu europosłów. Na razie nie wiadomo jeszcze, gdzie ją powiedzie, ale na pewno nie tam, gdzie projektuje się państwo europejskie.

Wyjściem z Odnovy Europy grozi też pięciu europosłów z paneuropejskiej, federalistycznej partii Volt. Wszystko dlatego, że Odnova, choć zapowiadała, nie pozbyła się holenderskiej Partii Ludowej na Rzecz Wolności i Demokracji

(VVD). Volt nie może zdzierżyć tego, że współpracuje ona teraz w Holandii z nieprawidłową, eurosceptyczną Partią Wolności. Przytaczamy te szczegóły, by zobrazować, że nie tylko demokratyczne wybory, lecz także gry i intrygi decydują o tym, kto będzie sprawować władzę. A w knuciu szczególnie biegłością chce się wykazać premier Włoch Giorgia Meloni.

Odnowa ma teraz 73 deputowanych – o 19 mniej niż w poprzedniej kadencji i jest dopiero czwartą siłą w PE. Spadła z podium, co nie jest przenośnią, bo już nie należy do medalowej trójki, która dzieli stanowiska. Na pudło z 83 europosłami wskoczyli prowadzeni przez Meloni Europejscy Konserwatyści i Reformatorzy (EKR), do których należy też Zjednoczona Prawica. Premier Włoch zażądała więc udziału w „konklawe” i współdecydowania o podziale stanowisk. Publicznie zlekceważył to Tusk, który oznajmił, że nie jest ona do niczego potrzebna, bo EPL, socjaliści i Odnowa mają większość. Może być pewien, że Meloni mu to zapamięta. Może też pokazać, że choć w 720-osobowym Parlamencie Europejskim 339 mandatów (189 EPL, 136 socjalistów i 74 Odnowy) wystarczy, by usadzić na brukselskich stolcach, kogo się chce, to praktyka głosowań bywa zaskakująca. W poprzedniej kadencji doświadczyła tego sama von der Leyen, która w 2019 r. teoretycznie miała 516 szabel, a dostała tylko 383 głosy i prześliznęła się ledwie dziewięcioma. Wsparli ją wtedy, całkiem niepotrzebnie, PiS i Macron, który dał jej tron w zamian za stanowisko prezesa Europejskiego Banku Rozwoju dla Christine Lagarde.

Znów mała dygresja. Lagardę jako minister finansów Francji była zamieszana w wielką aferę z udziałem przedsiębiorcy i hochsztaplera Bernarda Tapie i uznana przez sąd winną skandalicznych zaniedbań przy wydawaniu pieniędzy publicznych. Skazano ją na pogożenie paluszkami. Teraz Prokuratura Europejska wszczęła śledztwo przeciwko Wernerowi Hoyerowi, który, podejrzewany o korupcję, pod koniec 2023 r. musiał odejść ze stanowiska prezesa największego banku UE – Europejskiego Banku Inwestycyjnego. Dwa najważniejsze banki i dwójka prezesów aferzystów. Takie rzeczy tylko w Unii.

WRZENIE W GARNKACH

Ursula von der Leyen nie jest pewna głosowania w PE i dlatego umizguje się do Giorgii Meloni. To z kolei nie podoba się socjalistom, którzy na swym zlocie w Berlinie oświadczyli, że z „faszystami” z EKR nigdy nie będą maszerować, więc von der Leyen może stracić ich głosy. Tymczasem ze strony prawicy płyną głosy krytyki pod adresem premier Włoch. Eurodeputowanych EKR mogłoby być więcej – 94, bo węgierski Fidesz przyprowadził 10, ale ci nie zostali przez nią

przyjęci, co wywołało oburzenie w samej frakcji. Nie dość, że Meloni zachowała się jak rasowa, cyniczna eurokratka, która buduje polityczne getta, to jeszcze okazało się, że z nikim nie konsultowała weta. Przyjęcia Fideszu chce m.in. PiS, które zbojkotowało ostatnie rozmowy frakcji i pomrukuje, że może wstąpić do rodzącej się nowej grupy Visegrad+.

Włoska polityk oskarżana jest o to, że osłabia konserwatystów, sprzedaje prawicę za stanowiska dla Włoch. Meloni odrzuciła oferty rozmów z wielkim zwycięzcą eurowyborów we Francji Marine Le Pen, która być może będzie układać rząd we Francji. Zamiast tego dogaduje się z von der Leyen. Od dawna piszemy, że premier Włoch rozczarowuje swą postawą i wydaje się, że – by sparafrazować Grzegorza Ciechowskiego – „pożera ją galopująca prostytutka”. Meloni nabiera wielkopiańskich manier i daje się wciągać w towarzystwo eurokracji, w którym kłamstwa, intrygi, przekupstwo i obluda są narzędziami uprawiania polityki.

Tak czy owak, wiele wskazuje na to, że wbrew temu, co mówił mniemany negocjator brukselskich posad Donald Tusk, nic nie jest jeszcze rozstrzygnięte i wszystko jest możliwe w wyniku intryg i gier

Tak czy owak, wiele wskazuje na to, że wbrew temu, co mówił mniemany negocjator brukselskich posad Donald Tusk, nic nie jest jeszcze rozstrzygnięte i wszystko jest możliwe w wyniku intryg i gier. Kwestionuje się już posadę dla Kallas. Ponieważ jest ona premierem jakiejś tam lichej prowincji – Estonii – to władcy Europy mogą ją poświęcić, by nakarmić rzymską wilczycę Meloni.

Po co właściwie opisujemy to wszystko? Po co te ploty z salonów i życia wyższych brukselskich sfer? Otóż któregoś dnia, oby nadszedł jak najpóźniej, władcy Europy wyjdą

na scenę, przed kamery i ogłoszą, kto został parą królewską. Przedstawia szefów Komisji i Rady oraz resztę towarzystwa, tak jak monarchowie pokazują z balkonów pałaców nowo narodzonych następców tronu. Powiedzą wtedy, że Unia potwierdziła swą siłę i solidarność, niezłomne przywiązanie do jakichś tam wartości, że jest silniejsza i bliżej poddanych, Europejczyków, niż kiedykolwiek wcześniej. Że mimo wielkich wyzwani z nową energią przystępuje do budowania świetlanej przyszłości kontynentu, który staje się inspiracją dla całego świata i kosmosu. Kłamstwa i obluda będą się lały strumieniami jak szampan na salonach albo w komnatach zamku Chambord, gdzie eurokraci knują, balują i polują. My odsłaniamy zaplecze – kuchnię. Wbrew temu, co mówił kanclerz Niemiec Bismarck, ludzie powinni wiedzieć, jak się robi politykę i kielbasę. Inaczej dostają byle co – upchnięte w nędzny flak podgniłe i niestrawne resztki po specjalach dla jaśnie państwa.

Dlaczego zaś chodzi o to, by dzień elekcji władców Europy nadszedł jak najpóźniej? Gdy eurokraci knują i zajmują się tylko sobą, nie mają sił i czasu, by wymyślać kolejne ukazy niszczące dobrobyt Europy i życie poddanych, zmieniające je w nieustanną mordęgę oraz walkę z rachunkami czy przepisami, o pracę, prawo do wolności słowa albo podróżowania. Niech więc knują i żrą się jak najdłużej.

Uśrednione wyniki sondaży przed wyborami parlamentarnymi zaplanowanymi na 4 lipca pokazują ponaddwukrotną przewagę procentową laburzystów (42 proc. wobec 20 proc.), co w warunkach jednomandatowych okręgów wyborczych może oznaczać pogrom torysów, nawet w tradycyjnie konserwatywnych okręgach południowo-zachodniej Anglii. Ponoć pośród członków przerażonego biegiem zdarzeń aktywu torysów krąży sarkastyczny dowcip, wedle którego partia utraci nawet te okręgi, które zdobyła jeszcze pod przywództwem księcia Wellingtona po bitwie pod Waterloo. I nawet sam premier ma nie być do końca pewien swego zwycięstwa w okręgu Richmond w hrabstwie North Yorkshire. Za partyjnych optymistów uchodzą dziś ci, którzy przekonują, iż nieuchronna klęska nie będzie większa niżli w 1997 r., kiedy torysi uzyskali tylko 165 mandatów w Izbie Gmin, a zwycięski Tony Blair odesłał ich do opozycji aż na 13 lat.

FARAGE WCHODZI DO GRY

Ale nawet ten ponury rodzaj optymizmu nie wygląda teraz na uzasadniony. Szczegółowa analiza wszystkich brytyjskich 632 okręgów jednomandatowych, którą opublikował ostatnio „The Economist”, sugeruje bowiem, że torysi wygrają tylko w 76 spośród nich, a laburzyści aż w 465. Tak właśnie wygląda wizja możliwego pogromu wyborczego brytyjskich konserwatystów.

Co ciekawe, nie znaczy to wcale, iżby ostatnio wymarli Anglicy o prawicowych przekonaniach. Dziś jest ich co prawda mniej niżli jeszcze kilka lat temu, w okresie brexitowego patriotycznego entuzjazmu, ale ci, którzy zostali, po raz pierwszy

tak wyraźnie podzielili się pomiędzy dwie partie. Torysom depcze po piętach partia Reform UK pod przywództwem ekscentrycznego radykała Nigela Farage’a, który ku zaskoczeniu premiera Sunaka niespodziewanie obwieścił, iż wbrew wcześniejszym planom sam stanie na czele listy reformatorów i będzie się ubiegać o mandat w Izbie Gmin.

wyborami ta różnica zmniejszyła się do 3 pp. (17 proc. wobec 20 proc.), a każdego kolejnego dnia torysi Sunaka idą w dół, zaś reformatorzy Farage’a pną się w górę.

Coprawda w systemie JOW ten „trzeci” rzadko wygrywa w jakimś okręgu, więc też reformatorzy musieliby do czwartku prześcignąć torysów, aby mieć liczącą się parlamentarną reprezentację. Ale nawet

jeśli tego nie dokonają, to i tak zrujnują rezultat wyborczy konserwatystów, pogłębiając kryzys, nie od dziś panujący na brytyjskiej prawicy. „Konserwatyści nie tylko przegrywają, lecz także się rozpadają” – pisze otwarcie wrogi torysom dziennik „The Guardian”.

Konserwatyści bowiem tak naprawdę nigdy nie wydobyli się z kryzysu wywołanego sporem o brexit. To wtedy, osiem lat temu, w obliczu sławnego referendum zarządzanego przez premiera Davida Camerona, partia dogłębnie skonfliktowała się wewnętrznie, gdy jej jedna część (wraz z premierem) poparła członkostwo w Unii, a druga (wraz z ówczesnym burmistrzem Londynu Borisem Johnsonem) była mu przeciwna. W gruncie rzeczy brytyjscy konserwatyści nigdy nie przezwyciężyli tego podziału, mimo że pierwotny powód rozbicia partii dawno minął, a brexit stał się faktem, którego nikt poważny nie zamierza cofać. I to nie tylko pośród torysów, bo w obecnej kampanii wyborczej taki sam pogląd na sprawę przedstawił też lider laburzystów, a od najbliższego czwartku zapewne nowy brytyjski premier Keir Starmer.

Spodziewana katastrofa torysów

Brytyjscy konserwatyści pod przywództwem hinduskiego miliardera Rishiego Sunaka zdają się zmierzać do klęski wyborczej o takiej skali, jakiej nie pamiętają nawet najstarsi Anglicy



JAN ROKITA

Jeszcze na początku czerwca różnica pomiędzy reformatorami a torysami sięgała 13 pp. (11 proc. wobec 24 proc.). Ale polityka w ciągu ostatnich tygodni była dla Sunaka pasmem ustawicznych katastrof, zaś kampanijne zaangażowanie Farage’a skłania coraz większą liczbę prawicowych wyborców do opuszczania obozu torysów. Niecały tydzień przed

PARADA OBALONYCH PRZYWÓDCÓW

Więc choć w obecnej kampanii sam brexit nie odgrywał już roli, to rzecz ma się zupełnie inaczej, gdy idzie o wewnętrzną kondycję Partii Konserwatywnej. W ciągu ostatnich ośmiu lat nieustannie

skonfliktowane wewnętrznie ugrupowanie samo obaliło czterech swoich kolejnych przywódców, a zarazem brytyjskich premierów. A piątego – Rishiego Sunaka – nie zdążyła obalić tylko dlatego, że ten nieoczekiwanie ogłosił przyspieszone wybory 4 lipca.

Dymisja Camerona w 2016 r. była skutkiem przegranej tej frakcji torysów, która chciała, by kraj pozostał w Unii. Dymisję Theresy May w 2019 r. wymusili z kolei twardzi brexitowcy, rozjuszeni brakiem zdecydowania szefowej partii w negocjacjach z Brukselą. I znów na odwrót – trzy lata później partia zmusiła do dymisji swego najbardziej politycznie utalentowanego przywódcę Borisa Johnsona, a tym razem „spiskowcami” byli centrowi zwolennicy May. Najdziwniejszy i rujnujący dla partii był zaś upadek premier Liz Truss jeszcze tego samego 2022 r., którą partia obaliła pod presją międzynarodowych bankierów, wystraszonych, że za sprawą twardej polityki obniżania podatków i zmniejszania budżetu państwa ich monstrualne dochody z kapitału mogłyby choć trochę spaść.

Ten partyjny zamęt i jakaś zdumiewająca niezdolność do uzgodnienia wspólnej linii konserwatystów sprawiły, że w ciągu ostatnich ośmiu lat niewiele było momentów, w których najciekawszym tematem brytyjskiej polityki nie byłby organizujący się na nowo kolejny partyjny spisek przeciw urzędującemu premierowi. W takich skrajnie dyskomfortowych warunkach, w których każdy kolejny premier musiał walczyć na dwóch frontach, przez jakiś czas świetnie radził sobie jedynie Boris Johnson – bez wątpienia jedyny charyzmatyczny przywódca torysów od czasu lady Thatcher. To on zapewnił konserwatystom całkiem nieoczekiwane wielkie zwycięstwo wyborcze w 2019 r., siedem miesięcy po ówczesnych wyborach europejskich (to było jeszcze przed brexitem), w których partia pod przywództwem May zdobyła piąte miejsce i 9 proc. głosów. Całkiem prawdopodobne, że gdyby nie charyzmatyczny Johnson, obecna katastrofa torysów dokonałaby się już kilka lat wcześniej.

Rzecz w tym, że Johnson był tak zadufany w siebie i pewien swej politycznej fortuny, że nie docenił roli, jaką w demokracji odgrywa ludowa namiętność równości. Prawdę mówiąc, trudno o bardziej blądy



powód upadku wybitnego szefa rządu jak ten, który Johnson sam sobie zgotował. To sławetna afera „partygate”, czyli odkryte przez media towarzyskie imprezy z udziałem premiera przy Downing Street 10, odbywające się mimo restrykcji zarządzonych podczas zarazy. Co gorsza, premier przyłapany w tej sprawie zaczął kłamać, co doprowadziło go do ostatecznej katastrofy. Po upadku Johnsona partia już się nie podniosła. I co ciekawe, ten wybitny polityk, któremu na Ukrainie chcą stawiać pomniki, w swoim kraju zyskał fatalną reputację rozbisurmanionego bachora i patologicznego egotyka.

HAZARD I STADO OWIEC

Od tamtego czasu media wzięły pod lupę standardy zachowania polityków

konserwatywnych. Rishi Sunak obejmował szefostwo partii właśnie pod hasłem: „Uczciwość, profesjonalizm, odpowiedzialność na każdym szczeblu”. Ale niestety cały dwuletni okres jego przywództwa został naznaczony niezliczonymi skandalami i skandalikami o podłożu finansowym i obyczajowym z udziałem polityków torysów.

Szczytem wszystkiego stał się finał obecnej kampanii wyborczej, zdominowany tak naprawdę przez odkrycie faktu, iż czwartkowa data wyborów, znana wcześniej współpracownikom Sunaka, została przez kilku z nich obstawiona w zakładach bukmacherskich, w których stawiając 100 funtów, w razie trafienia mogli wygrać pięć razy tyle. Takie zakłady obstawił m.in. szef kampanii wyborczej torysów i jego



W ciągu ostatnich ośmiu lat nieustannie skonfliktowana wewnętrznie partia sama obaliła czterech swoich kolejnych przywódców, a zarazem brytyjskich premierów

zona oraz najbliższy doradca Sunaka w urzędzie premiera. Etyką ich postępowania zajęła się państwowa Komisja ds. Hazardu, a premier, który na swoje nieszczęście na początku próbował ich chronić, został zmuszony do kapitulacji. Ta jeszcze jedna, aż do bólu absurda historia z jednej strony dowodzi głupoty i nieodpowiedzialności najwyższych funkcjonariuszy partyjnych, ale z drugiej unaocznia też, jak błahe w gruncie rzeczy przypadki mogą w demokracji doprowadzić do ruiny poważną partię polityczną z wielkim zapleczem i rozległą tradycją.

W każdym razie torysi w tych dniach występują w mediach w roli „niekompetentnych, chaotycznych, niewiarygodnych i wysmarowanych obłęsnością” – jak dobitnie sformu-

lował to Andrew Rawnsley, naczelny komentator polityczny dziennika „The Observer”. A kwestia standardów władzy dość nieoczekiwanie stała się centralnym tematem kampanii, jednoznacznie uderzającym w Partię Konserwatywną.

W trakcie ostatniej debaty pomiędzy premierem Sunakiem i liderem laburzystów Keirem Starmerem, która była transmitowana przez BBC w ub. środę z Nottingham, lider opozycji nie omieszczał wypomnieć szefowi rządu, że on również tak samo jak postponowany na

każdym kroku Johnson bezkarnie łamał restrykcje podczas zarazy. Zresztą Wedle zgodnej opinii brytyjskich mediów Sunak zdecydowanie wygrał tę debatę. Ale w sumie była to rzecz spodziewana, bo Starmer jest dyskutantem powolnym, ciężkawym i mało błyskotliwym. W debatach publicznych woli zaś po raz kolejny podkreślać swoją ludową proveniencję i robotnicze pochodzenie, niżli wdawać się w zbyt ryzykowne w jego przypadku polemiki. Posiadanie ojca ślusarza jest dziś chyba na Wyspach istotnym argumentem, aby dostać posadę premiera, więc lider lewicy co rusz odwołuje się do tego kluczowego argumentu.

W tej debacie lider Partii Pracy nie był w stanie jasno pokazać nowej polityki rządowej w najbardziej dziś wrażliwych kwestiach w Wielkiej Brytanii, takich jak metody hamowania imigracji, podejście do najwyższych od II wojny światowej podatków czy groźba bankructwa systemu ubezpieczeń zdrowotnych. Sunak zręcznie go odpytywał i atakował, konkludując, iż „Keir

Starmer mówi o zmianach, ale nie dostaniesz zmiany, jeśli nie masz planu, aby ją wprowadzić”.

Nie wygląda jednak na to, aby tym razem talent dyskusyjny lidera konserwatystów mógł mieć jakieś znaczenie dla czwartkowego zasadniczego rozstrzygnięcia. Zdaje się, że w obecnych wyborach od całej tej debaty o wiele więcej waży kultowy filmik, który miliony Brytyjczyków oglądają w sieci, śmiejąc się do rozpuku.

Oto parę dni temu premier Sunak wraz ze swym szefem dyplomacji lordem Cameronem wybrali się na wieś, aby tam agitować na rzecz torysów pośród rolników. Filmik utrwala scenkę, w której Sunak i Cameron z wiaderkami w rękach wchodzi do zagrody owiec, próbując je nakarmić. Szefowi MSZ udaje się dopaść jedną z owiec i zmusić ją do zjedzenia jakiegoś liścia. Ale gdy zbliża się premier, całe stado, głośno becząc, odwraca się doń tyłem i ucieka. Także ta jedyna, która wcześniej spróbowała jedzenia od lorda Camerona.

Zgadnij, kto wrócił



Nigel Farage walczył kiedyś o brexit. Potem zrobiło się o nim cicho. Teraz w wielkim stylu powrócił do brytyjskiej polityki, by odebrać tonącą Partii Konserwatywnej wyborców i stać się jedyną prawicową opozycją wobec idących po wyborcze zwycięstwo laburzystów



ALEKSANDRA RYBIŃSKA

To wygląda na zadanie dla mnie, więc wszyscy po prostu podążajcie za mną. Bo potrzeba nam trochę skandalu. Jest tu jakoś tak pusto beze mnie” – to refren piosenki „Without Me” amerykańskiego rapera Eminem. Były lider Partii Niepodległości Zjednoczonego Królestwa (UKIP)

i główny architekt brexitu Nigel Farage wybrał ją na swój hymn wyborczy. 4 lipca w Wielkiej Brytanii odbędą się wybory parlamentarne, a Farage po latach jako publicysta i publiczny skandalista (wziął m.in. udział w reality show w dżungli) ma nową-starą partię Reform UK (wcześniej: Brexit Party) i nową ambicję: odebrać wyborców dołączającym w sondażach torysom. I może mu się to udać.

STRACH I BIG MAKI

W jego okręgu wyborczym w Clacton-on-Sea, malowniczym nadmorskim miasteczku w hrabstwie Essex, był on w każdym razie witany entuzjastycznie,

gdy pojawił się tam 18 czerwca. „Będą się mnie bali, gdy z nimi skończę” – mówił ze sceny do zachwyconego tłumu. Bać się ma oczywiście Partia Pracy sir Keira Starmera na kursie po zwycięstwo, a także torysi premiera Rishiego Sunaka. W przedwyborczych sondażach poparcie dla rządzących w Wielkiej Brytanii od 14 lat konserwatystów oscyluje ostatnio w okolicach 20 proc., czyli jest dwukrotnie mniejsze niż dla partii Starmera (41 proc.). Z sondażu YouGov wynika, że laburzyści zdobędą 425 mandatów w Izbie Gmin, w której zasiada 650 parlamentarzystów – co byłoby dla nich najlepszym wynikiem w historii. Inne sondażownie przewidyują ich jeszcze większe zwycięstwo: nawet 516 mandatów.

Upadek torysów będzie bolesny, a najstarsza partia polityczna w Europie może zostać zredukowana do roli politycznego planktonu. Tymczasem Reform UK oscyluje w granicach 16–19 proc. poparcia, mimo że rozpoczęła kampanię zaledwie kilka tygodni temu. Według analizy „The Daily Telegraph” zamierza na nią głosować aż 16 proc. osób w wieku od 18 do 24 lat. Farage zręcznie zabiegał o poparcie milenialsów i zetów, obiecując im m.in. na TikToku, że zapewni im dodatkowe 30 funtów tygodniowo w kieszeni, za które będą mogli sobie kupić „iphone’a, sześć Big Maków czy dodatkowe sześć piw”.

ZNISZCZYĆ, BY ODBUDOWAĆ

Wzrost kosztów życia po brexicie, pandemii i wybuchu wojny na Ukrainie był bolesny dla młodych, własne mieszkanie pozostaje odległym marzeniem, a masowa imigracja wciąż wydaje się być poza kontrolą. „Wśród młodych wyborców panuje poczucie, że ani konserwatyści, ani laburzyści nie zajęli się kwestiami, na których im zależy i że dopiero Farage przedstawił zadowalające odpowiedzi” – czytamy na łamach „The Daily Telegraph”. Li-

Fot. ComposedPix/Shutterstock.com

der Reform UK chce zreformować publiczną służbę zdrowia, obniżyć podatki, ograniczyć legalną i nielegalną migrację, zmuszając m.in. pracodawców do płacenia podatku od każdego pracownika z zagranicy.

Farage postuluje także porzucenie celów redukcji emisji CO₂, wyjście Wielkiej Brytanii z międzynarodowych organizacji czy zakaz „ideologii transplciowej” w szkołach. Wszystko to przez lata było także w programie torysów, ale według lidera Reform UK nie zostało zrealizowane, bo konserwatyści się „wyprzedali”, „stchórzyli” i stali „destrukcyjną lewicową organizacją jak cała reszta”. Marzy mu się nowa prawica, prawdziwa, brexitowa, nieidąca na kompromisy z mainstreamem. „Wielka Brytania jest zepsuta. Ktoś musi ją naprawić” – przekonuje.

DEKADA LEWICY?

Powiedzieć, że torysi są oburzeni, to nic nie powiedzieć. Media oraz związani z nimi publicyści otwarcie oskarżają Farage’a o chęć zniszczenia Partii Konserwatywnej. Podobnie jak byli premier David Cameron, na którym szef Reform UK w 2016 r. praktycznie wymusił referendum w sprawie brexitu. „On [Farage] próbuje obecnie zniszczyć Partię Konserwatywną. Mam nadzieję, że do parlamentu nie dostanie się ani jeden z członków Reform UK, a my będziemy mogli pójść dalej” – zaznaczył. Rzeczywiście – może być tak, że mimo poparcia wyższego niż Partia Konserwatywna ugrupowanie Farage’a zdobędzie niewiele mandatów, a to ze względu na brytyjską ordynację wyborczą. Może ich nawet wcale nie zdobyć. Szkoda, jak argumentują politycy torysów, zostanie jednak wyrządzona. W brytyjskim parlamencie zabraknie prawicowej opozycji. „Lider laburzystów Keir Starmer zaczął mówić o dekadzie odnowy. To pokazuje, że dzięki atakom Farage’a na Partię Konserwatywną może nas czekać 10 lat rządów lewicy. A co się tyczy niszczenia, by odbudować: kiedy kanadyjska Partia Reform rozbiła konserwatystów w 1993 r. (redukując ich do dwóch samotnych parlamentarzystów), powrót do równowagi zajął prawie 13 lat” – twierdzi rozszalony „The Daily Telegraph”.

Kilkanaście lat na politycznym marginesie przy rządach lewicy to mało zachęcająca perspektywa, tym bardziej że Farage uporczywie podsyca pogłoski, iż mógłby przejąć torysów. Jest to upokarzające dla konserwatystów, tym bardziej że była twarz kampanii brexitowej stara się jak może, by nie wyglądać zbyt poważnie. Jeszcze w maju, gdy utrzymywał, że nie będzie startował w wyborach, uzasadniał to tym, że wyścig prezydencki w USA na jesieni ma dla niego większe znaczenie. Farage marzy o ekspansji swojej marki za oceanem. Rishi Sunak zapewne żałuje, że rozpiął wybory na 4 lipca zamiast poczekać do listopada. Wtedy lider Reform UK byłby zapewne w Waszyngtonie, a nie w Londynie, gdzie dziś psuje torysom szyki.

OSTRY JĘZYK

Udało mu się przy tym odebrać im kilku kluczowych darczyńców, jak sir Johna Halla, byłego właściciela Newcastle United, który w 2017 r. sfinansował kampanię parlamentarną Theresa May. Kampania Farage’a nie była jednak pozbawiona zgrzytów. Najpierw wywołał oburzenie uwagą, że nie da się odbudować brytyjskich sił zbrojnych, bo należałoby sięgnąć po muzułmanów, którzy „nie podzielają naszych wartości”. Potem w wywiadzie dla BBC stwierdził, że Zachód był częściowo winien inwazji Rosji na Ukrainę, choć „główna wina leży oczywiście po stronie Putina”.

Wywołało to lawinę krytyki. Zarówno Starmer, jak i Sunak uznali jego komentarze za „haniebne”, natomiast „Mail on Sunday” doniósł, że współpracownik prezydenta Ukrainy zasugerował, iż Farage został zakazany „wirusem putinizmu”. Podczas spotkania ze swoimi zwolennikami w Maidstone lider Reform UK zapewniał, że „nigdy, przenigdy” nie będzie bronił Putina i polecił im, by w sprawach zagranicznych czy obronności nie słuchali ani torysów, ani Partii Pracy. Zaatakował przy tym torysów za cięcia w siłach zbrojnych. Następnie przystąpił do długiego wykładu na temat „całkowitej niekompetencji i sprzedajności brytyjskiej klasy politycznej”. Krytykującemu

go byłemu premierowi Borisowi Johnsonowi, z którym jeszcze niedawno był gotów współpracować, zarzucił zaś hipokryzję. W 2016 r. Johnson sam krytykował Brukselę za „podsycanie napięć między Rosją a Ukrainą”. „Był on najgorszym premierem w historii” – dodał w swoim niepowtarzalnym, bezpośrednim stylu. Jego zwolennicy za to go kochają, a reszta? Na początku czerwca w Clacton-on-Sea kobieta wyłała na niego koktajl mleczny. W przeszłości bywało, że obrzucano go jajkami lub warzywami.

MIEDZY HAGIOGRAFIĄ A NEKROLOGIEM

Podobnie zresztą jak Johnsona, drugie enfant terrible brytyjskiej polityki. Torysi wyciągnęli go z politycznej emerytury, by ożywić swoją kampanię. Z mieszanym rezultatem.

Tymczasem były współpracownik Johnsona i dawny spin doctor torysów Dominic Cummings założył nową partię o roboczej nazwie The Startup Party (TSP) i prowadzi obecnie badania fokusowe wśród konserwatywnych wyborców. Statek Partii Konserwatywnej tonie, a gdy już pójdzie na dno po wyborach, Cummings, jak pisze portal Politico, chce mieć gotowy projekt, do którego będzie próbował wchłonąć to, co po nim zostanie. Na to samo liczy Farage. Tylko czy wyborcy torysów za nimi podążą?

Według politologa Jamesa Kanaga-sooriana Wielka Brytania przechodzi obecnie okres „beprecedensowej politycznej niestabilności”. „Koalicje, które wydają się zbudowane na solidnych fundamentach, mogą zostać zmiecione w mgnieniu oka. Przestrzeń między hagiografią a nekrologiem staje się coraz mniejsza. Więzi między wyborcami a partiami są znacznie słabsze. W latach 60. prawie połowa z nas miała bardzo silną identyfikację partyjną, w międzyczasie ten odsetek spadł do 10 proc. Zatem liczba wyborców zmieniających partię między wyborami lawinowo rośnie. Jesteśmy w stanie permanentnej rewolucji” – podkreślił. A to działa na korzyść Farage’a, Cummingsa i każdego, kto będzie chciał zagospodarować zgłiszczą po torysach.

Péter Magyar, czyli Piotruś Pan



GRZEGORZ GÓRNY

Norwa gwiazda węgierskiej opozycji ma poważne kłopoty wizerunkowe. Pojawia się pytanie: czy to właściwa osoba, by oddać jej rządy w kraju?

Jeszcze na początku lutego mało kto na Węgrzech słyszał o Péterze Magyarze. Dziś jest jedną z najbardziej rozpoznawalnych postaci w tym kraju. Jego błyskawiczna kariera wiąże się z kryzysem wizerunkowym obozu władzy sprzed pięciu miesięcy. Do dymisji podały się wówczas urzędująca prezydent państwa Katalin Novák oraz była minister sprawiedliwości Judit Varga, otwierająca listę kandydatów Fideszu do euro-parlamentu. Okazało się, że złożyły one swoje podpisy pod ulaskawieniem mężczyzny tuszującego aferę pedofilską. Wybuchł skandal. Obie przyznały się do błędu i zrezygnowały ze swoich stanowisk.

MESJASZ OPOZYCJI?

Wtedy do akcji wkroczył Péter Magyar – prywatnie były mąż wspomnianej Judit Vargi, który rozwiódł się z nią rok wcześniej. Do tamtej pory był człowiekiem Fideszu. Po 2010 r. pracował w MSZ (pięć lat na placówce w Brukseli), kancelarii premiera Orbána oraz różnych państwowych spółkach i instytucjach. Formalnie nie był członkiem partii, jednak działał na jej zapleczu jako urzędnik lub menedżer. Pozostawał przy tym w cieniu swej żony, która wyrosła w tym czasie na jedną z gwiazd obozu władzy.



Po dymisji Novák i Vargi Magyar rozpoczął kampanię medialną, w której winą za skandal obarczył obóz władzy. Ostrze jego krytyki sięgało jednak głębiej, ponieważ oskarżył Fidesz o stworzenie korupcyjnego i oligarchicznego systemu paraliżującego rozwój kraju. Jego przesłanie trafiło do części wyborców zmęczonych 14-letnimi rządami Viktora Orbána, lecz niemających zaufania do żadnego z liderów opozycji. Na tym tle Magyar pojawił się jako samotny szeryfrzucający wyzwanie całemu systemowi.

Na fali zdobytej w błyskawicznym tempie popularności bardzo dobrze wypadł w wyborach do europarlamentu. Co prawda nie zdołał pokonać Fideszu, ale w ciągu trzech miesięcy jego partia TISZA zdołała osiągnąć lepszy wynik niż wszystkie ugrupowania opozycyjne przez ostatnich 14 lat. Zdobywając 30 proc. głosów, uzyskała siedem mandatów. Nic dziwnego, że Magyar został okrzyknięty mesjaszem węgierskiej opozycji i główną nadzieją lewicy na pokonanie Orbána.

BYĆ JAK MICHAEL JACKSON

Jego głównym atutem był wizerunek, niesplamiony żadnymi aferami finansowymi czy obyczajowymi. Trzeba jednak pamiętać, że on sam zawsze pozostawał w cieniu, nie przyciągając uwagi dociekliwych mediów. Sytuacja zmieniła się diametralnie, gdy

postanowił wkroczyć do wielkiej polityki. Od tej pory powinien być przygotowany na to, iż każdy jego krok będzie pilnie śledzony, a każde potknięcie bezlitośnie wykorzystane. Za brak doświadczenia w tym względzie można słono zapłacić, zwłaszcza jeśli komuś zakręci się w głowie od sukcesów. Wydaje się, że właśnie to spotkało Pétera Magyara, który zbyt szybko uwierzył w swą opatrnościową rolę.

Symptomatyczna była jego wypowiedź o tym, jaką reakcję wywołuje wśród młodzieży swoim pojawieniem się: „Byłem na dyskotecie Magyar Tenger w Vonyarcvashegy. Wszedłem, było tam 1,5 tys. młodych ludzi w wieku od 14 do 24 lat i kiedy DJ oznajmił, że tam jestem, to było trochę tak... nie wiem, jak to powiedzieć... jakby Michael Jackson zmartwychwstał”.

Magyar nie ukrywał zresztą w wywiadach, że jest bywalcem dyskotek. Jedną z jego rozrywkowych eskapad zakończyła się jednak niedawno głośnym skandalem. Wieczór 20 czerwca lider opozycji postanowił spędzić w luksusowym klubie nocnym na nabrzeżu Dunaju, nieopodal Mostu Łańcuchowego w Budapeszcie. Bawił się tam do godz. 4.00 nad ranem. Ponieważ jest postacią rozpoznawalną, niektórzy z gości nagrywali go swoimi telefonami komórkowymi. W internecie pojawiły się filmy, na których widać, jak tańczy z młodymi kobietami, a nawet przechodzi na czworakach pod nogami jednej z nich.

Zabawa zakończyła się dla Magyara przedwcześnie, ponieważ ochroniarze siłą wyprowadzili go z lokalu. Ten moment także uchwycony został na nagraniu przez jednego z uczestników imprezy. Według cytowanych przez media świadków polityk znajdował się pod wpływem alkoholu, zaczepiał młode dziewczyny, był agresywny, a w końcu wdał się w bójkę z jednym z mężczyzn, któremu zabrał telefon komórkowy. Po usunięciu go z klubu, wyrzucił smartfona do Dunaju. W związku z tym poszkodowany zgłosił na policję kradzież urządzenia, a w sprawie wszczęto śledztwo.

Sam zainteresowany następnego dnia po południu zamieścił na swym koncie internetowym długi wpis, w którym przedstawiał odmienną wersję wydarzeń. Miał się bawić spokojnie w nocnym klubie w towarzystwie kilkudziesięciu młodych ludzi, „dopóki płatny prowokator Fideszu nie zepsuł nam wieczoru”. Jego zdaniem wspomniany mężczyzna celowo go nękał, by wyprowadzić z równowagi: najpierw ubliżał mu słownie, a następnie wyciągnął z kieszeni komórkę i zaczął filmować z bliska, oczekując na agresywną reakcję. W końcu zdenerwowany Magyar wytrącił mu telefon z ręki, co doprowadziło do awantury.

Lider partii TISZA zarzeka się, że „ani jedno słowo z tego, co rządowa propaganda twierdzi na temat owego incydentu, nie jest prawdą”. Zagroził też wszczęciem postępowania przeciw tym mediom, które będą rozpowszechniały kłamliwą, według niego, wersję wydarzeń.

PRZEMOC I SZANTAŻ

Nawet jeśli polityk padł ofiarą prowokacji, to i tak jego zachowanie pozostawia wiele do życzenia. Węgry otrzymują bowiem obraz 43-letniego ojca trójki dorastających dzieci aspirującego do rządzenia krajem, który potrafi do białego rana bawić się w drogim lokalu nocnym z młodymi dziewczynami,

które mogłyby być jego córkami. Oświadcza, że od kilku dni nieustannie chodzi za nim prowokator Fideszu, by zmusić go do agresywnej reakcji. Ma więc świadomość, że tamten stawia na niego pułapkę, po czym sam daje się w nią złapać jak niedoświadczony uczeń. Nie świadczy to najlepiej o jego kwalifikacjach do rządzenia.

Zdaniem części komentatorów bliższa prawdy wydaje się wersja przedstawiona przez świadków nocnego incydentu. Koresponduje ona z wypowiedziami byłej żony polityka. Judit Varga udzieliła bowiem mediom kilku wywiadów, w których opowiedziała o kulisach swego życia małżeńskiego z Péterem Magyarem. Wiadomo, że od dawna potajemnie nagrywał on w domu swoje rozmowy z nią, by później upublicznić ich fragmenty. Sam przyznał to zresztą jako pierwszy, kiedy ujawnił jej wypowiedź z czasów, gdy była ministrem sprawiedliwości. Najdłuższym z opublikowanych nagrań żaliła się, że ludzie Antála Rogána, bliskiego współpracownika Orbána, próbują wtrącać się w pracę prokuratury generalnej.

W wywiadzie dla jednej ze stacji telewizyjnych Varga wyznała, że jej były mąż od dawna stosował wobec niej przemoc, a kiedy chciała go opuścić, zaczął ją szantażować, że ujawni nagrywane przez siebie rozmowy. Jak powiedziała: „Nie życzę nikomu, by znalazł się w sytuacji, w której współmałżonek potajemnie nagrywa jego rozmowy, żeby nieustannie go szantażować. I to wszystko nie w celach politycznych, jak teraz to przedstawia, ale żebym się z nim nie rozwiodła, bo wtedy straciłby dobrze płatne stanowisko”. Po czym dodała: „Stoi teraz na mównicy nie dlatego, że chciał tego od dawna, ale dlatego, że go opuściłam. Nie zgodziłam się na jego szantaż”.

BĘDZIE SKANDAL NA CAŁY KRAJ!

Jej wersję potwierdza raport policyjny opublikowany przez tygodnik „Mandiner”. Gdy Varga była ministrem, korzystała z przysługującej jej ochrony policyjnej. Każdy ochroniarz ma natomiast obowiązek donieść swoim przełożonym o wszelkich incydentach stanowiących zagrożenie dla chronionej przez siebie osoby. Na tej podstawie funkcjonariusz oddelegowany do byłej szefowej resortu sprawiedliwości pozostawił na piśmie relację, która stawia Magyara w niezbyt dobrym świetle.

Z raportu wynika, że gdy Varga chciała przewieźć swoje dzieci do Miszkolca, ówczesny mąż postanowił jej to uniemożliwić. Zamknął ją w domu na klucz i nie chciał wypuścić. Jak zeznał oficer ochrony, Magyar wydawał nieprzyzwoite i obraźliwe okrzyki, zachowując się agresywnie, grożąc i zastraszając. Gdy ona wołała: „Wypuść mnie!”, on miał jej odpowiedzieć: „Obalę cały rząd, będzie rozwód stulecia, skandal na cały kraj!”

Po ujawnieniu wspomnianego raportu lider partii TISZA stwierdził, że dokument został sfałszowany, zawiera 90 proc. kłamstw, a jego przeciek do prasy stanowi przestępstwo. Zaprzeczyła temu Judit Varga, która przyznała, że mąż nieraz zamykał ją w domu i nie pozwalał jej wychodzić na umówione spotkania. Pewnego razu jako minister miała wygłosić przemówienie, a nie mogła wyjść z mieszkania. Uwolnił ją dopiero 11-letni syn. Powyższe informacje kazał postawić pytanie, czy popularność Pétera Magyara utrzyma się do najbliższych wyborów parlamentarnych, do których zostały niemal dwa lata.

Groteskowy finał afery Katargate

Wszyscy pamiętamy zdziwienie, które ogarnęło nas na widok krążących po siedzibie Parlamentu Europejskiego wypchanych toreb z pieniędzmi. Uwikłani w korupcyjny proceder eurodeputowani zostali oczywiście przykładowie... nie ukarani. Pikanterii sprawie dodaje fakt, że Bruksela oddaje właśnie śledztwo w ręce faktycznego autora korupcyjnego spisku, czyli marokańskim służbom. Czy można bardziej otwarcie zakpić z europejskiego demosu?



MAŁGORZATA WOŁCZYK

Od ponad roku nic już nie słychać o bohaterach Katargate, choć wcześniej temat nie schodził z pierwszych stron gazet. To pokazuje, jak łatwo Europejczycy wybaczą korupcję na najwyższych szczeblach i jak bezkarni mogą się czuć nieuczciwi politycy. Oczywiście o ile należą do rodziny socjalistów, a więc jednej z grup trzymających władzę w europarlamencie.

Sprawa rozpoczęła się pod koniec 2022 r. aresztowaniem ośmiu osób: europosłów (w tym także byłych eurodeputowanych) oraz asystentów parlamentarnych w Belgii i we Włoszech, przeszukaniem niemal 20 prywatnych domów i siedziby parlamentu w Brukseli, a także zarekwirowaniem blisko 2 mln euro w gotówce. Dochodzenie dość szybko wykazało, że prawdziwym architektem spisku nie był Katar, lecz Maroko, które w ten sposób wpływało na promowanie własnych interesów. Dopiero później Katar wykorzystał już istniejące mafijne macki dla swoich celów, zwłaszcza związanych z organizowaniem w 2022 r. mundialu.



Za pośrednictwem strumienia łapówek wpływali na głosowania i rezolucje, aby chronić interesy obu islamskich państw.

Domniemanymi inicjatorami spisku byli dwaj Marokańczycy: Abderrahim Atmoun, ambasador Maroka w Polsce, oraz Mohamed Belharache, znany jako agent M118 marokańskich tajnych służb specjalnych. W ostatnich latach swoją działalność skupił w Brukseli, gdzie za pomocą toreb pieniędzy umiał zaskarbić sobie wpływy, a w swojej ojczyźnie korzystne głosowania.

Gdy wybuchł skandal, poznawaliśmy twarze protagonistów. Na czele skorum-

powanej grupy stał doświadczony, były już europoseł Pier Antonio Panzeri, a także Ewa Kaili, wówczas wiceprzewodnicząca Parlamentu Europejskiego i życiowa partnerka Francesca Giorgiego, czyli asystenta Panzeriego. Zamieszanych było jednak dużo więcej, a wszyscy pochodzili z europejskiej grupy Socjalistów i Demokratów.

Belgijska policja zarekwirowała torby z gotówką, aresztowała podejrzanych, ale po kilku miesiącach zarówno Kaili, jak i jeden z głównych prowodyrów, belgijski europoseł Marc Tarabella, opuścili areszt i wrócili do pracy w Parlamencie Europejskim, utrzymując, że są niewinni. Cała ta haniebna sprawa przypomina o młodości, biorąc pod uwagę, ile razy socjaliści z Parlamentu Europejskiego zachłystywali się od udzielania kazań i lekcji moralności rzekomo niepraworządnej Polsce.

WINNI NIECH SIĘ SAMI OSĄDZĄ?

Okazuje się jednak, że po okresie wyciszenia sprawa przybrała nieoczekiwany finał. Jak opisał belgijski dziennik „Le Soir”, tamtejszy wymiar sprawiedliwości podjął decyzję o wycofaniu się ze śledztwa w sprawie udziału Maroka w największym skandalu korupcyjnym w Parlamencie Europejskim, znanym jako Katargate. Pozostawił Rabatowi dalsze postępowanie karne – uwaga! – przeciwko własnym funkcjonariuszom uwikłanym w handel wpływami na korzyść własnego państwa. Przecież chyba nikt przy zdrowych zmysłach nie sądzi, że winowajca sam się osądzi.

Trzeba zauważyć, że belgijska policja od początku była bezradna wobec władz w Rabacie. Podejrzanego ambasadora Abderrahima Atmouna nie można było przesłuchiwać w Warszawie z powodu jego immunitetu dyplomatycznego, jego towarzysza Mohameda Belharache’a nie można zaś było ściągnąć do Belgii, ponieważ Rabat nie zezwala na ekstradycję swoich obywateli. „Belgijska prokuratura kończy marokański wątek w aferze korupcyjnej Parlamentu Europejskiego. Z uwagi na brak dowodów, ale też mając na względzie dobre relacje Belgii z Marokiem” – podsumowała sprawę „Rzeczpospolita”, a za nią inne media doskonale pogodzone z tym,

że zamiata się pod dywan najgłośniejszy skandal korupcyjny i fatycznie uwalnia od zarzutów głównych winowajców. Wszak Unia Europejska, zdaniem uśmiechniętej Polski, jest gwarantem postępu, pokoju i wszelkich dóbr, o których jeszcze się nam nie śniło, więc rozmowa o jej grzeszkach i korupcji nie przystoi. Polak powinien zachować fanatyczną wiarę zarówno w UE, jak i w Donalda Tuska, obwołanego przez Jędrzeja Bieleckiego jeszcze w październiku ub.r. „królem Europy”. Tymczasem autentyczny król Maroka Muhammad VI wydaje się ogrywać owych samozwańców królów i komisarzy Europy z coraz większą wprawą.

Naszcześnie istnieje jeszcze dociekliwi dziennikarze, zwłaszcza w Hiszpanii, doświadczonej przez sąsiadujący z nią reżim marokański. Nie boją się mówić prawdy, i to mimo prześladowań ze strony Maroka, które słynie z arcypotężnej sieci agenturalnej, ustępującej jedynie Rosji.

Mowa tu przede wszystkim o Ignaciu Cembrerze, hiszpańskim ekspercie od Maghrebu, dziennikarzu śledczym z prestiżowego dziennika „El Confidencial”, od lat opisującym fakty niewygodne zarówno dla króla Maroka, jak i wszystkich rządów, które szukają krótkowzrocznych rozwiązań i układów z satrapią z Rabatu. Może właśnie dlatego Maroko usiłuje go uciszyć i zastraszyć serią pozwów.

BELGIJSKIE WŁADZE KAPITULUJĄ

Cembrero przyjrzał się z bliska układowi zawartemu przez belgijskie władze. W zamian za oddanie śledztwa chcą repatriacji Marokańczyków o nieuregulowanym statusie, zwłaszcza przestępców. Zobowiązanie Maroka ma polegać na tym, że przyjmie każdą osobę posiadającą obywatelstwo marokańskie, która przebywa w Belgii bez pozwolenia na pobyt. Temu służyła niedawna wizyta w Rabacie premiera Belgii Alexandra de Croo oraz jego trzech ministrów, którzy świętowali „wrażące zaangażowanie Maroka” we współpracę. Innymi słowy, cała ta sprawa pokazuje bezmiar porażki belgijskiego wymiaru sprawiedliwości, unijnej nieskuteczności w ściganiu korupcji, a także całkowitą kapitulację wobec siły Maroka, które doskonale nauczyło się używać imigrantów z Afryki jako narzędzia szantażu wobec bezbronnej Europy.



Fot. Respinio/Shutterstock.com, Shutterstock

Królestwo Alawitów nadspodziewanie skutecznie rozgrywa Brukselę, a przecież otrzymuje od wszystkich państw członkowskich Unii olbrzymie fundusze w zamian za antyterrorystyczną i antyislamiistyczną ochronę Europy. Zdaniem wielu ekspertów Maroko tylko pozoruje ochronę południowych granic Starego Kontynentu w zamian za ogromny „haracz” zarówno z Madrytu, jak i z UE (w 2022 r. Bruksela wysłała do Rabatu 500 mln euro). Według wielu innych znawców tematu trzeba jednak oddać Marokańczykom sprawiedliwość, że ich wywiad skutecznie umie eliminować komórki dżihadystyczne i efektywnie współpracować z Centralną Agencją Wywiadowczą USA w tropieniu ekstremalnych islamistów.

W przypadku umowy między Belgią a Marokiem Cembrero jest zdania, że kolejny kraj daje się oszukać Alawitom. Zresztą nie tylko on tak myśli i powołuje się na belgijską publicystkę „Le Soir” Pauline Hoffman, która napisała: „Jak ktoś rozsądny może uważać, że w kraju, którego demokratyczny charakter jest co najmniej wątpliwy, podejrzane osoby – zresztą powiązane z rządzącym obozem – będą sądzone za przestępstwa, które zleciła im władza państwowa?”

Cembrero zaobserwował entuzjazm prasy marokańskiej po dobiegu targu, co zwiastuje raczej odtrąbienie zwycięstwa nad kolejnym europejskim rządem, pisze więc: „Być może ta belgijsko-marokańska umowa jest inna, ale Rabat często łamał swoje umowy migracyjne z Hiszpanią i Francją, szczególnie w odniesieniu do nieletnich, nawet gdy sam król Muhammad VI dał słowo, np. w czerwcu 2021 r., po inwazji imigrantów na Ceutę”.

SZTUCZKI I SZANTAŻE MAROKAŃSKICH SŁUŻB

Co jeszcze ciekawsze, dochodzenie belgijskich służb w sprawie macek Maroka w Brukseli obfituje w niespodziewane zwroty akcji. Już trzech prokuratorów złożyło rezygnację z prowadzenia sprawy, a trzech agentów zaangażowanych w śledztwo zostało „zneutralizowanych” na sposób marokański, choć trzeba przyznać – dalece bardziej humanitarny niż polon i nowiczok używany przez Rosjan.

Właściwie sprawa nadaje się na niezły komediodramat szpiegowski, bo oto parę miesięcy temu w brukselskim barze dwóch mężczyzn i kobieta nagle zaczęli zachowywać się prowokacyjnie wobec innych klientów i popadli w delirium, co spowodowało właścicieli lokalu do zawiadomienia policji. Jakież było zdziwienie wszystkich, gdy wyszło na jaw, że trzej imprezowicze to komisarz, inspektorka i starszy inspektor z Centralnego Biura ds. Zwalczania Korupcji Policji Federalnej. Cała trójka spędziła rok na badaniu największego skandalu korupcyjnego w historii instytucji europejskich i wszyscy

Cała ta sprawa pokazuje bezmiar porażki belgijskiego wymiaru sprawiedliwości, unijnej nieskuteczności w ściganiu korupcji, a także całkowitą kapitulację wobec siły Maroka, które doskonale nauczyło się używać imigrantów z Afryki jako narzędzia szantażu wobec bezbronnej Europy

zostali odurzeni potężnymi dawkami amfetaminy. Główny inspektor trafił nawet na stół operacyjny z powodu zagrożenia życia. Złożył potem skargę do prokuratury w sprawie „usiłowania zabójstwa”. Komentatorzy uważają, że celem było utrudnienie śledztwa w sprawie Katargate oraz ośmieszenie agentów i belgijskiej policji.

Marokańczycy zdołali *de facto* zastraszyć belgijski wymiar sprawiedliwości i wysłali czytelny sygnał, że nie powiodą się żadne próby rozpoznania marokańskich operacji, a każdy, kto odważy się ingerować, zostanie przykładnie ukarany. Tak groteskowo i zupełną abdykacją Europy kończy się słynna sprawa Katargate, choć wszyscy eksperci zwracają uwagę na to, że powinna się nazywać Marokogate.

Mimo że śledztwo w sprawie największego skandalu korupcyjnego, jaki dotknął instytucję europejską, szczeźło, to marokańskie lobby wciąż rozpycha się w Brukseli łokciami. W lutym kilkudziesięciu eurodeputowanych otrzymało e-maile od ambasadorów Maroka ze stolicy UE z prośbą o odpowiednie głosowanie w kwestiach ważnych dla reżimu. Rabat zdaje się trzymać też w garści hiszpański rząd, bo jak szeroko donosiły tamtejsze media w 2021 r., telefony komórkowe premiera i co najmniej dwóch ministrów zostały zainfekowane Pegasussem. Telefon szefa rządu Sáncheza był szpiegowany przez 14 miesięcy, a najwięcej informacji pobrano kilka godzin po inwazji ponad 10 tys. marokańskich imigrantów na Ceutę.

Podczas pierwszego włamania do telefonu hiszpańskiego premiera piracki program komputerowy uzyskał 2,6 GB, a podczas drugiego 130 MB danych. Do tej pory nie wskazano, kto zhakował rządowe telefony, zrzucając winę na Izrael, który nie współpracuje przy wyjaśnianiu, kto stał za użyciem ich oprogramowania. A jednocześnie od chwili ujawnienia sprawy dla wszystkich w Hiszpanii stało się jasne, że jak zwykle chodzi o służby marokańskie, tym bardziej że sprawa była skorelowana z inwazją na Ceutę. Od tamtej pory rząd Sáncheza wykonał wiele niepojętych ustępstw wobec Rabatu (np. zwrot o 180 stopni w sprawie Sahary Zachodniej), co zdaniem komentatorów jest potwierdzeniem tego, że materiał przejęty z telefonu premiera Hiszpanii pozwalał szantażować go przez króla Maroka.

Małe państwo Maghrebu prowadzi zdumiewająco skuteczną politykę, korzystając z faktu, że jest bramą do świata arabskiego, uzbrojonym sojusznikiem USA i, co tu kryć, przebiegłym szantażystą wobec bezbronnej Europy.

A o samej Katargate można już poczytać w opublikowanej niedawno przez wydawnictwo Harper Collins książce dwóch dziennikarzy „Le Soir” Louisa Colarta i Joëla Matriche’a. Gdy powstanie film o tym skandalu, z całą pewnością będzie to tragifarsa. Szkoda tylko, że wciąż się nam wmawia, że Unia Europejska to poważna organizacja stojąca na straży praworządności i europejskich wartości.

Fikcja niemieckiej denazyfikacji

Był 5 czerwca 1973 r. Sąd w Hamburgu skazał Ludwiga Hahna, niemieckiego zbrodniarza, na 12 lat pozbawienia wolności. Niski wymiar kary oburzył opinię publiczną, polskich i żydowskich świadków, a prokuratura odwołała się od wyroku. Historia oficera SS odpowiedzialnego za śmierć tysięcy ludzi pokazuje, z jaką hipokryzją państwo niemieckie podchodziło i niestety nadal podchodzi do historii



STANISŁAW PŁUŻAŃSKI

We wrześniu 1939 r. Ludwig Hahn odpowiadał za pacyfikowanie wsi na Rzeszowszczyźnie na tyłach Wehrmachtu. Następnie jako członek gestapo był jedną z osób koordynujących mordowanie polskiej inteligencji w Krakowie w ramach akcji AB. Największych zbrodni dopuścił się w Warszawie jako szef niemieckiej policji. Hahn był współodpowiedzialny za terror stosowany wobec ludności cywilnej, w tym mordowanie i torturowanie Polaków w więzieniu na Pawiaku, wysyłanie ich do obozów koncentracyjnych oraz przeprowadzanie publicznych egzekucji. Współorganizował i nadzorował deportację ok. 300 tys. Żydów z warszawskiego getta do obozu zagłady w Treblince, a także brał udział w tłumieniu powstania w tym getcie w 1943 r. W czasie

powstania warszawskiego doprowadził m.in. do wymordowania 2 tys. ludzi, którzy ukrywali się na terenie ruin dawnego Generalnego Inspektoratu Polskich Sił Zbrojnych przy Al. Ujazdowskich. Podległe Hahnowi jednostki policyjne używały także ludności cywilnej jako żywych tarcz dla niemieckich czołgów.

PRZEZ LATA NA WOLNOŚCI

Po kapitulacji Niemiec Hahn początkowo ukrywał się RFN. W latach 50. postanowił ujawnić swoją tożsamość. Przez wiele lat żył bezkarnie i nie ukrywał swojej działalności z czasu wojny, wielokrotnie mówił m.in. o swojej roli w tłumieniu powstania w getcie warszawskim. Dopiero w wyniku schwytania przez Izrael w 1960 r. Adolfa Eichmanna zainteresowano się także Ludwigiem Hahnem. Był on kilkakrotnie aresztowany i wypuszczany na wolność. W końcu dzięki protekcji swojego szwagra Johanna Steinhoffa, dowódcy lotnictwa Bundeswehry, sąd zgodził się, aby Hahn odpowiadał z wolnej stopy.

Pierwszy proces Hahna rozpoczął się w Hamburgu dopiero 2 maja 1972 r. Po-

czątkowo wraz z nim miał być sądzony jego bliski współpracownik z SS Walter Stamm. Zmarł on jednak krótko przed zakończeniem śledztwa. Sędziowie, prokuratorzy i obrońcy specjalnie jeździli do Polski i Izraela, aby na miejscu przesłuchać świadków. Zeznało wielu więźniów Pawiaka, m.in. Władysław Bartoszewski i Leon Wanat. Prokuratura żądała dla Hahna kary dożywotniego pozbawienia wolności.

Mimo licznych dowodów oraz zeznań wielu świadków sąd uznał, że Hahnowi można udowodnić jedynie krwawą zemstę, którą ten urządził zbuntowanym więźniom Oddziału III Pawiaka w lipcu 1944 r. Zamordowano zostało wtedy ok. 100 osób. Zdaniem niemieckiego wymiaru sprawiedliwości udowodnienie winy osobie podejmującej decyzje z za biurka byłoby możliwe tylko wtedy, gdyby można mu było patrzeć przez ramię. Wyrok z 5 czerwca 1973 r. skazujący szefa warszawskiego gestapo na 12 lat więzienia wywołał powszechne oburzenie. Prokuratura postanowiła się odwołać, uważając, że kara jest zbyt niska w stosunku do rozmiarów zbrodni. Co ciekawe, odwołała się też obrona, która domagała

się całkowitego uniewinnienia. Po rozpatrzeniu skargi rewizyjnej w marcu 1975 r. wyrok został uprawomocniony.

W tym samym czasie w październiku 1974 r. rozpoczął się kolejny proces Hahna. Dotyczył on udziału w masowych deportacjach warszawskich Żydów do obozu zagłady w Treblince. 4 lipca 1975 r. sąd uznał oskarżonego za winnego zarzucanych mu czynów i skazał na karę dożywotniego pozbawienia wolności. Nazista spędził w więzieniu zaledwie osiem lat. 30 września 1983 r. został wypuszczony na wolność z powodu złego stanu zdrowia. Ostatnie lata spędził na wolności. Zmarł w Ammersbek 10 listopada 1986 r.

W MAJESTACIE PRAW

Ludwig Hahn nie był wyjątkiem, jeśli chodzi o sposób traktowania nazistów w Niemczech. Prof. Hans Fleischhacker był nazistowskim antropologiem, który prowadził badania rasowe w Auschwitz. Na jego polecenie zamordowano 115 więźniów, by stali się eksponatami w muzeum rasy w Strasburgu. Po wojnie pozostał w zawodzie. Nie niepokojony przez nikogo uczył studentów.

Ostatni komendant Treblinki Kurt Franz po wojnie pracował najpierw przy budowie mostów, a później jako kucharz. Dopiero w 1965 r. został skazany na dożywocie. Warunkowo zwolniony w 1993 r. ze względu na zły stan zdrowia ostatnie pięć lat życia spędził w domu spokojnej starości.

Kat Woli w czasie powstania warszawskiego Heinz Reinefarth w 1945 r. dostał się do niewoli amerykańskiej. Alianci odmówili władzom polskim wydania zbrodniarza. Po wypuszczeniu na wolność w 1948 r. zajął się polityką – najpierw został deputowanym do Landtagu Szlezwik-Holsztyn, a później burmistrzem Westerlandu na wyspie Sylt na Morzu Północnym.

Dowódca wojsk niemieckich tłumiących powstanie Erich von dem Bach-Zelewski po wojnie zeznał jako świadek w procesach norymberskich. W 1951 r. został skazany przez komisję denazyfikacyjną na 10 lat obozu pracy. Kara została ostatecznie zamieniona na areszt domowy. Von dem Bach-Zelewski jeszcze trzykrotnie stał przed sądem,

jednak nigdy nie odpowiadał za zbrodnie ludobójstwa. Zmarł w szpitalu więziennym w Monachium w 1972 r.

Johannes Thümmel, szef katowickiego gestapo w czasie wojny, który wydał co najmniej 1 tys. wyroków śmierci, nigdy nie został osądzony mimo ponawianych wniosków o wszczęciu przeciwko niemu postępowania karnego. Do końca życia przekonywał, że działał w majestacie prawa.

A jak wyglądają statystyki dotyczące denazyfikacji w Niemczech? Za bezpośrednich sprawców zbrodni popełnionych przez III Rzeszę uważa się ok. 200 tys. osób. Niemiecka prokuratura prowadziła śledztwa wobec 87 tys. podejrzanych, jednak przygniatająca większość, czyli prawie 80 tys. osób, nigdy nie stanęła przed sądem. Wyroki skazujące otrzymało ledwie 7 tys. osób, z czego tylko 182 skazano na dożywocie. Co więcej, w wyniku wielu amnestii przeprowadzanych od 1949 r. znaczna część skazanych zbrodniarzy wyszła na wolność po zaledwie kilku latach więzienia. Ci, którzy się ukrywali, mogli się ujawnić i wrócić do normalnego życia. Mechanizm dobrze pokazujący procesy norymberskie. Mimo wykonanych kilku wyroków śmierci w wielu przypadkach skazanym łagodzone wyroki, zamieniając je nawet na kilka lat więzienia.

Nie można zapomnieć także o ok. 30 tys. zbrodniarzy, którym udało się uciec przed sprawiedliwością, głównie do Ameryki Łacińskiej. Byli wśród nich: Josef Mengele – „Anioł Śmierci” z KL Auschwitz, wspomniany wcześniej Adolf Eichmann czy Walter Rauff – twórca komór gazowych.

NAZIŚCI DALEJ U WŁADZY

Wobec tych faktów pojawia się pytanie: z czego wynikała niemoc w ściganiu zbrodniarzy z czasu wojny? Aliancka administracja próbowała zająć się denazyfikacją w poszczególnych strefach okupacyjnych. Wobec ogromu związanych z tym prac już w 1945 r. na Zachodzie zdecydowano, żeby proces kontynuowali Niemcy. Miały się tym zająć specjalne komisje. Każdemu podejrzanemu przydzielano odpowiednią kategorię winy i stopnia współpracy z reżimem w pięciostopniowej skali: 1 – główni winni, 2 – obciążeni,

3 – obciążeni w mniejszym stopniu, 4 – współpodążający, 5 – uwolnieni od zarzutów. Tylko dwie pierwsze kategorie oznaczały zagrożenie dalszymi postępowaniami karnymi, a przyznawano je wyjątkowo rzadko. Opieszałość w tropieniu niemieckich zbrodniarzy wynikała z prostej przyczyny. Dla pierwszego kanclerza RFN Konrada Adenauera priorytetem nie były wojenne rozliczenia, ale jak najszybsze postawienie na nogi niemieckiego państwa. W związku z brakami kadrowymi, a także wyjątkowo wybiórczym lub wręcz pozorowanym sądzeniem nazistów, powojenne niemieckie elity i aparat państwowy składały się głównie z osób działających wcześniej na rzecz III Rzeszy. Trudno się temu dziwić, skoro guru Adenauera był prof. Walter Hallstein, do 1942 r. dziekan Wydziału Prawa we Frankfurcie, a później porucznik Wehrmachtu (jeszcze bardziej szokuje fakt, że w latach 1958–1967 pełnił on ważną i zaszczytną funkcję pierwszego przewodniczącego Komisji Europejskiej). Szefem urzędu kanclerskiego był Hans Globke, wcześniej współtwórca ustaw norymberskich pozbawiających Żydów niemieckiego obywatelstwa, stanowisk i majątków. Wielu najwyższych rangą polityków RFN chwalaących się rzekomą antynazistowską postawą podczas wojny w rzeczywistości należało do NSDAP, Hitlerjugend, a nawet SS. RFN było budowane na nazistowskich fundamentach, a wśród założycieli nowego państwa roilo się od morderców i zbrodniarzy.

Niemieckie ministerstwa, siły zbrojne, samorządy, sądy i prokuratura, szkolnictwo, nauka, a nawet służba zdrowia były po wojnie obsadzone przez nazistów. Wymiar sprawiedliwości zachował niemal nietkniętą strukturę z czasu II wojny światowej. Przez kilkadziesiąt lat większość sędziów w Niemczech stanowili byli nazistowscy funkcjonariusze. Wolfgang Fränkel, członek NSDAP od 1933 r., miał na sumieniu przynajmniej 30 wyroków śmierci. Po wojnie pracował jako sędzia, prokurator, a w 1962 r. objął funkcję prokuratora generalnego RFN. Nie może zatem dziwić fakt, że członkowie zbrodniczych struktur III Rzeszy jeśli w ogóle stanęli przed sądem, byli traktowani nader pobłażliwie. Na miejscu spotykali przecież swoich dawnych towarzyszy broni.

Powołana w 1950 r. przez Konrada Adenauera Bundeswehra stała się schronieniem dla tysięcy oficerów Wehrmachtu i SS. W odbudowywaniu niemieckich sił zbrojnych uczestniczył chociażby gen. Heinz Guderian, teoretyk Blitzkriegu, w czasie wojny Generalny Inspektor Wojsk Pancernych, a później szef sztabu Naczelnego Dowództwa Wojsk Lądowych Wehrmachtu, odpowiedzialny za liczne zbrodnie w Polsce czy ZSRR. Po wojnie mimo protestów strony polskiej nigdy nie został pociągnięty do odpowiedzialności, a w procesach norymberskich wystąpił jedynie jako świadek. Jego syn Heinz Günther, także weteran II wojny światowej, odziedziczył po ojcu stanowisko Inspektora Wojsk Pancernych Bundeswehry.

Warto wspomnieć także o twórcy i pierwszym kierowniku zachodniemieckiego wywiadu Reinhardzie Gehlenie. Ten niemiecki generał uczestniczył w kampanii przeciw Polsce we wrześniu 1939 r., był współautorem planu ataku III Rzeszy na ZSRR, a jako oficer wywiadu wojskowego osobiście przygotowywał raporty dla samego Hitlera. Po wojnie za zgodą Amerykanów odbudowywał niemieckie struktury wywiadowcze. Pomagał mu w tym m.in. Adolf Heusinger, który jako członek Naczelnego Dowództwa Wojsk Lądowych Wehrmachtu od 1942 r. pod pretekstem zwalczania „band sowieckich partyzantów” odpowiadał za eksterminację polskiej, żydowskiej, białoruskiej i rosyjskiej ludności cywilnej na tyłach przycych w głąb Rosji wojsk niemieckich. Heusinger jest zresztą kolejnym nazistą, który po ugruntowaniu swojej pozycji w RFN zrobił międzynarodową karierę – w latach 1957–1963 był głównodowodzącym sił lądowych NATO na Europę Środkową.

W takiej sytuacji nie może dziwić, że co pewien czas na jaw wychodzą kolejne skandale z niemieckimi żołnierzami honorującymi pamięć o nazistowskich zbrodniarzach. W 2017 r. światem wstrząsnęły informacje o żołnierzach Bundeswehry zbierających pamiątki z okresu II wojny światowej, np. bagnety bądź plakaty nawiązujące do tamtych czasów. Nie jest to

odosobniony przypadek, co pewien czas do opinii publicznej docierają bowiem informacje związane z nastrojami nazistowskimi w niemieckim wojsku.

KTO JEST OFIARĄ?

Niemcy w swojej przewrotności nie tylko nigdy nie rozliczyli się ze swoją przeszłością, lecz także od lat starają się zrzucić z siebie odpowiedzialność za działania Adolfa Hitlera i jego zwolenników. Oficjalnie prezentowana przez

Jak wyglądają statystyki dotyczące denazyfikacji w Niemczech?

Za bezpośrednich sprawców zbrodni popełnionych przez III Rzeszę uważa się ok. 200 tys. osób. Niemiecka prokuratura prowadziła śledztwa wobec 87 tys. podejrzanych, jednak przyniatająca większość nigdy nie stanęła przed sądem. Wyroki skazujące otrzymało ledwie 7 tys. osób

nich wersja historii jest pełna odwracania przyczyn i skutków, przemilczeń oraz kłamstw. Zbrodni mieli dokonywać nieznani nikomu nazisci wspierani przez kolaborujące z nimi nacje, np. Polacy. Stąd chociażby wprowadzanie do przestrzeni publicznej i promowanie obrzydliwego terminu „polskie obozy”.

Proces zdejmowania odpowiedzialności z niemieckiego społeczeństwa wspierał nawet papież Benedykt XVI, który 28 maja 2006 r., przemawiając na terenie byłego obozu Auschwitz-Birkenau, powiedział, że Niemcy były pierwszym krajem okupowanym przez nazistów. Przykładów jest oczywiście więcej.

W 2019 r. podczas uroczystości w Normandii upamiętniających D-Day kanclerz Niemiec Angela Merkel powiedziała dziennikarzom, że „ta niezwykła wojskowa operacja w końcu doprowadziła do wyzwolenia nas od nazistów”. Z kolei w 2023 r. w rocznicę kapitulacji III Rzeszy kolejny kanclerz Olaf Scholz napisał na Twitterze: „78 lat temu Niemcy i świat zostały wyzwolone spod tyranii narodowego socjalizmu”. Wszystko to wpisuje się w widoczną od lat tendencję redefiniowania historii tak, by była bardziej wygodna dla naszego zachodniego sąsiada. W tych rozważaniach jeszcze dalej idą przedstawiciele nacjonalistycznej partii AfD. Z jednej strony podkreślają, że Niemcy są drugą po Żydach największą ofiarą II wojny światowej, z drugiej apelują o docenienie bohaterstwa i skuteczności żołnierzy Wehrmachtu oraz przekonują, że mogą czuć dumę z dokonań swoich przodków.

Zwłaszcza pierwsza teza znajduje szerokie poparcie w niemieckim mainstreamie politycznym. Jak się okazuje, taka narracja przynosi efekty. Z sondaży wynika, że prawie dwie trzecie Niemców uważa, że w 1945 r. ich kraj został wyzwolony, a nie pokonany. Prawie 60 proc. respondentów wierzy, że inne nacje są równie odpowiedzialne za „narodowy socjalizm, dyktaturę, wojny i przestępstwa” jak Niemcy. Skoro naziści byli tak nieliczną grupą, logiczne wydaje się, że musieli korzystać z czyjejś pomocy. W tej narracji jako główny asystent jawią się Polacy.

W czasie istnienia III Rzeszy Niemcy utworzyli ponad 12 tys. obozów koncentracyjnych. Po wojnie w ramach rozliczeń z przeszłością skazali zaledwie 7 tys. nazistowskich zbrodniarzy. Mimo to większość niemieckich obywateli jest zdania, że odpowiednio przepracowali swoją historię. Aktualne kreują się na wzór do naśladowania w praktycznie każdej dziedzinie. Polaków chcą nieustannie uczyć demokracji, instruując, jak powinniśmy zarządzać swoim państwem, a nawet pokazując, w jaki sposób mamy podchodzić do historii. Niestety odbywa się to za zgodą części polskiej sceny politycznej.



MAREK PYZA

Piłkarskie Euro zakończyło się sportową klapą, bo za taką należy uznać 23. miejsce na 24 drużyny. Ale też paradoksalnie dało trochę radości i optymizm, że ta drużyna ma przyszłość

Kacper Urbański

Kłeska i nadzieja

Co polski kibic zapamięta z tego turnieju? Fantastyczne parady Szczęsnego z Holandią i Skorupskiego z Francją. Wygraną przez Lewandowskiego wojnę nerwów przy podwójnym karnym. Zachwycająco bezczelną grę młodego Urbańskiego, któremu nie pętał nóg fakt, że dryblingami mija wicemistrzów świata, oraz rajdy niewiele starszego Zalewskiego. Ale też tradycyjne pożary w naszej defensywie – festiwal błędów, niecelnych podań, gubienia krycia, głupich fauli. No i garnitury Probiezra.

Nie jesteśmy piłkarską potęgą i szybko się nią nie staniemy. Mamy za to potencjał, który raz na jakiś czas incydentalnie wystrzeli. Miłośnicy futbolu w naszym kraju chyba wreszcie to przepracowali, przyjęli do wiadomości i mają dużo zdrowszy stosunek do kadry niż w minionych latach.

Po raz pierwszy przed wielkim turniejem piłkarska reprezentacja Polski nie miała więc na barkach wysokich oczekiwań kibiców. Dlatego też nie ma depresji po szybkim odpadnięciu z Euro, gdy prawdziwe granie dopiero się zaczyna.

Trener do znudzenia przekonywał, że jedziemy powalczyć, że wierzy w swoją drużynę, że może ona dać fanom dużo radości, a przede wszystkim, że będzie grała w piłkę, a nie tylko przeszkadzała rywalom.

I to ostatnie, o dziwo, się potwierdziło. W czasie mistrzostw Europy zagraliśmy dwa niezłe mecze z dużo silniejszymi przeciwnikami i jeden słaby z zespołem, który teoretycznie był w naszym zasięgu. Jesteśmy w europejskim ogonie, ale dostrzegamy jaskółkę zwiastującą możliwe zmiany.

WRESZCIE NADZIEJA

Probiez brał w swoje ręce kadrę w zgłiszczach. Najpierw rozłożył ją fatalny mundial – choć wyszliśmy na nim z grupy, a więc selekcjoner zrealizował postawiony mu przez PZPN ostatni cel (poza utrzymaniem się w najwyższej dywizji Ligi Narodów i wygraniem baraży do Mistrzostw Świata). Jednak styl gry zespołu i wizerunek reprezentacji niemal sięgnął dna – zostaną nam w pamięci Polacy biegający za Argentyńczykami i proszący ich o niestrzelanie już bramek oraz haniebne klótnie o premie.

Potem stajnię Augiasza przejął do sprzątnięcia Fernando Santos, ale okazał się najgorszym z możliwych wyborów Cezarego Kuleszy. Portugalczyk sprawiał wrażenie, jakby prowadził naszą kadrę za karę. Nie chciało mu się przygotowywać zespołu, wymyślać koncepcji na podźwignięcie Białoczerwonych z zapaści, a nawet rozmawiać z dziennikarzami. Nic dziwnego, że na boisku jego drużyna dopisała do swojej historii kolejne kompromitujące epizody – w jednych eliminacjach przegrała z Czechami, Mołdawią i Albanią. Ta ostatnia porażka wyrzuciła go z siodła. Niedługo później niemieckie Euro pokazało, jak słaba była to grupa. Spośród trzech drużyn, które zakwalifikowały się z niej na turniej, żadna nie wygrała ani jednego meczu.

Przyjście Probieza zostało przyjęte przez kibiców dość chłodno. Nikt bowiem nie liczył na czarodziejską różdżkę, która nagle odmieni reprezentację. A i trener nie miał na koncie spektakularnych sukcesów – bo nie można za takie uznać wicemistrzostwa z Jagiellonią ani zdobycia Pucharu i Supercupu Polski z białostocką drużyną oraz z Cracovią. Przez 18 lat trenerskiej kariery prowadził 12 zespołów. Z żadnym nie udało mu się wygrać większości meczów (najbliżej był z reprezentacją młodzieżową, z którą zwyciężał w dołkładnie połowie z 10 spotkań).

Jednak Kulesza ufał mu bezgranicznie. Gdy dzisiaj prezes PZPN kierował Jagiellonią, wspólnie doprowadzili klub do największych (wówczas) sukcesów. Kadra narodowa to jednak kilka szczebli wyższy poziom trenerki – jest mało czasu na pracę z piłkarzami przed

meczami, trzeba szybko zbudować autorytet u gwiazd grających w wielkich klubach (a kilka takich jednak mamy), no i mieć natychmiastowe wyniki.

Czy Probiez, ten wybuchowy człowiek, czasem wręcz nieobliczalny, mógł się z tym uporać w kilka tygodni? Okazuje się, że tak, bo wraz z jego przyściem wokół naszej kadry niespodziewanie zaczęła się robić dobra atmosfera. Wygrane (szczęśliwie) baraże tylko ją

Kibic wybaczy porażkę po meczu rozegranym odważnie, z rozmachem, zaś po wygranej, od której oglądania rozbolały oczy, wciąż będzie kręcił nosem. Nie chcemy reprezentacji na miarę Grecji z 2004 r., która grała antyfutbol, ale zdobyła mistrzostwo Europy

wzmocniły, a ostateczny efekt jest taki, że po przegranym turnieju ani zawodnicy, ani kibice, ani działacze, ani eksperci piłkarscy nawet nie przebąkują o konieczności wymiany selekcjonera.

Probiez już parokrotnie pokazał charakter – czy to na boisku (wystawiając na wicemistrzów świata zaskakująco ofensywny skład), czy w relacjach z federacją (gdy dowiedział się, że nastąpił przeciek i dziennikarze dysponują listą powołanych na Euro piłkarzy, mimochodem ogłaszając kadrę na konferencji prasowej... zawodów golfowych). Dodatkowo zachwyił wizerunkowo, stawiając na wysublimowaną elegancję. To też ważne, zwłaszcza po erze flejowatego Santosa.

PRAWDA O KADRZE

Czy jednak jego dotychczasowy dorobek jako selekcjonera reprezentacji się broni? Przecież Probiez również nie wygrał z Mołdawią (remis w Warszawie 1:1).

Z finału baraży wyszedł zwycięsko dzięki obronionemu przez Szczęsnego karnemu (przez 120 min gry Polacy nie oddali ani jednego celnego strzału na bramkę Walijszczyków). Rozbudził nadzieje zwycięskimi meczami towarzyskimi z Ukrainą i Turcją, ale chwilę później na turnieju zdobył tylko jeden punkt.

Owszem, udowodnił, że polscy piłkarze nie muszą grać „łagi na Robercika” i murować bramki przez 1,5 godz., że są w stanie

podjąć realną walkę z silniejszym zespołem, a chwilami nawet imponować odwagą i polotem w rozgrywaniu piłki. Jednak do kluczowego spotkania z Austrią znów podeszliśmy bojaźliwie, a najciekawszy zawodnik ostatnich tygodni – Kacper Urbański – dostał w nim od trenera tylko kilka minut.

Owszem, zapamiętamy, że reprezentacja przywoicie zagrała z Holandią, ale nie zapomnimy przecież, jak ostrzeliwana była nasza bramka. Choć oddaliśmy więcej celnych strzałów, to Wojciech Szczęśny był w większych opałach, a niski wymiar porażki (1:2) zawdzięczamy nieskuteczności Holendrów, którzy pudłowali aż 13 razy. Powiedzmy wprost: z taką obroną sukcesu nie będzie nigdy.

Owszem, zaskoczyliśmy nieco niemrawych Francuzów, ale to oni mieli dwukrotnie więcej sytuacji bramkowych (19:10), to Skorupski musiał częściej pokazywać swoje umiejętności i to jemu zawdzięczamy remis. W tym meczu mieliśmy 7 kontaktów z piłką w polu karnym rywala, wicemistrzowie świata – aż 55. W żadnym innym spotkaniu fazy grupowej turnieju nie było takiej dysproporcji.

Owszem, strzeliliśmy na Euro trzy bramki, lecz wszystkie powstały z fragmentów gry. Przez blisko 300 min nie udało nam się skutecznie skończyć żadnej akcji.

No i traciliśmy średnio dwa gole w meczu. To nie jest powód do dumy.

Nietrudno znaleźć opinie, że zagraliśmy świetne dwa mecze. Lecz to raczej dowód na wielki głód sukcesów wśród kibiców i ich niewielkie oczekiwania, a nie realna ocena boiskowej siły drużyny.

Można wręcz odnieść wrażenie, że zmienia się hierarchia oczekiwań wobec kadry. I to, o co w tej zabawie chodzi – wygrywanie meczów – przestało być

najważniejsze. Zwycięstwa przestają być celami samymi w sobie, a liczy się styl. Kibic wybaczy porażkę po meczu rozegranym odważnie, z rozmachem, zaś po wygranej, od której oglądania rozboleć oczy, wciąż będzie kręcił nosem. Nie chcemy reprezentacji na miarę Grecji z 2004 r., która grała antyfutbol, ale zdobyła mistrzostwo Europy.

ZMARNOWANY CZAS

Od 16 lat w reprezentacji występuje Robert Lewandowski. Gdy debiutował w 2008 r., zmienił Marka Saganowskiego, a obok niego biegali po boisku jeszcze m.in. Mariusz Jop czy Roger Guerreiro. Odtamtąd pory „Lewy” pędził na piłkarski szczyt, zachwycając świat kolejnymi rekordami i uciekając całej futbolowej Polsce. Stał się jednym z kilku najlepszych zawodników globu. Bez wątpienia jest najwybitniejszym polskim piłkarzem w historii, który nieraz ciągnął tę kadrę za uszy. Ale to pieśń przeszłości i dziś Lewandowski nie jest już gwiazdą kadry krążącą po innej orbicie, lecz jednym z jej 11 elementów na boisku. Wciąż chce mu się grać, nie myśli o zawieszeniu korków na kółku, lecz wszyscy wiedzą, że to ostatni etap jego kariery.

Czy należycie wykorzystano erę Roberta Lewandowskiego w narodowej kadrze? Nie. Na takiego zawodnika możemy czekać jeszcze wiele dekad, może nawet nigdy nie doczekamy się następcy takiego formatu. Tym bardziej boli, że przez te wszystkie lata nie udało się zbudować reprezentacji, w której jego talent błyszczałby podobnie jak w klubach.

Co stało się temu na przeszkodzie? Odpowiedź jest wielowymiarowa i nadaje się na opasłe opracowanie. W skrócie można ją opisać słowami: permanentne zacofanie polskiego futbolu. Nie bez powodu jesteśmy w europejskim ogonie. Polska liga znajduje się na 21. miejscu w rankingu UEFA – wyprzedzają nas m.in. Czesi, Szkoci, Szwajcarzy, Norwegowie, Serbowie, Ukraińcy czy Izraelczycy. Sukcesem dla polskich klubów jest awans do fazy grupowej jakiegokolwiek europejskiego pucharu (poza Ligą Mistrzów, to marzenie nie do zrealizowania od blisko dekady).

Międzynarodowe Centrum Studiów Sportowych w maju opublikowało ran-



Wojciech Szczęsny

king lig piłkarskich pod względem intensywności gry. Na 30 zestawionych rozgrywek polskie zajęły 26. lokatę. Oznacza to, że przygotowanie fizyczne zawodników nad Wisłą rażąco odstaje od poziomu europejskiego. W Ekstraklasie piłkarze wykonują średnio o prawie 50 proc. mniej sprintów na mecz niż w angielskiej Premier League, o 50 proc. rzadziej biegają ze swoją pełną prędkością, o blisko 70 proc. mniej wykonują średnio dynamicznych przyspieszeń w trakcie meczu. To tłumaczy, dlaczego nasi zawodnicy zwykle bardzo długo aklimatyzują się po przejściu do zagranicznych klubów. Odstają nie tylko techniką, lecz także przygotowaniem fizycznym.

Przypomina się tu odwieczne pytanie o system szkolenia piłkarzy, codzienną pracę w klubach, jakość klubowych akademii, które wciąż mizernie dostarczają zawodników do pierwszych drużyn. Zamiast nich zespoły szukają „wzmocnień” wśród niechcianych – i często wiekowych – graczy za granicą, którzy nierzadko nie podnoszą ich poziomu. Trzeba też wspomnieć o trenerskich karuzelach, które nigdzie indziej nie kręcą się tak szybko jak u nas, a co za tym idzie, nie dają szans na wypracowanie długofalowego systemu gry i przygotowanie doń zawodników.

Brakuje całościowego spojrzenia na narodowy sport, jakim jest piłka nożna, i wyrwanie się z labiryntu interesików działaczy, pazerności menedżerów, niecierpliwości prezesów i rozzuchwalenia samych zawodników, których poczucie własnej wartości oraz stan konta nie idą w parze z prezentowanymi umiejętnościami.

Reprezentacja od czasu do czasu sprawi psikusa i mimo masy przeszkód zachwyci pojedynczym dobrym występem przeciwko uznanemu rywalowi. Tak to wygląda od 2016 r., gdy pod wodzą Adama Nawalki osiągnęliśmy ćwierćfinał Euro (ale już dwa lata później na rosyjskich boiskach ta sama drużyna z tym samym trenerem zaprezentowała się upokarzająco).

Co więc dalej? Jaka przyszłość czeka polską piłkę? Tego nie wiemy. Pocięszamy się samym pocuciem, że jakaś może być.

Jesienią reprezentację czekają mecze w Lidze Narodów ze Szkocją, Portugalią i Chorwacją. W ciągu niespełna trzech miesięcy zagramy sześć trudnych spotkań, których stawka będzie podwójna. Poza utrzymaniem się w najwyższej dywizji LN walka będzie się toczyć o pozycję w listopadowym rankingu FIFA. Na jego podstawie będą układane koszyki przed losowaniem grup eliminacyjnych do amerykańskiego mundialu (w USA, Meksyku i Kanadzie w 2026 r.). Jeśli nie dołączymy do grona 12 najlepszych europejskich drużyn, w czasie grudniowego losowania znajdziemy się w drugim koszyku i będzie niezwykle ciężko awansować na mistrzostwa świata.

Bez tej kwalifikacji cały cykl pracy Michała Probiezja pójdzie na marne, Robert Lewandowski nie zagra na jeszcze jednym wielkim turnieju, a my wszyscy ponownie będziemy się zastanawiać, jak wyciągnąć nasz futbol z dna.

Selekcjoner i jego wybrańcy znów mają więc mało czasu. Ale zyskali coś innego – odrobinę spokoju i zaufanie kibiców. Oby tego nie zmarnowali. 

K

ULTURY



Dawne i nowe historie

Nie udało się obronić „Leśniczówki”. W jej miejsce pojawią się z czasem tureckie lub hiszpańskie telenowe. Na razie nowi „Królowie” zastępują na planie „Koronę królów”. A inne polskie historie będą się tego lata kręcić poza TVP



JOLANTA GAJDA-ZADWORNA

Leśniczówka – z jej sielskim otoczeniem i obyczajowo-rodzinną narracją, w której pojawiały się też wątki sensacyjne i dramatyczne – przedstawiła się widzom w marcu 2018 r. Historia dwóch rodzin: Ruszczyków i Karczów, splecionych dawną tajemnicą i wielopokoleniowym zatargiem, a także innych mieszkańców tytułowej miejscowości, wypełniła 932 odcinki.

Nie udało się dobić do 1 tys. „Chiloutowe” plenery przede wszystkim lasów sękocińskich i młochowskich pozostaną w pamięci i sercach fanów. Podobnie jak wyrazisty skład aktorski z Jolantą Fraszyńską i Przemysławem Bluszczem na czele.

POD OPIEKĄ DRZEW

Ekipa telenoweli zdaje się jeszcze wierzyć w powrót na antenę. Na FB pojawił się wpis: „Przed nami ostatni w tym sezonie odcinek [...]. Wierzymy, że prędzej czy później spotkamy się znów w domu dobrych drzew”.

Niestety, choć w czołówkowej piósenke serialu zatytułowanej właśnie „Dom dobrych drzew” Edyta Górniak śpiewa: „Jest w zaklinaleniu jutra jakiś sens...”, to stwierdza też: „Świat poza- mykał nagle tyle drzewi...”.

Nic nie wskazuje na jesienny powrót „Leśniczówki”. TVP w przyspieszonym tempie wyemitowała przed wakacjami wszystkie zrealizowane dotąd odcinki. W oczyszczone miejsce weszły „Dziewczyny ze Lwowa” – choć akurat ta powtórka może wywoływać poznawczy dysonans (tyle się przecież zmieniło na Ukrainie od premiery serialu w 2015 r.). A po wakacjach o tej godzinie pojawi się zapewne turecka lub hiszpańska telenowela, bo nie słyhać o serialowych nowościach. Może poza kontynuacją „Korony królów. Jagiellonów”, czyli historyczną telenowelą „Królowie” – „opowieścią o synach Jagiełły”.



„Pojedynek”

ZAPISKI Z PRZESZŁOŚCI

Nie ma informacji o żadnej nowej telewizyjnej produkcji upamiętniającej godzinę W. Celebrowanie narodowych rocznic nie jest dziś w dobrym tonie, więc osiem dekad od powstania warszawskiego może minąć równie dyskretnie jak wydarzenia spod Monte Cassino. Z jednym wyjątkiem: koncertu piosenek, od tego roku „zakazanych” dla wyjątkowego prowadzącego – Tomasza Wolnego.

Równocześnie przy marginalizowaniu jednych historycznych wydarzeń w nowej odsłonie Teatru Telewizji znalazło się miejsce na... rocznicowy monodram, który powstał sześć lat temu, a teraz został nagrany dla TVP.

Pierwsza emisja „Zapisków z wygnania” odbyła się tuż przed 80. rocznicą bitwy o Monte Cassino, druga poprzedziła transmisję z gali tegorocznego Festiwalu Dwa Teatry, na którym spektakl w reżyserii Magdy Umer i w wykonaniu Krystyny Jandy otrzymał główną nagrodę. Idąc za emocjonalnymi wspomnieniami Sabiny Baral (w 1968 r. 20-latki), twórczynie dobitnie zaakcentowały polską winę antysemityzmu, zapowiadając, że będzie przypominana przez kolejne pokolenia i stulecia. Nie zauważyły, że w czasie, który upłynął od scenicznej prapremiery, pamiętnik ich bohaterki nabrał innych znaczeń, że nowa wojna zweryfikowała postawy, działania i odczucia dawnych ofiar. Wykorzystane w spektaklu ujęcia z Marszu Niepodległości dziś nawet w promilu nie budzą takiej grozy jak tragiczna w skutkach bezwzględność działań w Strefie Gazy.

MIŁOSNY LIST DO POLAKÓW

Czy i w jaki sposób perspektywę współczesnych wojen uwzględnił Jesse Eisen-

berg? Amerykański aktor nominowany do Oscara za rolę twórcy Facebooka w „The Social Network” (2011) zrealizował w Polsce film „Prawdziwy ból”. Ponoć był on hitem tegorocznego festiwalu w Sundance. Reżyser, producent i aktor postanowił poszukać nad Wisłą śladów przodków. Swoją komediodramat nazwał „listem miłosnym do Polaków”. Wspomina: „Kręciliśmy w całym kraju. W pięciu miastach. W pociągach, samolotach, na lotniskach. Przy pomnikach Postania Warszawskiego i Bohaterów Getta w Warszawie, w obozie koncentracyjnym na Majdanku, na starych cmentarzach w Lubelskiem. Pamięć o niektórych z tych miejsc wiąże się z niewyobrażalnym bólem. Zależało nam, by oddać im właściwy szacunek”.

Czy ból opisany przez Jessego Eisenberga będzie prawdziwszy od bólu innych wojennych ofiar, widzowie w USA przekonają się już w październiku. Data polskiej premiery na razie nie jest znana.

POJEDYNEK

Tymczasem pod Warszawą trwają zdjęcia do thrillera historycznego pt. „Pojedynek”. Reżyseruje Łukasz Palkowski (m.in. „Bogowie”). W głównych rolach zobaczymy Aidana Gillena („Gra o tron”) i Jakuba Gierszałę, a obok nich Bogusława Linde, Wojciecha Meczaldowskiego, Antoniego Pawlickiego, Julię Pietruchę, Annę Próchniak, Magdalenę Kolesińską i Mateusza Kościukiewicza. Akcja rozgrywa się w 1939 r., w miejscu inspirowanym obozem jenieckim w Kozielsku i nawiązuje do prawdziwej historii młodego pianisty poddanego brutalnej indoktrynacji. Czy uda mu się wygrać z agentem, za którym „stoi potęga i perfidia rosyjskiego systemu”? Przekonamy się na premierze zapowiadanej jeszcze na ten rok.

„Cudzoziemka”: o toksycznej rodzinie i muzyce

Bylem gościem festiwalu Dwa Teatry. Stworzony w 2001 r. prezentuje spektakle Teatru Telewizji i słuchowiska Teatru Polskiego Radia. Impreza wróciła do Sopotu. Prezes TVP Jacek Kurski przeniósł go na trzy lata do Zamościa. Tamta decyzja miała podtekst polityczny. Sopot był rządzony przez PO, Zamość – przez prawicę. Polityczna jest także decyzja o powrocie nad Bałtyk. Skądinąd nadmorski kurort świetnie się nada na miejsce zlotu świata artystycznego.

Nie będę oceniał werdyktu końcowego, nie wypada mi. Mój spektakl telewizyjny „Praski Reytan” w reżyserii Tomasza Drozdowicza z września ub.r. był w konkursie. Główne nagrody dostały produkcje z maja br., stworzone już za nowej telewizyjnej władzy. Wszystkie to przeniesienia z teatrów. Można podnosić wątpliwość, że nie są dziełami telewizji, która tylko wysyła podpatrujące kamery do budynków teatralnych. Może by w przyszłości stworzyć dla nich oddzielną kategorię?

O „1989” już pisałem. Czas na podsumowanie „Cudzoziemki”, adaptacji powieści Marii Kuncewiczowej, nagrodzonej za reżyserię. Już raz widziałem ten spektakl Teatru Polskiego w Poznaniu na Warszawskich Spotkaniach Teatralnych. Zrobił na mnie duże wrażenie.

Oglądałem go nie bez wątpliwości. Reżyserka Aleksandra Minkowska wraz z Tomaszem Walesiakiem dokonała dość karkołomnej adaptacji. Rzecz działa się w czasach międzywojennych, powieść opublikowano w 1935 r. Przeniesiono ją do współczesności, bohaterowie noszą dzisiejsze stroje, używają komórek i Facebooka, a data śmierci głównej bohaterki Róży to zaledwie wczoraj.

Mechaniczne uwspółcześnianie wszelkich historii teatralnych stało się manierą. W tym przypadku kontrast między obyczajami rodziny Róży a realiami współczesności nie jest może tak wielki. Ale powieściowym problemem tytułowej Cudzoziemki jest fakt, że przeniosła się do Polski z Rosji. Wszędzie czuła się obco – i tam, i tu. Z jakiej Rosji mogła przybyć postać z tej adaptacji? Ze Związku Sowieckiego? Czyni to niektóre dialogi, dylematy i wspomnienia absurdalnymi. Trochę mi to przeszkadzało.

Tylko że... Minkowska wykreowała historię luźno czerpiącą z sytuacji książkowych. Oglądamy pogrzeb Róży. Jest mąż z nową przyjaciółką, syn i córka, synowa i zięć, zjawia się nawet dawna miłość kobiety. Sama Róża krąży wśród nich, chociaż zmarła. Co daje okazję do retrospekcji.

Dostajemy gęsty dramat rodzinny, logiczny, przenikliwy i świetnie zagrany. Można się zżymać, że z woli artystów rodzina po raz kolejny jest przestrzenią toksyczną. Ale tak to napisała Kuncewiczowa i zresztą winną (choć i ofiarą własnego życia) uczyniła kobietę. Pada pytanie: czy receptą na rodzinną toksyczność jest decyzja, aby wyjść i zacząć wszystko od nowa? Nie dostajemy wyraźnej odpowiedzi. Aktorka rosyjskiego pochodzenia Alona Szostak słusznie została nagrodzona za pełną rozmachu rolę Róży, a Michał Sikorski za postać jej syna Władzia. Oboje są tragikomiczni i głęboko ludzcy. Zresztą cała miniaturowa galeria postaci wypada ciekawie.

Równorzędnym bohaterem jest muzyka. Róża chciała robić karierę muzyczną, potem zrobiła ją jej córka Marta. Minkowska już w „Czasie relaksu i wypoczynku”, jedynym cie-



kawym przedsięwzięciu teatralnym w Dramatycznym Moniki Strzępki, skorzystała z talentu Wojciecha Frycza. I tam, i tu napisał on muzykę, która opowiada nam historie. Ciężko ją porządkować do gatunku, przynajmniej takiemu profanowi jak ja. Czasem nas wznosi, a czasem przygniata. Dostajemy też sporo muzyki klasycznej. Przy wszystkich

fabularnych nielogicznościach dodatkowo czyni to ten spektakl pulsującym dramatem pokreconego życia.

Piotr Zaremba

3 MIŁOŚCI

Seksguru, bohater naszych czasów

1981 r., rewolucja obyczajowa utrwała swoje zdobycze na Zachodzie. Telewizja jest głównym źródłem wiedzy i rozrywki, trwa proces amerykanizacji globalnej kultury. Dekolonizacja stała się faktem, system sowiecki zaczyna okazywać swoją słabość, rewolucją w Iranie rozpoczyna się renesans islamu. Zbiorową wyobraźnię rządzi kultura masowa, wszystkim wydaje się, że zacierają się właśnie granice pomiędzy klasami i grupami społecznymi. Sobór watykański II wzmocnił proces laicyzacji społeczeństw Zachodu. Z Kalifornii wylał się na świat antychrześcijański nurt duchowy New Age – zaczyna się era wodnika, chrześcijaństwo ma odejść. Kontrkultura się komercjalizuje, bunt ob-
rasta w sadło, ale staje się jeszcze bardziej toksyczny kulturowo. Wolny świat jest pogrążony w duchowym bezwładzie, wygląda światła ze Wschodu. Wielu próbuje odpowiedzieć na duchowy głód Zachodu.

Do USA przybywa Rajneesh Chandra Mohan Jain, szerzej znany pod pseudonimami Bhagwan Shree Rajneesh oraz Osho. Seksguru uwielbia luksus i rolls royce'y, będzie miał ich setkę oraz kilka set roleksów. Z Indii uciekł przed policją skarbową. Zostawił utrzymujących go do-
tąd wyznawców bez środków do życia, a ci, straciwszy nadzieję i fundusze, w krótkim czasie zasilili bezimienną masę nędzarzy.

Jest 1981 r., amerykańscy wyznawcy Bhagwana kupują za 6 mln dol. kawał pustkowi w Oregonie i na 25 tys. ha zaczynają budować miasto swych marzeń. Wyznawcy seksguru chcą stworzyć raj na ziemi. W założonej komunie powołać do życia „nowego człowieka”. Zjeżdża ich tam kilkuset, potem kilka tysięcy, wykupują liczące 40 mieszkańców pobliskie miasteczko Antelope i przejmują nad nim władzę. Doprowadza to do serii konfliktów, a wydarzenia z Oregonu są na



ROBERT TEKIELI

Nowożytna filozofia buntu i rewolucyjnej negacji świata zastanego prowadzi do przyzwolenia na każdą zbrodnię. Bhagwan Shree Rajneesh to rewolucjonista pełną gębą – uczynił się miarą wszystkich rzeczy, zakwestionował sens moralności i istnienie obiektywnej prawdy

bieżąc komentowane w najważniejszych mediach za oceanem.

To była inwazja. Nowy, wspaniały świat najechał USA, wojna kulturowa zogniskowała się w samym sercu krainy rednecków. Przez prawie pięć lat świat patrzył na Antelope.

Całą historię powstania i dramatycznego upadku utopijnego miasta Rajneeshpuram opowiada sześciogodzinny serial dokumen-

talny Netfliksa pt. „*Bardzo dziki kraj*”. Widzimy w nim, jak po dwóch stronach frontu kolejnej bitwy o duszę Zachodu stają na przeciwko siebie broniący amerykańskiego stylu życia założyciel firmy Nike i sekretarka guru, która otrula salmonellą kilkunastotysięczne amerykańskie miasteczko, by wygrać lokalne wybory. Ma Anand Sheela rządziła sektą w imieniu guru. On obserwował z daleka, czy uda się eksperyment społeczny wykorzystujący jego nauki.

Rajneesh był świetnym mówcą, mówił dokładnie to, czego pragnęli jego słuchacze. Głosił religię bez zasad, nauczał o medytacji, wolności i seksie bez ograniczeń. Zjednał sobie tysiące wyznawców na całym świecie. „Wyzwał” ich z obowiązków, zasad, reguł zbiorowego życia, odpowiedzialności. W USA zgromadził w sekcie głównie dobrze wykształconą młodzież z bogatych domów, przyciąganą filozofią wzajemnej pomocy i serdeczności. Czas spędzali na medytacji, tańcach, śpiewach i seksie. Istniał jednak wewnętrzny krąg ruchu, ludzie, którzy mieli wiedzę na temat praktyk kryminalnych sekty. Lecz nikt w USA nie był zainteresowany tym, że w indyjskich osadach sannjasińów Rajneesha kobiety były zmuszane do aborcji, a mężczyźni do sterylizacji, zaś ośrodki te stawały się miejscem handlu narkotykami, paszportami i wylegarnią chorób wenerycznych.

W historii amerykańskiego epizodu sekty Rajneesha mamy zamach bombowy, bioterroryzm, próby zamordowania prokuratora i jednego z lekarzy guru, największy w historii USA przekręt imigracyjny, wyroki długoletniego więzienia i deportacje. Po przejściu miasteczka Antelope nowy burmistrz groził amerykańskiemu państwu wojną domową, sekta dysponowała policją lojalną wobec Baghwana, a nie wobec państwa, miała dostęp do bazy danych wymiaru sprawiedliwości, zaś jej członkowie nosili broń automatyczną w miejscach publicznych.

Jednak głównym orężem w tym starciu stało się amerykańskie prawo. Prawnik sekty mówi w filmie, że to politycy wygłaszali fałszywe opinie o przejściu miasteczka emerytów przez sektę, a oni jedynie kupili nieruchomości wystawione na sprzedaż. W archiwalnym nagraniu z lat 80. członek sekty deklaruje: „Nie rozumiem, jakim prawem ci ludzie mówią o »swoim miasteczku«. Ono należy do wszystkich”. I opisuje próbę zachowania *status quo* przez żyjących tam

mieszkańców jako „połączenie uprzedzeń religijnych i mentalności pielgrzymów: byłem tu pierwszy i cię tu nie chcę”, co notabene brzmi ciekawie w kraju, który powstał w wyniku kolonialnego podboju i eksterminacji większości rdzennych mieszkańców.

Członkowie sekty wspominają: „Rajneesh od zawsze powtarzał – nie jestem jak Jezus ani Ghandi. Kiedy oni nadstawiali policzka, my uderzaliśmy”. Skazana wyznawczyni sekguru mówi: „Zrozumiałam, że stan medytacji poprawia moją celność”. Sekretarka guru Sheela: „Kupiliśmy broń. Gdybyśmy nie bronili naszych dzieci, wspólnoty i naszego Pana, byłibyśmy załóżni”, tym Panem jest jej guru.

By zrozumieć, czym jest pranie mózgów, uzależnienie, syndrom sztokholmski, zinternalizowana podległość, trzeba obejrzeć ten dokument, zobaczyć twarze tych zadowolonych z siebie ludzi.

Mieszkańcy Antelope wspominają: „To była okupacja”. Sheela przechadzała się z pistoletem widocznym u pasa i „traktowała Antelope jako zakładnika”. Chciała zbudować miasto, ale nie chciała podporządkować się amerykańskiemu prawu. Mówiła w telewizji: „To, co legalne, nie zawsze jest skuteczne”. Prowokowała, wykorzystywała media i nastroje społeczne.

W pewnym momencie z porzuconych na śmietniku dokumentów opinia publiczna dowiedziała się, że uśmiechnięta sekta cenzuruje każdy list, całą korespondencję wyznawców. Przeniknęły też informacje o aranżowanych małżeństwach jej członków. Potem wyszły na jaw zbrodnie.

Jak podsumował w filmie tę historię jeden z mieszkańców Antelope: „Teraz na miejscu rancha Osho zbudowany jest ośrodek chrześcijański YoungLife. Też przypominają sektę, ale to lepsi sąsiedzi niż rajneeshanie – nie noszą kałasznikowów”.

Historia przedstawiona w „Bardzo dzi kim kraju” pokazuje, jakie mogą być napięcia pomiędzy wolnością organizowania się a poszanowaniem odmienności, jak wolność wyznania może wejść w konflikt z zasadą rozdziału religii od państwa.

Przedziwna była dla mnie lektura komentarzy do filmu – przynajmniej połowa z nich brała uśmiechniętych sekciarzy w obronę. Rajneeshanie jak każda sekta wytwarzali zasłonę dymną, ale że jest skuteczna po 40 latach? Skąd wziął się manipulatorski geniusz Rajneesha?



Kadry z filmu „Bardzo dzi ki kraj”

Urodził się w niewielkiej wiosce w Indiach, w bogatej rodzinie. Skończył studia filozoficzne, zawsze był przywódcą, cechowały go arogancja i niechęć do autorytetów. Do czasu założenia pierwszych ognisk sekty na początku lat 70. jeździł po kraju z wykładami, w których atakował Gandhiego i socjalizm. Swych wyznawców przebrał w szaty hinduskich mnichów i nazwał sanjasinami, czyli ascetami, choć żył ideą wolnego seksu, a on wyśmiewał ascezę. Mówił: „Zawsze kochałem kobiety – możliwe, że bardziej niż kogokolwiek innego. Spójrzcie na moją brodę – zrobiła się siwa tak szybko, bo żyłem tak intensywnie, że skompresowałem w 50 prawie 200 lat życia”.

To właśnie ujawnienie filmów z „sejmi terapeutycznych” nakręconych ukrytą kamerą po raz pierwszy w istotny sposób zachwiały wizerunkiem ruchu i przyczyniły się do jego upadku. Były szokujące. Sejse miały strukturę orgii, z nierzadko homoi heteroseksualną przemocą seksualną, a nawet gwałtami. Ponadto jak piszą autorzy portalu Opoka, „techniki medytacyjne proponowane przez Rajneesha mające prowadzić do osiągnięcia oświecenia i pełni dla wielu stały się przyczyną apatii, popadnięcia w stan szaleństwa czy samobójstwa”. Trudno się dziwić temu wszystkiemu. Sekta została zbudowana wokół człowieka, którego życiem powodowały seksualne obsesje.

Rajneesh Chandra Mohan Jain był autystycznym i narcystycznym sekoholikiem oraz, jak wspominają adepci jego nauk, „potworem chciwości”. Ideologię sekty obmyślił tak, by zaspokajała jego potrzeby.

Używał technik tantrycznych jako narzędzi zniewalania i władzy. Mawiał: „Dla tantry wszystko jest święte, nie ma niczego, co byłoby bezbożne”, a u wyznawców, którzy wypowiadali się w „Bardzo dzi kim kraju”, jeszcze wiele lat po jego śmierci można było zaobserwować objawy uzależnienia i toksycznej podległości.

Każdy człowiek ma prawo żyć według swoich przekonań. Ludzie mogą zrzeszać się na zdrowych zasadach i realizować swoje plany. Niewspieranym politycznie utopiom trudno jest jednak przenieść się przez horyzont pokolenia. Ta historia trwała pięć lat. Władza absolutna zdeprawowała Rajneesha absolutnie. Słuchając wypowiedzi Ma Anand Sheeli, widzimy jasno, że do dziś jest istotą podległą. Zadowolona z siebie istotą podległą.

Twórcy utopii, sekt, państw mających stworzyć raj na ziemi nie potrafią pojąć, czym są atakowane przez nich trwające przez tysiąclecia struktury religijne, jak skoncentrowaną mądrość generują w sobie trwale tradycje. Nawozem całej ludzkiej historii jest oczywiście i małość, i podłość, i zbrodnia, ale to właśnie istnienie procesów samooczyszczania opartych na prawdzie i miłości form zbiorowego życia decyduje o trwałości cywilizacji, kultur, państw i narodów.

Nowożytna filozofia buntu i rewolucyjnej negacji świata zastanego prowadzi do przyzwolenia na każdą zbrodnię. Bhagwan Shree Rajneesh to rewolucjonista pełną gębą – uczynił się miarą wszystkich rzeczy, zakwestionował sens moralności i istnienie obiektywnej prawdy. Seksguru, prawdziwy bohater naszych czasów.



Zakazane piosenki

Ten „German Bombers” – „Dziesięć niemieckich bombowców” to dziecięca piosenka śpiewana na melodię pieśni „She’ll Be Coming ‘Round the Mountain”. A zarazem jedna z ulubionych przyśpiewek angielskich kibiców, którą można usłyszeć szczególnie, gdy ekipa Synów Albionu gra mecz z naszym zachodnim sąsiadem. W następujących po sobie 10 zwrotkach opowiada o tym, jak piloci RAF zestrzelili kolejne niemieckie bombowce – w końcu na niebie nie ma już żadnego, bo „zestrzelił je angielski RAF”. W jakim celu płowowiści wysłannicy Goeringa kierowali swe heinkle i dornieri nad Wyspy – nie potrzeba wyjaśniać. Przyśpiewka ta, oprócz „Dwóch wojen i jednego Pucharu Świata” śpiewanej na melodię „Camptown Races” (wiadomo, które wojny i 4:2 dla Anglii w 1966 r.) oraz „Keep St. George in My Heart” z obowiązkową jadowitą obelgą pod adresem IRA w ostatniej zwrotce, to znany od lat stadionowy szlagier cementujący poczucie narodowej wspólnoty, celebrujący atmosferę zabawy i piłkarskiego święta.

Niestety, swoim polityczno-historycznym kontekstem piosenki wywołują absurdalne reakcje polityczno-poprawnej policji myśli. Bo skoro mowa o Brytyjczykach (Anglikach i Szkotach), to orwellowskie intuicje są tutaj jak najbardziej na miejscu. Angielscy fani już przed wyjazdem do Niemiec zostali ostrzeżeni, że śpiewanie „Ten German Bombers” będzie grozić konsekwencjami, identyfikacją personaliów na wrzucanych do sieci filmikach i odebraniem zakupionych wcześniej wejściówek na mecze. W nagonce biorą udział krajowe federacje, UEFA i media. Sprawa nie jest nowa, bo już kilka lat temu przyłapani na jej śpiewaniu przedstawiciele England Supporters Travel Club zostali publicznie napiętnowani. Prowadzono nawet kampanie społeczne mające ich oduczyć „szowinistycznych” piosenek. Szczególnie nerwowo zareagował szef policji z Gelsenkirchen Peter Both, ostrzegając fanów raczących się piwem i przerzucających nad głowami napompowane makietki spitfire’ów, by powstrzymywali się od „łamania prawa”. Na sprawę najlepiej zareagował Nigel Farage, apelując do Niemców o zdobycie się na poczucie humoru. Nie dziwmy się, że piosenka o dzielnych pilotach, do których zaliczają się przecież głównie polskie orły, stała się „kontrowersyjna”. Przecież dożyliśmy czasów, gdy wojsko nie może strzelać do agresorów szturmujących granice państwa.



Maciej Walaszczyk

Skoło jesteśmy jeszcze przy Euro 2024 i angielskich kibicach, śpiewają oni również namiętnie „Rule, Britannia!”. Pieśń ta ma rangę nieformalnego angielskiego hymnu, brzmi nieco händlowsko, ale jej autorem jest Thomas Augustine Arne. Utwór pochodzi ze skomponowanej przez niego maski „Alfred” z 1740 r. Melodię tę już wówczas szybko podchwyciła publiczność, przenosząc ją na ulicę i do portów, w końcu zdobyła popularność wśród marynarzy. Arne był jednak kompozytorem wybitnym, znacznie wszechstronniejszym, choć niestety przyćmiła go sława starszego o pokolenie George’a Händla. Jedynego reprezentatywnego głosu swojej epoki.

Dlaczego ta płyta jest wyjątkowa? Kompozytor pozostaje znany raczej w Anglii, a w jego pełnych wirtuozerii koncertach organowych słyszeć pełne lekkości brzmienie barokowego instrumentu Johanna F. Rihodego z gdańskiego kościoła św. Jana. Bardzo znanego ówczesnej Europie. W ostatnich latach instrument został poddany gruntownej rekonstrukcji, a nadzór nad pracami sprawował prof. Andrzej Szadejko, który przyczynił się też do odbudowy kilku innych

Czar organistyki



Andrzej Szadejko, Goldberg Baroque Ensemble, „Arne: Organ Concertos”, MDG 2024

historycznych instrumentów, m.in. w kościele franciszkanów w Wilnie. Na nagraniach słyszymy oczywiście jego grę, on sam od lat specjalizuje się w przypomnianiu dzieł mniej znanych kompozytorów. W tym konkretnym przypadku to pięć niezwykle lekkich, trzy-, czteroczęściowych koncertów, w których osobno słyszemy grę organów uzupełnianą urodziwymi partiami orkiestry – w tej roli Goldberg Baroque Ensemble. Mimo nieodzownego piętna wyciśniętego przez Händla, utwory Arne’a są bardzo świeże, swobodnie wchodzą w mocno włoski styl Vivaldiego i zawierają w sobie dużo późnobarokowego kontrapunktu. W innym miejscu słyszeć też wpływy francuskie, np. menuety. Dla każdego, kto lubi muzykę z tego okresu, słuchanie tych koncertów z pewnością będzie wielką przyjemnością.

A na koniec ciekawostka. Skąd u prof. Szadejki fascynacja organistyką? Okazuje się, że jej początkiem było oczarowanie ścieżką dźwiękową z czołówki francuskiej kreskówki „Był sobie człowiek”, w której – jak

wiemy – wspaniale wybrzmiała Toccata i Fuga d-moll Jana Sebastiana Bacha. Organy to wehikuł czasu.

Trzecia droga Le Penów

Nad Europą krąży widmo populizmu wieszczące, że Marine Le Pen zostanie prezydentem Francji. Byłoby to ukoronowanie kilkudziesięciu lat walki prowadzonej przez jej ojca

Czy nadchodzi Wiosna Ludów Europy? Dziś już wiemy, że nie wywołają jej narody Europy Wschodniej – są zbyt małe, ich gospodarki skolonizowane, wewnętrznie trawią je podsyłane z zewnątrz konflikty. Impuls może więc przyjść z europejskiego centrum, wzmacniony zjawiskiem trumpizmu.

To nie tyle polska biografia rodziny Le Penów, ile krótka historia francuskiej polityki z ich udziałem. Poza Marine Le Pen, liderką Zjednoczenia Narodowego (RN), politycznie aktywna jest też jej siostrzenica i zarazem wnuczka Jana-Marie Marion Maréchal, będąca wiceszefową Rekonkwisty Érica Zemmoura. To także Jordan Bardell, numer dwa w RN, prywatnie związany z inną z wnuczek Le Pena Nolwenn Olivier, oraz wiele innych osób. Sam Jean-Marie Le Pen pozostaje kimś w randze patriarchy rodu, odwiecznym przewodniczącym Frontu Narodowego, który latami przebiegał się przez rozstawiony wokół niego polityczny kordon sanitarny. Pierwotnie ustanowiony u zarania V Republiki w postaci dwuturowych jednomandatowych okręgów wyborczych, by skutecznie zablokować wpływy komunistów. W latach 80. stał się on zmorą Le Pena, choć jak wskazują krytycy, izolującego się też taktycznie oraz z powodu temperamentu. Polityczne zaangażowanie ojca odbija się na prywatnym życiu trzech córek – muszą znosić publiczne szykany i upokorzenia w tym doświadczenie zamachu bombowego. To je hartuje, wiąże z ojcem – stały się po jego stronie nawet w czasie rozvodu, podczas którego ich matka atakowała go z wydatną pomocą mediów.

Le Pen to Bretończyk, trudno porządkujący się lider, któremu już w dzieciństwie wróżono przyszłość gangstera lub polityka. Żołnierz spadochroniarz, oskarżany o torturowanie algierskich terrorystów, charyzmatyczny mówca, któremu zarzucono polityczny romantyzm i „miłość spraw przegranych”. Od dziecka utwierdzony w konserwatywnym z ducha przekonaniu, że ludzie nie rodzą się równi i wolni, ale zdeterminowani tożsamością. Czasy Vichy, powojennego odwetu utwierdzają go w antykomunizmie. Partia komunistyczna na rozkaz Moskwy firmowała so-

jusz sowiecko-niemiecki, a po wojnie zdobyła 25 proc. poparcia, kreując bohaterów ruchu oporu. Choć to od PCF będzie czerpał wzory organizacyjne, a tożsamość FN zbuduje na kontestacji de Gaulle’a. Uniknie zaangażowania w OAS, ale po latach wyjawiał swój udział w planach uwolnienia płk. Bastien-Thiry’ego, autora zamachu na generała, straconego w 1962 r.

Le Pen jako pierwszy przestrzega przed falą wspieranej przez państwo i biznes islamskiej imigracji, określając je mianem „odwróconej kolonizacji”. Na początku lat 90. za główne zagrożenie uważa globalizm. Spotyka się z Żyrynowskim i Husseinem. Prowadząc walkę w imię prymatu długofalowego dobra nad interesami jednostki, dokonuje stopniowej „lepenizacji umysłów”, wprowadza do obiegu wątki spoza głównego nurtu polityczno-kulturowego. Ale sukces polityczny nie przychodzi.

Zbliża się do niego dopiero Marine, pod koniec lat 90. wprowadzona do polityki przez ojca. Nie był on szczególnie obecny w jej życiu, więc to ona postanowiła wkroczyć do jego świata. Przeformatowuje partię, odpuszczając ideowe subtelności, które często zajmowały Le Pena otaczającego się intelektualistami ze środowisk konserwatywnych (Klub Zegara). Przeprowadza jej „dediabolizację”, podąża kursem „ani lewica, ani prawica”, co pomaga jej również skrywać poglądy za murem politycznie poprawnej fasady. Uzależniona od sondaży, ciągle kalkuluje, upominając się o „niewidzialnych” i „zapomnianych”, dociera do grup dotąd niegłoszących i robotników. Wycisza też katolickie skrzydło („Partia to nie Kościół”), prowadząc do odejścia Marion, która robi zwrot na prawo, atakując ciotkę, np. za kryptomarksistowską wizję gospodarki. Marine jednak wie, co robi, demaskując skutki globalnego kapitalizmu jako systemu wyzysku narodów, destrukcyjnego dla tradycyjnych struktur społecznych. Potężny bunt „żółtych kamizelek” potwierdza te diagnozy, dowodzi coraz głębszego konfliktu między elitami a społeczeństwem, wchłaniając elektorat konkurencji z obu stron. Marine idzie na wiele kompromisów, w tym popierając wpisanie aborcji do konstytucji. Czy to zaprowadzi ją do Pałacu Elizejskiego? 



Kacper Kita, „Saga rodu Le Penów”,
Dębogóra 2024

MARIA PAWŁOWSKA

AKTORKA

Od Wawelu po Nowy Jork

Pochodzę z Krakowa, więc siedzibę polskich królów odwiedzałam już jako małe dziecko. Mam w pamięci sporo urywków z tamtych rodzinnych spacerów. Natomiast jako 16-, 17-letnia licealistka wybrałam się na Wawel, by zrobić tam sesję. Zdjęcia powstawały na zewnątrz. Pamiętam, że wtedy pierwszy raz w pełni świadomie spojrzalam na bryłę zamku i przestrzeń wokół. Wcześniej były one czymś naturalnym i oczywistym, ale wtedy dotarło do mnie, jak niezwykle jest to miejsce.

Teraz za każdym razem, kiedy przejeżdżam mostem Grunwaldzkim, podnoszę wzrok i nie mogę się nadziwić, że we współczesnych czasach w mieście, z którego pochodzę, stoi tak piękna budowla.

W serialu „Korona królów. Jagiello-nowie” moja bohaterka królowa Zofia mieszka na Wawelu, ale oczywiście pokazane na ekranie wnętrza to głównie dekoracje. Co nie zmienia faktu, że odkąd aktorsko przenoszę się w czasy średniowiecza, do krakowskiej siedziby królów mam jeszcze większy sentyment niż dawniej. Myślę, że kolejna wizyta na Wawelu będzie dużym przeżyciem.

W dzieciństwie miałam okazję mieszkać we Francji. Rodzice są naukowcami. Tata fizyk dostał kontrakt w instytucie pod Paryżem i na trzy lata przenieśliśmy się tam całą rodziną. Chodziliśmy z bratem do francuskiej szkoły. Nad Sekwaną urodził się też mój drugi brat.

Ostatnio byłam we Francji 10, może 12 lat temu. Na pewno tam wrócę, choć na razie wybieramy z mężem także inne



trasy i kierunki. 2024 r. rozpoczęliśmy podróżą do USA. Zwiedzaliśmy Nowy Jork i Florydę. Było intensywnie, dużo

się działo... To takie wakacje, po których trzeba było odpocząć [śmiech].

Bardzo lubimy południe Europy, zwłaszcza Włochy. Za całokształt – architekturę i naturę, kuchnię i plenery, słońce... Mają tam wszystko, czego potrzeba do szczęścia. Przyciąga piękno takich miejsc, jak leżące na północy

Lago di Garda czy obowiązkowa na turystycznej trasie Wenecja, a także położona obok niej kolorowa wyspa Burano.

Kiedy pierwszy raz pojechałam do Włoch, miałam 15 lat. Wracając, zaczęłam się uczyć włoskiego, z mocnym postanowieniem, że zostanę architektem i zamieszkać w Perugii. Tak mi się spodobało w Italii. Z tych planów nic nie wyszło, ale Włochy uwielbiam do dzisiaj. Co nie znaczy, że nie ciągnie nas też w inne miejsca. Zwłaszcza te z niesamowitym architektonicznym krajobrazem, jak wspomniany Nowy Jork.

Notowała **Jolanta Gajda-Zadworna**



SŁODKO-SŁONY

Placek po zbójnicku

ANNA MONICKA

Na znanej platformie streamingowej pojawił się ostatnio hiszpański serial o perypetiach przystojnego szefa gangu narkotykowego, który zakochuje się w młodej prawniczce. Całe galicyjskie miasteczko (na Półwyspie Iberyjskim, nie u nas – co za ulga) wie o ciemnych sprawkach, ale rzadko kto ma odwagę, żeby przeciwstawić się bandziom. Chyba tylko prowadzące knajpkę dwie kobiety – matka i córka – wygarniają wreszcie zbójom między oczy i pod zebro. Ale ja nie o tym. Otóż do ich lokalu ludzie wpadają codziennie oczywiście na kawę oraz po pewien placek – zjadają go na miejscu albo zabierają do domu. Córka i wnuczka szefowej nieustannie obierają i kroją ziemniaki, żeby zaspokoić apetyty gości, a ona niemal nie odchodzi od patelni (a jak już wreszcie odejdzie, to poleje się krew).

Ten placek to zapewne flagowe hiszpańskie danie, czyli tortilla de patatas. Bardzo wszechstronne – można je jeść jako przekąskę, przystawkę, na śniadanie, obiad i kolację – i bardzo łatwe do zrobienia. Moje eksperymenty w kuchni dowiodły jednak, że nie bez powodu w filmie smażeniem placka zajmuje się głównie babcia, młodsze kobiety raczej obierają i szatkują ziemniaki. Na jeden placek potrzeba ok. 0,5 kg, więc mają co robić. Jedyna wada tego dania to duża ilość oliwy, ale w końcu nie trzeba zjadać całego od razu.

To do dzieła. Obieramy i na małej szatkownicy kroimy ziemniaki najpierw na talarki, a potem na desce dzielimy na mniejsze cząstki. Siekamy cebulkę i całość układamy na rozgrzanej na patelni oliwę (dużo oliwy, około szklanki) i smażymy na niewielkim ogniu, żeby były miękkie, ale nie chrupiące. Roztrzepujemy z solą kilka ładnych jajek i przekładamy do nich odcedzone z oliwy ziemniaki. Na tę samą patelnię (powinna być wysoka, kształtem przypominać tortownicę) na gorący tłuszcz wlewamy masę jajeczną z ziemniakami i cebulką. Pod przykryciem smażymy ok. minuty, a potem ostrożnie nakrywamy patelnię większym talerzem, przewracamy do góry nogami i dosmażamy placek z drugiej strony, uważając, by się za bardzo nie przypiekł. Posypujemy solą i na stół.

Oby się udało, smacznego!

Fot. Shutterstock



WILCZYM OKIEM

Przyrodnicze katastrofy

PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Przyroda, której częścią jesteśmy, posiada zadziwiające mechanizmy. Np. pozwalające na dostosowywanie się do nagłych, gwałtownych zmian warunków w zakresie, który w pierwszej chwili można by nazwać katastrofą. Dostosowywanie się, a nawet więcej – korzystanie z takich sytuacji i przekuwanie ich na szansę.

Niekiedy zdarza się, że wiatr powala wielką połąć lasu. Sosny na nizinach czy świerki w górach, które rosły przez dziesiątki czy setki lat, w jednej chwili stają się masą martwych, powalonych pni, połamanych gałęzi i pożółkłych igieł. Cała praca leśnego ekosystemu, pokoleń leśników w mgnieniu oka idzie na darmo. Odtworzenie takiego lasu, z drzewami, które każdego roku dokładały kolejne centymetry wzrostu i kolejne pierścienie przyrostu na grubość, jest możliwe w perspektywie kolejnych pokoleń ludzi. Odtworzonego lasu nie zobaczy nikt z żyjących, a nawet ich dzieci. Katastrofa, wszystko stracone.

Pozornie. Tu uruchamia się wspomniana zdolność przyrody do przekuwania klęski w sukces.

Owszem, w powalonych drzewach nie zagnieździ się dzięcioł czarny. Nie będzie to odpowiednie miejsce dla sówek czy typowo leśnych chrząszczy, wiele gatunków grzybów wymrze bez koniecznej im symbiozy z korzeniami drzew, bo zamiast wiekowych olbrzymów w odsłoniętych przez nie miejscach wyrosną krzewinki borówek, a chwilę później pojawią się wątle, cieniutkie pionierskie brzoźki, wyrastające tu i tam spomiędzy połamanych gałęzi.

Takie miejsca są za to idealne np. dla głuszców i cietrzewi, rzadkich kuraków, które bez tego typu siedlisk by nie przetrwały. Niedostępne i trudne do przebycia są świetne do założenia gniazda i bezpiecznego wychowania piskląt. Liście borówek i pączki brzoź to ulubiony pokarm tych ptaków, dzięki któremu mogą przetrwać zimę. Na miejscu zniszczenia rozkwita życie.

Katastrofy są stałym, wciąż pojawiającym się zjawiskiem. Przyroda umie je wykorzystać w celu zachowania pełni swojej różnorodności. A w międzyczasie powoli, lecz niepowstrzymanie biegą prace, które kiedyś znowu przywrócą w tym miejscu las.

OGNIEM NA WPROST

Kosmiczna pomoc z Polski



Andrzej Rafał Potocki

Wszwajcarskim kurorcie Bürgenstock zebrały się delegacje 85 państw oraz 8 struktur ponadpaństwowych, w tym patriarchatu Konstantynopola, by omówić problem wojny na Ukrainie. Sukcesem prezydenta Zelenskiego było przybycie przedstawicielstw Globalnego Południa, powiązanego interesami z Moskwą i Chinami. Kosztem tego stało się ograniczenie treści dokumentu końcowego konferencji, który z 10 punktów planu pokojowego Zelenskiego pozostawił 3: bezpieczeństwo energetyczne – przede wszystkim elektrowni jądrowych, w tym oddanie Ukrainie elektrowni zaporoskiej; bezpieczeństwo żywnościowe i wolność żegluga; wymiana wszystkich jeńców, a także powrót na Ukrainę deportowanych do Rosji obywateli Ukrainy, w tym przede wszystkim dzieci. Z agendy wypadły żądania oddania terytorium i wycofania wojsk. Obecne spotkanie, mimo dość małego komunikatu końcowego, ma wymierny skutek, którym jest radykalizacja NATO. Prezydent Biden zapowiedział, że dostawy amerykańskiej broni przeciwlotniczej pójdą w pierwszym rzędzie na Ukrainę, a dopiero po zaspokojeniu tych potrzeb do innych partnerów. Były sekretarz generalny NATO Jens Stoltenberg postanowił natomiast, że dostawy broni na Ukrainę będą obowiązkiem krajów członkowskich, z kolei brytyjska Royal Navy rozpocznie polowanie na „flotę duchów”, czyli tankowce transportujące nielegalnie rosyjską ropę. Do historii przeszły dwa bon moty z tego spotkania, w tym jeden naszego prezydenta. „Jeśli Putin odrzuci nasze propozycje, zmusimy go do kapitulacji” – stwierdziła Giorgia Meloni, premier Włoch. „Jeśli Putin chce, aby tysiące Rosjan ginęło na Ukrainie, powinniśmy pomóc mu zrealizować ten cel” – skomentował Andrzej Duda.

Minęły prawie dwa lata odkąd ukraińskie wojsko może korzystać z usług fińsko-polskiej spółki kosmicznej ICEYE. Główny Zarząd Wywiadu Ministerstwa Obrony Ukrainy (HUR) zaprezentował dane, które potwierdzają, że Kijów zyskał nowy poziom jakości i szybkości w zakresie otrzymywania danych wywiadowczych, co ma kluczowe znaczenie dla działań operacyjnych. „W sierpniu 2022 r. ICEYE zawarła z ukraińskim rządem umowę, w ramach której Ukraina wydzierżawiła jednego z satelitów radarowych spółki, uzyskując zarazem dostęp do zasobów całej jej konstelacji” – informuje portal Defence.24. W okresie korzystania z usług firmy ICEYE specjaliści ukraińskiego wywiadu wykonali łącznie 4173 zdjęć obiektów wroga. Wśród nich znalazło się: 270 lotnisk, 238 stanowisk obrony powietrznej i rozpoznania radio-technicznego, 153 składy ropy naftowej i składy paliw, 147 składów rakiet, broni lotniczej i amunicji oraz 17 baz morskich. HUR podał, że ok. 38 proc. całego zbioru danych uzyskanych dzięki ICEYE wykorzystano do przygotowania ataków ogniowych na rosyjskie cele. Np. we wrześniu 2023 r. Ukraińcy uderzyli w Zatoce Sewastopolskiej, gdzie udało się zniszczyć rosyjski okręt desantowy Mińsk oraz okręt podwodny Rostów nad Donem. Obecnie ICEYE dysponuje flotą ponad 30 jednostek satelitarnych, a w br. sieć zostanie rozszerzona o kolejne urządzenia. Stawia to firmę na pozycji światowego lidera w zakresie radarowej obserwacji Ziemi. „Ponad 50 proc. wszystkich zdjęć satelitarnych, które są obecnie wykonywane nad Ukrainą, to właśnie obrazy z satelitów ICEYE. Jesteśmy tam głównym dostawcą informacji”

– stwierdził Rafał Modrzewski, prezes i współzałożyciel ICEYE. I tak polsko-fińska firma stała się oczami Ukraińców. Dobra robota, a Moskalom na pohybel!

Na komunikatorze Telegram pojawiła się informacja od grupy Wiatr z Krymu. Tytuł: „Żenada dnia”. Czytamy: „W obwodzie bielgorodzkim miejscowi z własnej inicjatywy umieścili na swoim domu flagę Ukrainy. W ten sposób chcą uniknąć bombardowania przez Ukraińców. Flaga wisi od kilku dni” – informuje grupa. Choć Ukraina w przeciwnieństwie do armii Moskwy nie bombarduje domów cywilów, to strach jest już do tego stopnia dotkliwy, że Kacap na swoim terenie wywiesza wroga flagę, by uniknąć ostrzału.

Na wspomnianym Telegramie pojawiło się wideo, na którym widać, jak Moskwa traktuje swoich rannych bojów. Pozbawieni rąk i nóg zmuszeni są do spania w kłatkach dla świń. Poskarżył się na to zbrodniarz wojenny i propagandysta Kremla Jegor Guzenko „Trzynasty”. „Przetrzymują tu niczym bydło wszystkich: rannych, niedoleczonych, mobików [zmobilizowanych], kontrabasów [żołnierzy, którzy podpisali kontrakt] za różne przewinienia. Tworzą z nich »półki kalek«, a wiecie, dlaczego? A dlatego, że brakuje ludzi. Dziad [Putin] po prostu się boi ogłosić mobilizację, żeby ludzie się nie dowiedzieli, co tam czynicie naprawdę. To jest prawdziwy czyszciec! Wsadźcie tam wasze dzieci zas...ńcy” – apeluje Guzenko, autor nagrania.

Współpraca: „Skipper”

Michał Korsun prezentuje



Wycinki z przeszłości

Z kupionej w antykwariacie książki wypadła kolorowa karteczka. „Oranżada” – etykieta z okresu PRL, dokładną datę trudno ustalić. Etykieta produktu Gminnej Spółdzielni „Samopomoc Chłopska” z Tuszyna chyba u każdego przywołuje sympatyczne wspomnienia, zwłaszcza wakacyjne.

Mało kto wie, że pierwsze oranżady pojawiły się w Polsce w XVIII w. w ramach mody na kuchnię francuską. Dziś też można kupić najbardziej wysublimowane oranżadowe smaki, ale i tak za najpyszniejsze uznajemy te z dawnych lat. Siła nostalgii.

Piękne lata!

(mk)



Z WOLEJA

Dla mnie już po Euro 2024...



Ryszard Czarnecki

Na Euro 2024 Polacy nieźle grali tylko mecze nieparzyste. A to za mało. Remis w spotkaniu o punkty z aktualnymi wicemistrzami świata, czyli Francją, cieszy tym bardziej, że Les Bleus walczyli o pełną pulę, bo chcieli wygrać grupę. Niespodziewanie pierwsze miejsce zajęli Austriacy trenowani przez Niemca, który odmówił przyjęcia posady w Bayernie Monachium, aby skupić się na reprezentacji. Niestety na konferencjach prasowych wyraża się na temat polityki, co jest żalosne, ale trenerem jest bardzo dobrym. To on upowszechnił pojęcie „gegenpressing”, do którego trzeba mieć żelazne płuca, bo atakuje się rywali tuż pod ich polem karnym.

Futbol to dyscyplina paradoksów: na mundialu w Katarze Polska po raz pierwszy od 36 lat (!) wyszła z grupy, ale miny mieliśmy smętne (bo styl, czyli „autobus” w naszym polu karnym, czy premie), a teraz odpadamy jak na niemal każdym turnieju mistrzowskim w XXI w. – poza Euro 2016 i wspomnianymi MŚ na Półwyspie Arabskim w 2022 r. – już w fazie grupowej, ale Michał Probiecz wlał w serca kibiców trochę nadziei.

Biało-Czerwoni wracają do domu, ale nagrodą pocieszenia może być rekord Roberta Lewandowskiego: w meczu z Francją strzelił gola na czwartych mistrzostwach Europy z rzędu. Przed nim w historii był tylko taki jeden zawodnik – Cristiano Ronaldo. Ktoś zapyta: a Luka Modrić? Owszem, przesympatyczny kapitan Chorwatów, który publicznie mówi, że dopóki będzie nosił kapitańską opaskę, nikt z Chorwatów nie będzie brał pieniędzy za grę w reprezentacji, też strzelał gole na czterech mistrzostwach, ale nie z rzędu.

Kibice trzech reprezentacji na Euro 2024 wywiesili transparenty anti-UEFA. Działacze z eurofederacji wlepili kary, a ja na ich miejscu powiedziałbym do lustra stare polskie powiedzenie: „Jak ktoś ci mówi, że jesteś pijany – możesz machnąć ręką, ale jak ci to mówią trzy osoby – idź spać”. Jednak UEFA to państwo w państwie, które ma tyle wspólnego z Unią Europejską, że prowadzi politykę podwójnych standardów. Choćby gdy chodzi o kary dla kibiców: na kluby z Europy Zachodniej patrzy się przez palce, na drużyny z Polski wręcz przeciwnie.

Z tych mistrzostw zapamiętam brutalną akcję niemieckiej policji, która lała niewinnych polskich kibiców, w tym kobiety (widziałem filmy), oraz beznadziejnych chłopców odnoszących spacerkiem szli do walczącego o życie węgierskiego piłkarza, aż w końcu jego rodacy z reprezentacji wyrwali im te nosze i sami z nimi pobiegli. Ten wstyd po stronie organizatorów zostanie. //

Zamów prenumeratę! Według nowego cennika

CENNIK PRENUMERATY*	OKRES PRENUMERATY		
	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
SIECI	109 zł	189 zł	349 zł

* Dane do przewziew w stopce redakcyjnej

OD A DO ZYBERTOWICZ

Mnożnik głupoty

Niby martwi taki stan młodzieży czy ludzkości w ogóle, ale dociera do mnie, że coraz częściej oglądam świat jakby przez szybę. „Niedobrze” – myślę sobie



Zaniepokoiłam się. Czyżbym już na dobre zubożętniała na panoszącą się głupotę ludzką?

W radiu Czwórka słyszę, że dziennikarze BBC wpadli na pomysł przeprowadzenia eksperymentu, który polegał na tym, że młodzi ludzie mieli przez dziesięć dni nie używać swoich smartfonów. Zaproponowali im czasową rezygnację z „narzędzia”, bez którego prawie nikt dziś nie funkcjonuje. Zaledwie pomyślałam: „Ale wyczyn!”, a tu reporterka Czwórki mówi, że eksperymetatorzy łatwo nie znaleźli chętnych do udziału w badaniu. Czemu tu się dziwić? Całe dziesięć dni bez lajkowania, mediów społecznościowych, Google Maps, wygodnych płatności, selfików – kto z młodych to wytrzyma?

CHĘTNI, NIECHĘTNI

Chętnych do przetestowania szukano wśród studentów z University Technical College w Londynie. Eksperyment poprzedziła ankieta, w której poza pytaniem, kto chciałby podjąć to wyzwanie, sprawdzono poziom wiedzy studentów o szkodliwości używania tego typu urządzeń. Badani jak jeden mąż zadeklarowali, że nadużywając smartfonów, czują się zmęczeni i przebudzowani.

Połowa studentów przyznała, że jak nie mają przy sobie smartfona, czuje coś w rodzaju niepokoju, natomiast aż 74 proc. wskazało, że nawet nie rozważa oddania smartfona na kilka dni.

DZIESIĄTKA ŚMIAŁKÓW

Ostatecznie zgłosiło się dziesięć osób – podaje dziennikarka Czwórki. I dodaje, że ochotnicy nie zostali tak zupełnie odcięci od świata, bo zamiast smartfonów otrzymali zwykłe komórki. Mogli zatem dzwonić i esemesować. Po 27 godzinach eksperymentu odpadł jeden z uczestników. Nie mógł wytrzymać bez dostępu do internetu. Ale największym wyzwaniem dla wszystkich badanych było odcięcie od Snapchata. Konsekwencją tego mogło być popsucie sobie Snappassa – licznika dni, od kiedy jest się w nieprzerwanym kontakcie z przyjaciółmi. Większość badanych prosiła znajomych, by w okresie eksperymentu logowali się na ich konto i w ich imieniu wysłali kilka snapów.

NIE DOCIERA DO MNIE

Słucham tego i czuję, że wyraz mej twarzy musi być tępy i obojętny... Takie informacje już mnie nie tyle nie dziwią (dziś niewiele chyba dziwi nas wszystkich), ile niemal nie wywołują żadnego wrażenia. Niby martwi taki stan młodzieży czy ludzkości w ogóle, ale dociera do mnie, że coraz częściej oglądam świat jakby przez szybę. „Niedobrze” – myślę sobie. Za chwilę trudno będzie ustalić, kto zwariował.

Nie jestem radykalnie przeciw smartfonom. Sama używam tego narzędzia na co dzień i doceniam funkcjonalność, która ułatwia życie. Ale jednocześnie

nie korzystam z mediów społecznościowych, nie muszę lajkować ani pilnować, żeby być online gdzieś tam.

Pewnie jestem w mniejszości.

Z różnych badań wynika, że przeciętny użytkownik zagląda do komórki 80–150 razy w ciągu dnia. Po co? Co przegapia wtedy w realu? A może prowokuje niebezpieczeństwo?

SMARTFON KILLER

Z danych Instytutu Transportu Samochodowego wynika, że co czwarty wypadek samochodowy w naszym kraju jest spowodowany używaniem telefonu podczas jazdy. Nawet wysokie mandaty nie powstrzymują przed złym odruchem sięgania po smartfon wtedy, gdy jest to niebezpieczne. Z kolei statystyki amerykańskie mówią, że przez rozproszonych – często właśnie przez smartfon – kierowców na drogach ginie rocznie ok. 800 osób. Brutalnie można by zapytać: 800 lajków równa się 800 śmierci?

Nie brakuje też badań pokazujących, że nadmierne korzystanie ze smartfonów źle wpływa na pracę mózgu, a u dzieci zaburza rozwój poznawczo-emocjonalny. I co z tego? Czytamy o tym i wracamy do złych nawyków. Tak się też stało z biorącymi udział w brytyjskim eksperymencie. W ciągu dziesięciu dni detoksu więcej czasu spędzali z bliskimi, niby „zrozumieli”, ile rzeczy z realu tracą, ale jak już wyzwanie się skończyło, dali nura w swoje smartfony.

I co nam po takim cudownym narzędziu, skoro zdrowy rozsądek jest w odwrocie? Za to głupota na pewno jest zachwycona. Nigdy dotąd nie miała takiego mnożnika.

Katarzyna Zybertowicz

Już jest nowe e-wydanie



wSIECI
HISTORII

- ♦ **Poczet polskich władców**
- ♦ **Zbrojne legendy**
- ♦ **Kobiące strony historii**

Zamów prenumeratę cyfrową **wSIECI już od 5,90 zł,**
a nowe e-wydanie **wSIECI HISTORII dostaniesz w prezencie!**

ZESKANUJ KOD
I DOWIEDZ SIĘ WIĘCEJ

Zamów już dziś na

siec.wpolityce.pl/oferta



NOWA TELEWIZJA

W POLSCE PL

OGŁĄDAJ NAS W TELEWIZJI NAZIEMNEJ

CZĘSTOCHOWA

GDAŃSK

JELENIA GÓRA

ŚWIDNICA

TOMASZÓW MAZOWIECKI

WARSZAWA

WROCŁAW

POZYCJA **26** MUX L-3

POZYCJA **62** MUX L-7

POZYCJA **26** MUX L-1

POZYCJA **26** MUX L-4

POZYCJA **26** MUX L-3

POZYCJA **62** MUX L-7

POZYCJA **62** MUX L-7

POZYCJA **26** MUX L-4



Odśwież listę kanałów w twoim telewizorze

OGŁĄDAJ NAS 

www.wPolsce.pl

epiśa.pl 008462101